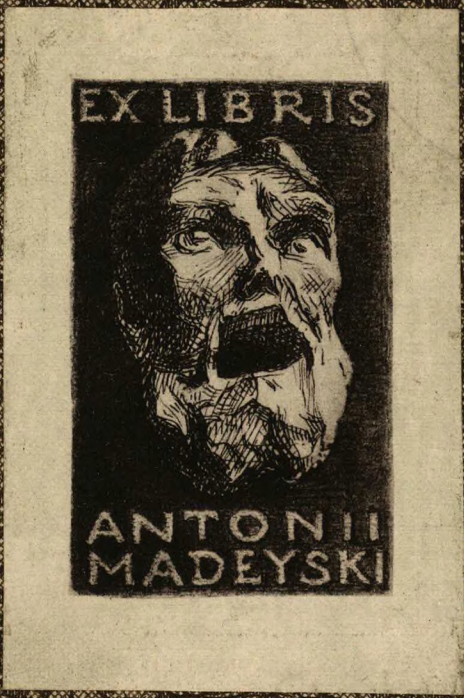


33 626 [1]



A IX 262



EX LIBRIS

ANTONII  
MADEYSKI

















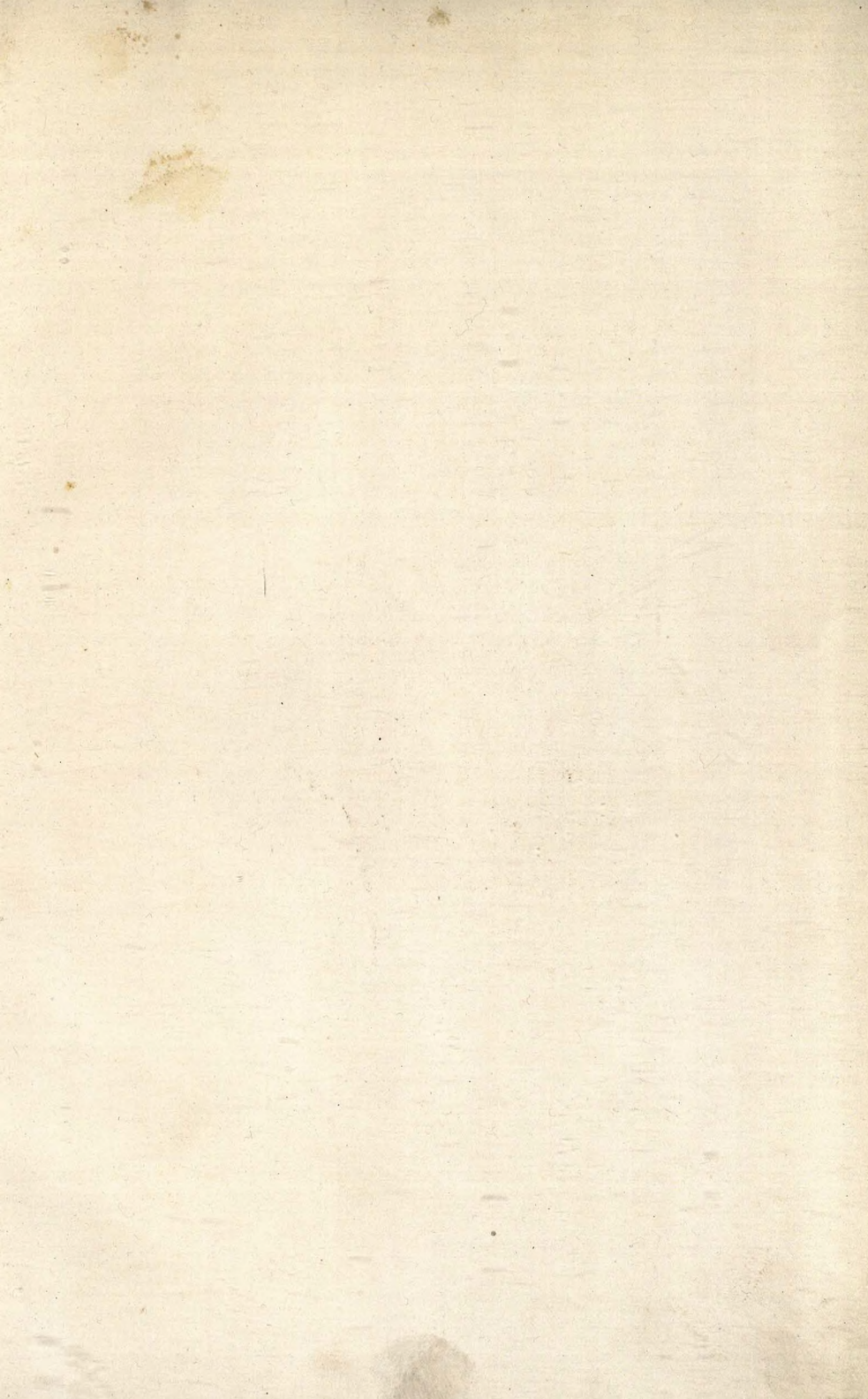


NA OBU PÓŁKULACH













*Antoni Stadnicki*



ANTONI STADNICKI

# NA OBU PÓLKULACH

WRAŻENIA I LISTY Z PODRÓŻY

*W Drodzących rodzimowców  
i przyjaciół  
ofiaruję  
B. Stadnicka*

KRAKÓW — D. E. FRIEDLEIN  
WARSZAWA — WENDE I SP.

MCMXI

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55

tel. 22 69-78-773



Wa5167658

*pisz uyc i podpisuj  
wiat  
wt*

*rat*





33626[1]

CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“ POD ZARZĄDEM A. ŚWIERZYŃSKIEGO

N-367962 NH-68037  
PAN AUC. W J. 58/64



## PRZEDMOWA.

---

**O**to co zostało z młodego życia! Młodego, ale dobrze wypełnionego, a zapowiadającego wiek mężki wypełniony liczniejszymi i ważniejszymi zasługami. Zostało kilka zapisków z podróży, i zostały listy. Zbierała je drżąca z bólu ręka rodziców, uporządkowała ręka wiernego przyjaciela; i wychodzą z ukrycia na świat. Smutna pociecha, takim sposobem zabezpieczyć pamięć zmarłego; podać o nim wiadomość tym co go nie znali, rozrzewnić tych co znali i kochali! Smutna pociecha, i smutna pamiątka: ale potrzeba serca. Niech się uratuje od niepamięci choć to, co po nim zostało: to bardzo niewiele, w nim było nierównie więcej! a tego pokazać, o tem dać wyobrażenie, nie zdoła nikt. To przepadło na tym świecie; na tamym tylko wiadome, zapamiętane, świeci między miriadami ludzkich zasług, i odzywa się w chórach śpiewających Gloria. Ale kiedy więcej nie można, zrobić przynajmniej to co można, żeby przechować i przekazać pamięć tego młodzieńca co skoszony w kwiecie, nie miał czasu dojrzeć do żniwa. Śmierć młodych jest dlatego smutniejsza od śmierci starych, że jak grad w polu niszczy nie tylko to co jest, ale i ten plon co być może.

To powód wydania tych pism Antoniego Stadnickiego.

Nie odsłonią one, nie dadzą poznać całej jego duszy, ani całego jego umysłu. Jednak kto będzie czytał z uwagą,



ten rozpozna i uchwyci — nie bez wzruszenia, mamy nadzieję — niektóre charakterystyczne rysy i duszy, i umysłu. Nie kusimy się o skreślenie jego moralnego wizerunku; ani na to miejsce w takiej przedmowie, ani wystarcza na to nasza znajomość choć tak długa jak jego życia, różnych zmian jakie mógł przebywać, w jakich się kształcił i wyrabiał. Poprzestajemy na wskazaniu tego, co nam się wydaje być najgłębszą treścią i najwyraźniejszą cechą jego natury i jego życia. Natura uczuciowa, sama z siebie skłonna do wysokiego szlachetnego pojęcia życia, jego zadań i celu. Na tym gruncie, dobrze uprawionym opatrzną myślą i ręką rodziców, wyrosła naprzód gorąca, rzewna miłość rodzinna, i odrazu, już w dzieciństwie, uczucie obowiązku. Mały chłopiec, student, nie miał spokoju, dopóki nie zrobił tego co było jego powinnością: a pełnił ją nie z przymusu, ale ze szczerej, silnie postanowionej woli, ochotnie. Miał wrodzony zmysł karności, a ten w dalszem życiu wyrabiał się na prawdziwy, silny, mężski charakter.

Co się w nim widziało ze szczególną sympatyą, a dodajmy śmiało z uszanowaniem, to rodzaj jego uczucia polskiego, jego patriotyzmu. Był bardzo gorący, zgodnie z jego usposobieniem uczuciowem, a wolny nie tylko od wszelkiej deklamacyi czy frazesu, ale nie mówiący o sobie: i był smutny. Czy że zwątpił o przyszłości i obwinał się w rezygnację jak w całun? Nie: ale w tych swoich uczuciach, wrażeniach, łączył zawsze przeszłość z terażniejszością, myślał o obu, widział obie razem, i stąd ten ton tęsknoty, żalu, jaki się dawał czuć w jego miłości ojczyzny, i odzywa się w tych jego pismach. O wojnach, o zwycięstwach i przegranych, nasłuchiwał się wiele od dziecka. Wnuk żołnierza z roku 1831 (a przez lat kilka emigranta), miał w domowej tradycyi żywą historię wojny ostatniej, a choć nie tak bliską, ale żywą znajomość napoleońskich czasów i ludzi. W domowej atmosferze, we krwi, miał popęd i przygotowanie do poufałego blizkiego łączenia się z przeszłością: lubił i umiał



»patrzeć w dawno zmarłych żywe twarze», czuć jak oni, odgadywać i rozumieć jakie przebywali troski i boleści. Nie był jednak bynajmniej sercem, czy myślą, czy wyobraźnią, do przeszłości jedynie zwrócony: przeciwnie, terażniejszością zajęty, znający ją dobrze, głęboko, w niej chciał żyć, dla niej pracować, przez nią przyszłości służyć. Smutne widoki i obowiązki terażniejszości, niepewne widoki przyszłości, łączyły się z żywą, bliską, zawsze obecną pamięcią przeszłości, w akkord rzewny i tęskny, wyraźnie słyszalny we wszystkim co on o swojej ojczyźnie mówił, w tem nawet co nie o niej pisał. Nie myślimy porównywać, tem mniej przypuszczać, jakoby uczucia polskie słabły w młodszych pokoleniach: w zepsutych tylko gasną albo giną. Ale w dobrych i szlachetnych rzadko zdarzyło nam się widzieć ten stopień, a przynajmniej ten ton miłości ojczyzny.

Zamiłowanie wielkie umysłowego życia, cywilizacji, literatury i sztuki. I w tem zaś znowu połączenie wykształcenia dzisiejszego z dawniejszem. Coraz rzadsi są u nas tacy, którzy jak my przed pół wiekiem młodzi, kształcili się na wpływach epoki romantycznej, cóż dopiero czasów i epok odległych. Do Byrona już może żaden z młodych nie zagląda, do Schillera i Göthego w każdym razie daleko mniej niż my: a do dawniejszych, do Francuzów, do Bossueta, do sławnych klasyków chyba wcale. Do nas starszych jeszcze ich wpływy dochodziły, jeszcze wprawiano nas do ich znajomości i żądano jej. Nie było to złe ani niepotrzebne, nie hołdowanie przesadnej a po części szkodliwej modzie francuzczyzny: owszem to miało swoje skutki dobre. Tym sposobem wsiąkały w młody umysł pierwiastki i wpływy różnych czasów, i składało w nich niejako ciągłość i spuściznę różnych okresów cywilizacji. To co niegdyś, przed laty, kształciło ojca lub dziada, to dochodziło do syna i wnuka, i niewidzialnie a skutecznie rozszerzało mu umysł, robiło go przystępnym na różne pojęcia, wrażliwym na różne formy, utrzymywało go w związku z tem co myślały i czuły czasy



minione, ale te, z których jego czas wyszedł. Stadnicki urodził się i wychował w domu, gdzie umysłowa kultura, umysłowe życie, stały wysoko, były pielęgnowane bez przerwy i z zamiłowaniem. Ich cechy bardzo wyraźnie widziało się na jego starszych. Przez tych dostawały się do niego i sprawiały, że łączyło się w nim wykształcenie współczesne, dzisiejsze, z tem przeszłym, historycznym niejako, dziś coraz rzadszem, a potrzebnem na to, by wykształcenie było i gruntowniejsze, i szersze.

Wierność w przyjaźni, życzliwość i dobra wola dla ludzi w ogólności, radość na widok pięknego czynu, pięknej książki, dobrego ruchu czy objawu w naszym życiu publicznem, zmysł polityczny wyrobiony na sąd bystry i trafny, na jasność i stałość w przekonaniach i zasadach. A dopiero jego stosunek z rodzicami, jego stanowisko syna w rodzinie! Z ojcem uległość, ufność, wspólność wyobrażeń i przekonań taka, że mawiał żartobliwie »ojciec i ja jesteśmy z jednego pokolenia«: z matką czułość miękka, pieszcząca, kojąca w zmartwieniach, podpierająca w trudach, a miła, uprzedzająca, odgadująca zawsze, jak czułość córki. Kiedy z chłopca stał się młodzieńcem, stał się dla obojga nie synem tylko, ale przyjacielem. Ile jeszcze możnaby wyliczać i wspominać jego pięknych przymiotów, a na każdy możnaby przytaczać przykłady z jego słów i z jego życia. Ile głębokiego rzewnego żalu, że te przymioty nie miały czasu objawić się wszem wobec, stwierdzić się, i przydać się, w naszych sprawach!

Ale tu nie chodzi o jego życiorys, ani o jego wizerunek: to jest tylko wydanie jego pism, i przedmowa do nich. A więc już jedno słowo tylko, jedno pytanie: jak on pisał?

Za jego życia, kiedy w dziennikach ukazywały się czasem jego zapiski z podróży, czytało się je z wrażeniem, że są ładne, że on ma i myśl w głowie i życie w piórze: ale uważało się je za małe dodatki do jego życia, za rzucone na papier od niechcenia opłki od jego pracy poważniejszej. Dziś, kiedy jego już nie ma, odczytuje się te pisma z głębszem



zastanowieniem, i dochodzi się do przekonania, że on pisał bardzo dobrze, że miał talent, że miał styl. Opowiada albo szkicuje obrazy tego co widział tak, że widoki natury czy postacie i sceny ludzi dają się widzieć, mają charakter i fizygnomię, żyją. Sam był pod wrażeniem kiedy pisał, ale też to wrażenie udziela czytelnikowi, zajmuje go, przywiązuje jego myśl i uwagę. Nigdy nie nudzi, i nigdy się nie sili, nie sadzi: jest prosty w sposobie pisania, pretensyi i umyślnych sztucznych efektów nie lubi u drugich, nie potrzebuje i nie chce dla siebie. Ma także styl: a ten nie każdemu z piszących dany. Z natury, bez namysłu, ma doskonały dobór i używanie wyrazów: znajdzie zawsze (choć zapewne nie szuka) ten przymiotnik, rzeczownik, czy czasownik, który najlepiej określa przedmiot lub czynność, i położy go na tem miejscu, gdzie on właśnie i sam wyda się najlepiej, i przedmiot najwyraźniej da poznać. Niezaprzeczenie on pisze dobrze. Ale lepiej jeszcze myśli i czuje: i to jest strona najpiękniejsza, najbardziej ujmująca jego pism. Widzi się w nich ciągle młodzieńca patrzącego na świat ciekawie, pragnącego nowych widoków i wrażeń, przyjmującego je z radością i wdzięcznie. Ale ten młodzieniec i myśli o tem co widzi, zdaje sobie sprawę z tego co widzi, przenika i określa jakie to jest, jaka powierzchowność kraju, jakie uczucia, jaki poziom umysłowy ludzi. Oprócz tego zaś jest ten młody podróżnik Polakiem, i gdziekolwiek jest, na cokolwiek patrzy, zawsze myśli o swojej ojczyźnie, z nią porównywa to co widzi, za nią tęskni, smutno wspomina jej przeszłość. To połączenie uczuć polskich dawnych i dzisiejszych, o którym wspomnieliśmy jako o jego charakterystycznej własności, objawia się w tych pismach przy każdej sposobności, a pięknie, rzewnie. Kiedy jest w krainie *Ogniem i mieczem*, to z każdego niemal słowa czuje się ten ciężki żal, z jakim Polak dziś wita »ziemię stepów gładką, cichą»: kiedy w Raguzie rozmawia ze starym patrycyuszem, który wspomina swoją dawną Rzeczpospolitą, a widzi i mówi, że



jego świat się skończył, że przyszłości niema, a on stoi jak żywy posąg na zwaliskach, dopóki nie obali się i on — to czuje się najgłębsze współczucie i uszanowanie dla tego Dalmatyńca, a zgaduje się, jak ten Polak tłumi w sobie pytanie, czy broń Boże nie będzie kiedyś podobnie i z nami.

Bardzo ładne są te zapiski; mało równie ładnych podróży w polskim języku. Ale najpiękniejsze, najlepiej dające poznać autora i do niego przywiązujące, to takie ustępy, w których jego patryotyczne cierpienie odzywa się stłumionym, cichym, a rzewnym i przejmującym tonem.

Mnie z Antonim Stadnickim łączyło blisko sto dwadzieścia lat związków pokrewieństwa i przyjaźni, i jego często okazywana serdeczność i ufność. W tych warunkach mówić o nim jest trudno. Własny żal, i myśl o rodzicach którzy go stracili, góruje nad wszystkim: a czytelników, publiczności, oczywiście obchodzić nie może. Ale każdy, choć nieznajomy, choć obojętny, wie że żal boli, i rozumie że on się okazać i wyrazić potrzebuje. Patrzymy ze współczuciem na krewnych i przyjaciół, kiedy składają wieniec na trumnach zmarłych. Te słowa są takim wieniec. Składałam je na grobie, nie z potrzeby własnego uczucia tylko, ale z gorącym pragnieniem, żeby były tego uczucia znakiem, a posłużyły innym (jeżeli być może) do poznania tego zmarłego, do zachowania go w pamięci.

*St. Jarnowski.*

## ANTONI STADNICKI.

---

L iteracki podpis Antoniego Stadnickiego zaczynał sobie właśnie zdobywać — jeśli nie rozgłos jeszcze, to przynajmniej znaczenie i wziętość, gdy przedwczesna śmierć wytrąciła pióro z ręki młodemu pisarzowi zapowiadającemu się tak dobrze.

Zostawiał po sobie głuchą, nieukojoną boleść najbliższej rodziny i żałosne, niezatarte wspomnienie u przyjaciół młodości. Wszystkim, którzy patrząc nań zbliska musieli wierzyć w jego literacką przyszłość; krajało się serce na myśl, że cały jego dorobek to tylko rozsiana po czasopismach garść drobnych rozprawek i studyów i kilka nie o wiele dłuższych opisów podróżniczych — a jedyny ziemski ślad jego istnienia, to krótka wzmianka w dziennikach, że w Kairze zmarł trzydziestodwuletni sekretarz dyplomatyczny.

Niebawem okazało się jednak, że spuścizna literacka po nim obfitsza jest, niż można się było spodziewać: że cenniejsze z pomiędzy jego prac już ogłoszonych — gdy się je dopełni wyborem z papierów pośmiertnych — złożą się na pokazną książkę, mogącą już dać miarę talentu a zarazem utrwalić w piśmiennictwie to imię, któremu nie było danem zajaśnieć pełnym blaskiem.

Ta jego książka, to jedyne jego *non omnis moriar*, ukazać ma nietylko wszystkie skarby duchowe, co z nim



razem zapadły się w otchłań grobu, dojrzałe już, ale jeszcze nie zużytkowane w całej pełni; na jej kartach zarysuje się czytelnikowi postać niezwykle jasna i czysta, człowiek pociągający wysokim polotem umysłu i najszlachetniejszymi znamionami serdecznej, prawdziwie polskiej natury.

Urodzony 5 lipca 1874 r. w Wielkiej Wsi pod Wojniczem, syn hr. Jana i Bogumiły z hr. Łubieńskich, odebrał staranne wychowanie domowe nawskróś katolickie i polskie. Zbliżony do matki usposobieniem wrażliwym i czułym, Ignął do niej od najwcześniejszego dzieciństwa iście wyjątkową synowską miłością, która była dlań zawsze źródłem dobrych natchnień i gwiazdą jego przewodnią do końca życia. Z ojca wziął niezłomność charakteru i zasad, energię i bujność żywotną, staropolską tężyznę i fantazyę, która nigdy rąk nie opuszcza. Te po rodzicach odziedziczone tak odmienne pierwiastki psychiczne zharmonizowały się w nim, tworząc naturę żywą i ruchliwą, bogatą i wszechstronną, zdolną zarówno męskiego działania jak i najmiększej uczuciowości — umiejącą trzeźwo patrzeć na życie i twardo spełniać obowiązki a równocześnie skłonną do marzeń, pochopną do idealnych porywów. Ambicya była mu bodźcem i podnieta, nigdy celem; głęboko wkorzenione podstawy moralne, oparte na niewzruszonej wierze i żarliwe poczucie patriotyzmu — busolą.

Takim już dał się poznać jako podrostek przybywający w r. 1887 na nauki do Krakowa, gdzie kończył gimnazjum Sobieskiego. Już podówczas poczęło się w nim objawiać gorące zamiłowanie i niemałe uzdolnienie literackie. Jak tyłu młodych zaczął od poezyi, choć sam czuł, że do niej wyższego powołania nie ma:

Moje natchnienie, jak ptaki przelotne,  
Złata ze słońcem, ulata w dni słotne;  
Póki trwa wiosna, póki pachną kwiaty,  
Śpiewa i kocha, strojne w ślubne szaty,  
A gdy zima nad ziemią całuny rozszerzy,  
Do szczęśliwych, słonecznych powraca wybrzeży.



Wiersze bywały gładkie i śpiewne, on wszelako miał nazbyt głębokie poczucie poezji, nazbyt wielką cześć dla niej, by te młodzieńcze »przelotne« porywy przeceniać; to też pożegnał się z tem złudzeniem, aczkolwiek nie przyszło mu to lekko. Pociąg do pióra został w nim, skierował się jednak odtąd ku literackiej krytyce i publicystyce. Do tego talent miał wyraźny i niewątpliwy.

Obok literackich skłonności — żywe i świeże poczucie piękna i wykwintna kultura umysłowa, sprawiły, że młodzieńki chłopiec jął się garnać do tych kół starszej nieco młodzieży ówczesnej, które oddawały się poezji i sztuce. Związany bliskim pokrewieństwem z człowiekiem tej miary jak Konstanty M. Górski — nie dziw, iż Antoni Stadnicki pozostawał, jak wszyscy, pod jego szlachetnym i uszlachetniającym wpływem. Co więcej, ten o tyle starszy brat cioteczny, tak wysoce i powszechnie ceniony, powoli wprowadzał młodzianiska w krakowski świat artystyczno-literacki. Druga niepospolita osobistość, która na Stadnickiego najsilniej podówczas oddziaływała, to X. Maryan Morawski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rozległa jego i głęboka wiedza, przystępność i poufałość koleżeńska niemal z młodymi a przytem niewypowiedziany wdzięk obejścia, łączący wielką słodycz z wytwornym dowcipem, wszystko to sprawiało, że O. Maryan skupiał dokoła siebie i porywał za sobą każdego, kto miał szczęście nawiązać z nim stosunki. Zbyt uczynna dodawać, że Stadnicki należał do jego wybrańców. Bo też ponad wiek w tym chłopcu rozwinięta inteligencja, bystry i błyszczący umysł, ujmująca szczerłość i serdeczność obejścia, jednały mu wszystkich. Wtedy to zawiązały się owe stosunki przyjacielskie, które w późniejszych latach, podtrzymywane listownie, przetrwać miały na zawsze, pomimo, że go niebawem życie na obczyznę zawiodło.

Wstąpiwszy do Akademii Oryentalnej w Wiedniu, stanął odrazu w rzędzie jej najzdolniejszych i najpilniejszych uczniów. Pracował rzetelnie, aczkolwiek do zawodu konsu-



larnego ciężko mu czasem bywało naginać literackie swe usposobienie. Nie wyrzekał się pióra, marzył o tem, by jedno z drugim pogodzić; każdą wolną chwilę od obowiązkowej pracy w Akademii poświęcał rozszerzeniu i pogłębieniu swego wykształcenia ogólnego, zwłaszcza pod względem literacko-artystycznym. Nieraz łamał się ciężko ze sobą, czuł się osamotnionym, szarpały go naprzemian tęsknoty i zwątpienia. »Walka ze sobą i ze światem zewnętrznym — pisał w jednej z takich godzin do przyjaciela — jest nieocenionym darem, który powinniśmy cenić; żeby żyć, trzeba działać i walczyć z jednej, poświęcać z drugiej strony«.

Obeznanego dokładnie z wszystkimi prądami literackimi Europy dręczyła i bolała zupełna obojętność zagranicy wobec rozwoju polskiego piśmiennictwa i sztuki. Władając wybornie językiem francuskim, pragnął wyzyskać tę okoliczność i dlatego za cel główny obrał sobie pisywanie o rzeczach polskich do najwybitniejszych miesięczników paryskich. Na początek miało pójść obszerne francuskie studjum o Sienkiewiczu. Trzeba pamiętać, że były to czasy, kiedy tak wybitny człowiek, jak Albert Sorel, niedawno zmarły sekretarz Akademii francuskiej, prezydując w Paryżu na zebraniu literackim, w którym prof. Gasztowt miał odczyt o Sienkiewiczu — nie mógł sobie zapamiętać nazwiska autora *Trylogii* i z trudnością przesyłabizował je z kartki podczas wstępnego swego przemówienia.

Wyczerpująca, na wielki rozmiar zakresłona praca Antoniego Stadnickiego, miała za zadanie tę nieznaną rzecz polską przełamać i twórczości Sienkiewicza naprzód, innych naszych pisarzy za nim drogę na Zachód torować. Napisana już była w znacznej części, kiedy młody autor oddożyć ją musiał, gdyż właśnie wtedy, w r. 1897, ukończywszy Akademię Orientalną, znalazł się na politycznej posadzie w Serajewie przy boku ministra Kallaya. Nowy świat, nowi ludzie, nowe stosunki uderzały jego młodzieńczą wrażliwość. To też najskwapliwiej zapisywał swoje spostrzeże-



nia, myśli, uwagi, a tak rosły mu pod ręką materiały, które później opracował jako *Zapiski z podróży po Bośni*.

W dwa lata później dostał się jako elew konsularny do Marokko, gdzie na stanowisku konsula austro-węgierskiego zastał hr. Hohenwartha. W Tangierze mianowany wicekonsulem w r. 1900, pracowitością, bystrością i umiejętnością postępowania takie sobie zdobył uznanie, że kiedy hr. Hohenwarth niezadługo przeniósł się jako ambasador do Meksyku, zażądał, aby mu do boku dodano Stadnickiego. Zadanie poselstwa austriackiego było tam właśnie szczególnie trudne, nieomal drażliwe, od czasu bowiem tragicznej śmierci arcyksięcia Maksymiliana stosunki dyplomatyczne zerwane były zupełnie i szło teraz o zadzierzgnięcie ich na nowo.

Ambasadorem niemieckim był w Meksyku bar. Heyking, którego małżonka, z domu Heming, jest autorką słynnej, z niepospolitym wdziękiem napisanej książki, *Briefe die ihn nicht erreichten*. Antoni Stadnicki skorzystał ze sposobności by się zbliżyć do głośnej autorki niemieckiej i pod wpływem tej znajomości powstała śliczna recenzja *Listów które go nie doszły*. O szczególnych zdolnościach do krytyki literackiej świadczył z tychże lat pochodzący i również ogłoszony w *Czasie*, wyborny rozbiór *Żywota i myśli Pana Podfilipskiego*. Bardzo trafne, często nawet głębokie ujęcie przedmiotu, ścisłość rozumowania, bystry sąd literacki, wszystko zdawało się wskazywać, że Stadnicki na tej właśnie drodze krytycznej, mógłby zająć rzeczywiście daleko. Lecz on miał już wytknięty przed sobą inny kierunek, może istotnie najwłaściwszy. Barwne *Zapiski z podróży po Bośni*, które wzbudziły powszechne zajęcie i wcześniejszy jeszcze od nich opis wrażeń ukraińskich, zatytułowany *Z krainy Ogniem i Mieczem*, to był rodzaj literacki, który go najbardziej pociągał, a przytem doskonale się kojarzył z powołaniem dyplomaty przerzucanego zawodowo co lat kilka z miejsca na miejsce do różnych dalekich, częstokroć mało znanych i rzadko opisywanych krajów.



Wszak i wrażeń nowych i spostrzeżeń ciekawych nastreściła mu była już podostatkim przeprawa przez Atlantyk i podróż przez amerykańskie Stany Zjednoczone w drodze na posadę konsularną w Meksyku. Dla człowieka rozporządzającego, jak on, stylem żywym i malowniczym, cóż łatwiejszego jak ująć te notaty przygodnie kreślone w jedną całość, nadać im artystyczną formę i przed czytelnikiem roztoczyć obraz nieznanego świata pochwycony żywcem, drgający bezpośrednim odczuciem. Nadarzy się przytem niejedna sposobność do porównań i zestawień z innymi, poprzednio już poznanymi krajami, a nadewszystko z rodzinnym, do którego ciągle zwraca się serce stęsknione. A nadto żaden może inny rodzaj twórczości pisarskiej nie daje takiej swobody potrącania o wszelkie przedmioty, w żadnym lepiej nie można zużytkować rozległego wykształcenia — jeśli się je naprawdę posiada: znajomość historii świata i historii kultury, czytanie dokładne w piśmiennictwie polskim i w obcych, wiadomości nabyte z dziejów sztuki w różnych jej rodzajach, epokach i stylach, umiejętności ekonomiczno-polityczne zarówno jak wiedza przyrodnicza — wszystko tu jest przydatne, wszystko da się zastosować. Nie mniej nęcące i to, że spisując wrażenia i przygody podróże ma się co krok otwarte pole do wypowiedania swoich osobistych przekonań i zasad, uczuć i zamiłowań. Rzeczywiście mało kto posiadał więcej i lepszych warunków do tego właśnie literackiego rodzaju, niż Antoni Stadnicki. To też wnet poczuł, że teraz dopiero znalazł prawdziwy swój kierunek pisarski.

Kraj nie zwiedzany i nie opisywany prawie nigdy, jak Meksyk, zaciekawił go tedy niezmiernie; raz wraz odbywa ze stolicy wycieczki w najdalsze, najmniej znane strony. Gdy inni dyplomaci nudzą się tylko i wyrzekają na zabijające nudy, on każdą wolną chwilę poświęca tym wędrownikom, podczas których daje folgę swej rycerskiej żyłce do łowów, niestrudzenie całymi dniami wiosłuje na meksykań-



szych rzekach, wdziera się na szczyty najwyższych wulkanów, zwiedza starożytności jeszcze z doby Inkasów, a potem wrażenia i spostrzeżenia spisuje najskrzętniej w codziennych prawie listach do matki. W ten sposób tam, w dalekim rodzinnym domu nad brzegiem Dunajca gromadzi mu się i narasta nowy materiał do nowych opisów podróży.

Ale więcej niżli sam krajobraz, położenie, przyroda, klimat, zaciekawiają go zawsze ludzie. Wniknąć w duszę narodu, na tle warunków przyrodniczych, klimatycznych i dziejowych, zrozumieć jego pojęcia i zwyczaje, znamienne właściwości jego natury i kultury, a w końcu wszystkie te cechy fizyczne i psychiczne sprowadzić do wspólnego mianownika, którym jest sama już istota i duch rasy — to dlań zadanie główne i ostateczne. Tak było w Bośni, Hercegowinie, Dalmacyi, tak w Marokku, czy Stanach Zjednoczonych, tak samo jest później w Meksyku i będzie w Egipcie.

To też na meksykańskie walki byków, roznamiętniające ludność miejscową hiszpańskiego pochodzenia, patrzył jako na wyborną sposobność wmyślenia się i wczucia w tamtejszy — i wogóle w hiszpański — charakter narodowy. Stale więc uczęszczał na krwawe zapasy, a jego sąd o nich jest może najciekawszy ze względu na niego samego. Nie daje się oczywiście ponieść paroksyzmem entuzjazmu, który zwolenników corridy przyprawia niemal o szal, nie powtarza tkliwych a zarazem oklepanych frazesów oburzenia i litości nad bykami; tłumaczy psychologię corridy, sięgając do najpierwotniejszych instynktów rasowych, a w końcu potępia tę straszliwą zabawę z nowego zupełnie i bardzo słusznego punktu widzenia, jako widowisko, przy którym zdrowi, młodzi, krzepcy napawają się beczynnym patrzaniem na walkę, niebezpieczeństwo i śmierć, a tem samem wyzuwają się z męztwa; wyrodniejają moralnie w tchórzostwie upadającym, bo zabezpieczonem szrankami. Pod piórem polskiego szlachcica, którego przodkowie nie roztkliwiali się nad losem niedźwiedzi czy dzików, idąc na nie z oszczepem czy



kordelasem w garści, takie zdanie, trafne samo przez się, jest nadto jeszcze wymownem potwierdzeniem przysłowia o jabłku, padającym niedaleko jabłoni. Stadnicki nie byłby jednak sobą, gdyby poprzestał był na wypowiedzeniu swego sądu, grała w nim krew nie pozwalająca mu klaskać i krzyzczyć na widok śmiertelnej walki: skorzystał z ogłoszenia, którem ochotników z pośród publiczności wzywano do zmierzania się z bykiem, i gdy jakoś nikt z meksykańskich zapaleńców nie kwapił się do tego, znalazł się na krwawej arenie on, młody Polak, i stanął oko w oko z rozjuszonym zwierzem. Powie kto, że to szalona, zupełnie zbyteczna tężyzna młodzieńcza? Być może. Lecz to pewniejsze, że nie każdy młody na nią się zdobędzie.

Ten sam człowiek podczas jednej ze swoich wypraw myśliwskich napotyka w głębi dziewiczych lasów ciężko chorego Meksykanina i jak miłosierny Samarytanin przenosi go z pomocą przewodnika po najgorszej drodze przez całe dziesiątki mil do szpitala w najbliższej miejscowości. Może i to także młodzieńcza fantazja?

Niebawem znalazł się młody sekretarz konsularny w innym zgoła świecie i otoczeniu. Wybitne zdolności otwały mu szersze i wdzięczniejsze pole działania dyplomatycznego: w r. 1903 przeniesiono go do poselstwa austro-węgierskiego w Egipcie. Tutaj, w Kairze, na stanowisku naczelnem znalazł rodaka Tadeusza hr. Koziembrodzkiego. Stęsknionemu za krajem taki przełożony musiał być osobliwie miły i bliski. Tęsknotę łagodziły także przyjazdy do rodzicielskiego domu, chwilowe co prawda i rzadkie, zawsze po długiej niebytności i zawsze tylko na krótko. Za to poczta bez przerwy nosi do Wielkiej Wsi listy synowskie z Kairu i nie tylko z Kairu. W Egipcie bowiem tak samo zużywa Stadnicki dni lub tygodnie wolne od zajęć urzędowych na bliższe i dalsze wędrówki. Oczywiście deltę Nilową, piramidy, sfinksa i wszystkie osobliwości starożytne w północnym Egipcie najłatwiej mu zwiedzać. Ale dwukrotnie święta Bożego Narodzenia spę-



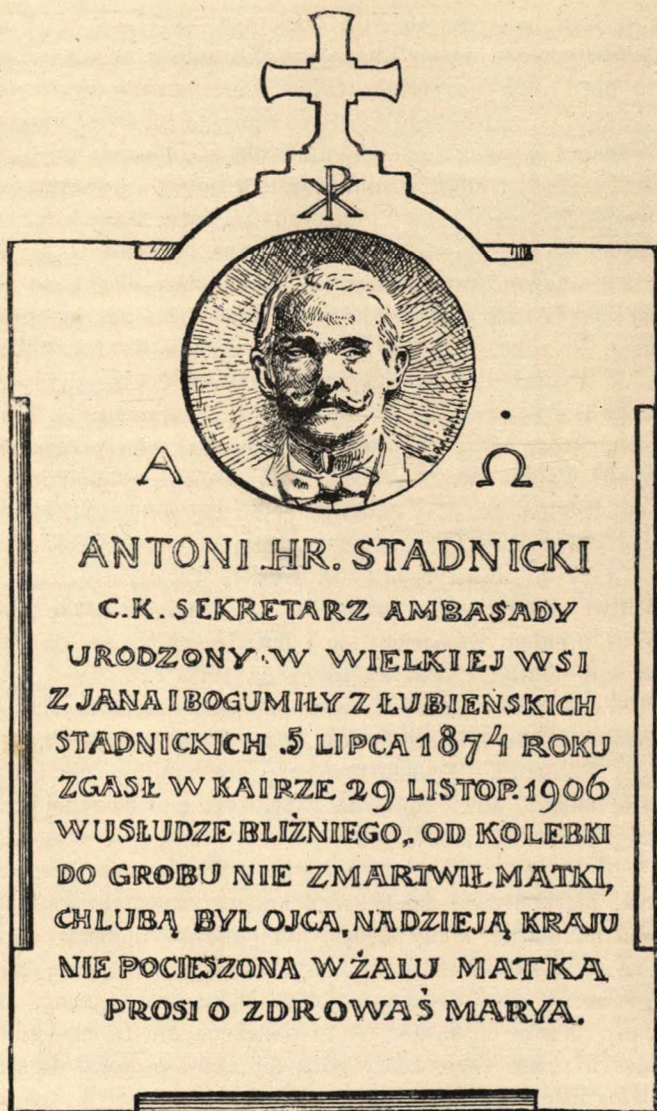
dza w krainie średniego Nilu docierając do Luxoru, Kom-Ombos, Karnaku, wyspy Elefantyny. Każdem wrażeniem dzieli się z matką. Jak przed laty małym dzieckiem nie mógł znieść na jej twarzy najłżejszego smutku i z prośbą wtedy powtarzał: — »Mamo, pogodniej!...« — tak obecnie dorosły pocieszał ją w troskach i zmartwieniach, radził się jej we wszystkim, zwierzał się przed nią z każdego zamiaru, spowiadał się z każdej myśli. Dla niej synowskie serce nie miało tajemnic.

Te rzewne, często wręcz budujące listy ciągną się nieprzerwanym szeregiem do końca. Jeszcze na miesiąc przed zgonem szeroko rozpisuje się o wycieczce do Karm-Abu-Mina. Wybrał się tam dla zwiedzenia starochrześcijańskich wykopalisk, prowadzonych pod kierunkiem uczonego X. Kaufmanna, który teraz dopiero, w bieżącym roku przedstawił i ogłosił wyniki swoich odkryć w ogromnym, wspaniale wydanym dziele. Na opis dalszego ciągu tej wycieczki, zakończonej polowaniem w pustyni, czasu już nie starczyło: powróciwszy do Kairu zastał hr. Koziembrodzkiego w ciężkiej zaraźliwej febrze. Nie bacząc na niebezpieczeństwo pielęgnował z całym zaparciem się i poświęceniem, ale sam zapadł śmiertelnie; umarł 29 listopada 1906 r.

Tym którzy go znali ciężko pogodzić się z myślą, że do grobu zeszło tyle zdolności, tyle sił nie zużytych, tyle wiedzy i talentu. Trudno uwierzyć, że nic już nie będzie z tyłu nadziei, które rokował, z tyłu rękojmi świetnej przyszłości, które już złożył.

Nieprzeżyte życie, niewcielone myśli, nieziszczone marzenia, nieskończone dzieła, niedokonane czyny, to wszystko poszło na marne i nie będzie mu policzone ludzką miarą; ale ze sobą zabrał, co w nim było najlepsze: czyste, szlachetne serce, dobrą i zawsze dobrą żądną wolę, górny, nieskalany niczem charakter — to policzone mu będzie miarą niebieską przez Tego, który go z tej ziemi powołał do swojej wiekuiestej chwały.







Taki był człowiek, takie jego życie.

A ta książka złożona z okruczeń jego talentu i pracy? Jej ocena nie należy do wydawcy, rzeczą jego powie-  
dzieć tylko jak złożył to co pozostało.

Ciężko bywa przygotować do druku puściznę po zmar-  
łym pisarzu, zwłaszcza po takim, który za życia sam wła-  
snego dzieła nie wydał żadnego: sądzić go będą ludzie po  
tem jedynem — pośmiertnem. Więc pragnęłoby się, iżby to  
co jest, wyszło najlepiej, najpiękniej i choć w małej części  
wynagrodziło mu krzywdę i szkodę, którą wyrządziła śmierć.  
Wydawca powinienby zatem uczynić dla takiej książki wszyst-  
ko, co zrobiłby sam jej autor gdyby żył: ten, jak każdy  
szanujący siebie i swe pióro pisarz, niezawodnie poprawiłby,  
zmienił, przerobił niejedno i w rękopiśmie i potem jeszcze  
w próbnym odbitkach. Pytanie tylko, czy godzi się, czy  
wolno cudzej ręce dokonywać tych zmian, przeróbek i po-  
prawek? I drugie pytanie, czy książka w ten sposób wy-  
gładzona nie stałaby się autorowi obcą?

Te dwa pytania lub raczej te dwie przestrogi miał  
ciągle przytomne w myśli wydawca, pamiętny, że nie tylko  
zalety pióra, lecz nawet usterki czy nieprawidłowości stylu  
składają się na tę odrębną fizyognomię każdego pisarza,  
która go z pomiędzy wszystkich innych wyróżnić powinna.  
Dociąganie do gładkiej poprawności wyszłoby zatem na za-  
cieranie cech i rysów znamienych.

Jak najmniej poprawiać i przerabiać, jak najmniej  
»przygotowywać do druku« — takie powinno być i takie  
było tym razem założenie wydawniczej roboty. Dlatego też  
prace przez autora samego za życia już ogłoszone, weszły  
do książki prawie nietknięte, przejrane tylko i sprostowane  
jedynie w drobnostkach takich, w których myłka była wi-  
doczna. Tak przedrukowano *Zapiski z podróży do Bośni*,  
*Pickstiking*, *Z zamorskich spostrzeżeń*, *Ciemności egipskie*.

Trudniej było zachować równą powściągliwość wyda-  
wniczą wobec rękopismów: znalazło się w nich pełno prze-



kreśleń, zdań przez autora później wpisanych lub dodanych na osobnej kartce, niektóre ustępy zachowały się w podwójnem, często nawet kilkakrotnem różnem opracowaniu, czasem tok myśli przerywał się zupełnie w pół zdania. I tu jednak starano się także ograniczyć dopełnienia, sprostowania i nieuniknione zmiany do rozmiarów jak najskromniejszych. Może najwięcej kłopotu sprawiały dwie prace pokrewne sobie, napisane na temat walki byków, obie nawzajem od siebie niby niezależne i do siebie nienależące na pozór, a jednak związane nierozdzielnie i myślą i przedmiotem, a co gorzej, wspólnymi ustępami, które się w jednej i drugiej powtarzały; nie można więc było wydrukować obu — żal poświęcić jedną czy drugą, bo równie zajmujące obiedwie. Nie pozostawało tedy nic innego, jak domierzać je, dociągać i przykrawać póty, póki nie utworzą jednej całości.

Listy, szczególnie z Meksyku i Egiptu, nadawały się w znacznej części do ogłoszenia, tyle w nich bezpośrednich, żywcem zapisanych wrażeń. Zdawałoby się, że nic łatwiejszego, jak usunąć ustępy nazbyt osobistej, prywatnej natury, a wybrać wszystko, co może być zajmujące dla czytelnika. Zapewne, lecz pisane od ręki, częstokroć na popasach i noclegach w podróży, musiały być niekiedy nazbyt zaniedbane pod względem formy literackiej, ba nawet pod względem form gramatycznych, tak iż nieodzownie wymagały niekiedy ściągnięć i skróceń, poprawek i wygładzeń. Ale i tu w żadnym wypadku nie ośmielił się wydawca na dodatki czy upiększenia, wolał raczej wykreślać i opuszczać najsłabiej napisane ustępy, niż ratować je swoimi własnymi pomysłami czy domysłami. Uniknąć nie mógł tego jedynie, że niektóre szczegóły przez autora zużytkowane już gdzieś indziej musiały się powtarzać niekiedy w listach.

W końcu godzi się wspomnieć o materyale nader obfitym, który wcale wejść nie mógł w skład książki. W rękopismach znalazły się różne próby literackie; urywki nowel a może i większych powieści, początki rozprawek literackich



i krytycznych, trochę wierszy — ale wszystko tak fragmentaryczne, że zdaniem wydawcy nie nadawało się do druku. Można było jedynie dołączyć dwie recenzje z *Listów, które go nie doszły* i z *Pana Podfilipskiego*. Zamiar taki był nawet pierwotnie, gdyż oba te rozbiory zasługiwałyby na to w całej pełni.

Przeważył inny wzgląd, rozstrzygający wzgląd na jednolity charakter książki: treścią dwu pokaznych tomów są wyłącznie opisy, wrażenia, spostrzeżenia podróżnika; czy nie szkoda byłoby tę całość i jednolitość poświęcać, dolepiając do niej tak ni stąd ni zowąd parę kartek recenzyj literackich, coś jakby arkusz druku przez omyłkę tutaj wszyty z innej książki tegoż autora?

Wszak najpowszechniejszą i najczęstszą wadą »dzieł pośmiertnych« bywa to właśnie, że bywają zazwyczaj rodzajem lamusa, w którym składa się najróżniejsze kalekie graty literackie, nie mające pomiędzy sobą nic wspólnego. Wrażenie czytelnika bywa też nie inne jak w składzie mebli, a da się określić jednym tylko słowem: chaos.

Nieodżałowana szkoda, że Stadnicki nie zostawił po sobie więcej takich prac krytycznych, jak te dwie; że nie zestawił ich tyle, by wydane razem stanowić mogły jaki taki tomik literackiej krytyki. Ale zostało po nim dość tak żywych, zajmujących i barwnych opisów podróży, że stanąć może jako pisarz w tym kierunku znaczący, poważny. Polska literatura podróżnicza, wogóle niebogata, zyskuje dzieło jedno z lepszych w tym rodzaju. Przynajmniej wydawca ma najszczerze poczucie, że nie tylko spełnił smutny obowiązek przyjaźni, lecz także nieco przysłużył tem samem naszemu piśmiennictwu, któremu życzyć można, by więcej miało sług tak oddanych i pojmujących zawód pisarski tak rzetelnie i tak szczerze jak ten zmarły.

Nie cały wprawdzie jego talent i nie cała jego dusza jest w tej książce, ale przecie zawarło się w niej coś z jego



myśli, coś z jego serca — i to w niej może będzie najlepsze.

I godna jest niezawodnie ta smutna puścizna po synu, opracowana ręką wiernego przyjaciela, by ją złożyć u nóg Matki

Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech ta książka w godzinach boleści przemawia do Niej głosem tego dziecka, które Ją niegdyś pocieszyć umiało, mówiąc: »Mamo, pogodniej!...«

Tonie, 16 kwietnia 1911.

*Lucyan Rydel.*



Z KRAINY „OGNIEM I MIECZEM“.





## I.

**U**n paysage est un état d'âme<sup>e</sup> powiedział Amiel. Uczony genewski należy do zastępu pisarzy szwajcarskich tem ciekawych i uwagi godnych, że łączą w sobie, często sprzeczne pierwiastki francuskiego i niemieckiego ducha, myślenia, pojmowania a wskutek tego i przedstawiania ludzi i rzeczy, swego własnego wewnętrznego ja i zewnętrznego świata.

Powyżej przytoczone zdanie jest tłumaczeniem jednego niemieckiego wyrazu »Stimmung«, które próżnoby kto siłą się oddać po francusku wyraźniej i dobitniej. Nasz nastrój nie jest może zupełnem, nienagannem odbiciem, odzwierciedleniem słowa, tak nawskróś właściwego germańskiej naturze, ale chodzi tu już o mniej lub więcej subtelne odcienia, o których rozstrzyga smak, poczucie językowe. Francuz nie może znaleźć odpowiedniego wyrazu, bo mu poprostu pojęcie zupełnie jest obce. Konkretny, jasny, syntetyczny umysł francuski nie może zgoła zrozumieć tego mglistego nieuchwytnego pierwiastku, jakim jest nastrój w tworzeniu i odczuwaniu tajemniczego związku i prawie spisku między malarzem a widzem, pisarzem a czytelnikiem. Tłumaczenie jest i niewierne, bo niezupełne — wszak nastrój obejmuje wszystkie dziedziny sztuki nie zaś wyłącznie krajobrazy — i mimo pozornej a łudzącej jasności, niezrozumiałe.

A jednak nie ulega wątpliwości, że ta sławna »Stimmung«, czy nastrój, jest czemś rzeczywistem choć nie na-



macalnym, że ta nie sympatyczna; która poprzez dzieło sztuki łączy twórcę z tym, komu i dla kogo ono było przeznaczone, stroną czynną i stroną bierną, wywołuje w nich to samo drganie czy falowanie intelektualnych lub uczuciowych czynników, a zatem te same obrazy i wizje wewnętrzne stawia im przed oczy, jest poprostu narzędziem dalekośnym jak telegraf albo telefon — zbliżającym dusze.

Niekiedy nastrój jak prąd elektryczny łączy duszę ludzką nie z duszą bliźnią ale wprost z naturą samą, pozwala przejrzeć jej głębię, przeniknąć jej tajemnicę, uchwycić główny rys, jej duchowego, że się tak wyrażę, oblicza, odgadnąć czemu górskie widoki tchną jakąś ochoczą wesołością a czemu »w Ukrainy błękitnych polach-tak jest smutno duszy«.

Może więc nie krajobraz jest stanem duszy, ale pewne krajobrazy odpowiadają bardziej pewnym stanom duszy, albo — jak to nasz Sienkiewicz prościej i jaśniej od francuskiego pisarza określił — możeby przyznać trzeba, że istnieje niezawodnie »indywidualny stosunek« oczu do przyrody, który danej osobie, pewnemu widzowi ułatwia lub utrudnia pojęcie i odczucie jej piękności.

Od najmłodszych lat marzyłem o stepach, jarach, kurhanach dawnych kresów Rzeczypospolitej; to były strony i okolice, które mnie nad wszystkie inne pociągały, które lubiłem na niewidziane — z opisów i opowiadań. Sympatyi uzasadniać trudno i niepotrzeba zresztą, ale w tym przypadku myślę, że Sienkiewiczowskie *Ogniem i Mieczem* zwróciło w tym kierunku dzieciinną wyobraźnię, zajęło umysł i odrazu chwyciło za serce.

Trylogia, ale zwłaszcza jej pierwsza »Część« wyparła z ręki »dorastającej młodzieży« z roku 1884 i następnych indyjskie powiastki i amerykańskie historie.

Przebieraliśmy się, wydawali przeraźliwe okrzyki wojenne, kułakowali wówczas — nie w imię czerwonych band ani traperów Cooper'a, ale w imię Skrzetuskiego i Burdabuta, Wołodyjowskiego i Bohuna; jak Longinek i Jarembka

Skrzetuscy z *Potopu* porywaliśmy i odbijaliśmy Helenę, słowem po dziecinnemu braliśmy udział w tem ważnym zdarzeniu cywilizacyjnym, jakim było niezaprzeczenie ukazanie się najpiękniejszej polskiej powieści. *Potop* i *Pan Wołodyjowski* nie sprawiły bez wątpienia podobnego wrażenia: chwalono i podziwiano, cieszone się każdym felietonem, nieraz zalewano łzami albo drżano o losy Babinicza czy Basi, ale wstrząśnienie nie było również silne, bo nie było i być nie mogło niespodziewane.

Geograficzną, że tak rzekę ciekawość, chęć poznawania miejsc, gdzie się toczyły zapasy między Jareną a kozactwem i czernią, wzbudziło we mnie tylko *Ogniem i Mieczem*. Część trylogii trzecia: *Pan Wołodyjowski* toczy się w tych samych okolicach mniej więcej, w których rozegrała się część pierwsza, *Potop* zaś ma za widownię, jak wiadomo, całą niemal Rzeczpospolitą od Żmudzi do Spiskiej ziemi, od Wielkopolski do Czerwonej Rusi, więc nie przykuwa uwagi i zapału czytelnika do jednego jakiegoś oznaczonego miejsca.

Z latami i lekturami rosła sympatya do Podola i dzikich pól. *Beniowski* i *Mazepa* Słowackiego, *Dunki* Zaleskiego, nawet — choć już mniej — *Marya* Malczewskiego i *Zamek Kaniowski* i wreszcie *Mohort* zwracały myśl do tych południowych ziem dawnej Polski, gdzie życie najtwardszym płynęło pędem, a »kawalerska fantazyja« była wrodzona tym dzikim i porywczym, ale podniosłym i rycerskim duszom.

Kto z temi wspomnieniami jedzie na dzisiejsze Podole doznać musi rozczarowania.

Ziemia i ogólna postać kraju została oczywiście ta sama, lecz odmienne warunki bytu i kultury wpłynęły niepoślednio na zewnętrzne nawet wejżnienie krajobrazu a z dawnych ludzi i rzeczy, pojęć i instytucyi nie zostało chyba nic oprócz pamięci.

Was unsterblich im Gesang soll leben,  
Muss im Leben untergehen.



Napróżno szukałby kto dziś w tamtych stronach burzanów, w których czaiły się tatarskie czambuły i kozackie watahy albo podjazdy Wołodyjowskiego, próżnoby nawet szukał stepu niezoranego, dzikich pól pokrytych trawą i kwieciami.

Uprawna rola pokryła »suchego przestwór oceanu«, przenieć a buraki cukrowe, rosną tam, gdzie dawniej uganiały tabuny koni, gdzie wprawne ucho rozeznawało »wycie upiorów od wilczego«. Krze i zarośla wycięto, lasy wytrzebiono, z całego stafazu Sienkiewiczowskiej powieści — by użyć malarskiego wyobrażenia — przetrwały do naszych czasów chyba tylko nocne strachy, »brukołaki i siromachy«, które po dziś dzień, jak wprzód, hulają nocami po stepach i zabobonną przejmują trwogą ludność oraz wędrowców zapóźnionych po niepewnych drogach.

Nawet krwawej pamięci »Czarny Szlak«, szeroki dawniej i do ostatnich czasów na pół staj, zmalał już dziś miejscami do rozmiarów polnej drożyny: pługi chłopskie zaorały szeroki trakt udeptany niegdyś kopytami tatarskich zagonów i stopami nieszczęśnych więźniów pędzonych w jassyr.

Zwolna zdaje sobie podróżny sprawę z tego, że tęsknił nietylko za krajem ale i za czasem z *Ogniem i Mieczem*, że jadąc tam żywił jakąś ukrytą i niczem nieusprawiedliwioną a uporczywą nadzieję ujrzenia na stepie, bodaj w postaci znikomych mar, sennych widziadeł fatamorgany dziejowej, skrzydlatych zastępów hussaryi, chorągwi pancernych rozbijających w puch nieprzeliczone chmary ordynców i groźne szeregi janczarskiej piechoty — nadzieję ujrzenia naszej dawnej chwały i zwyciężkich pochodów.

Podróżny z daleka, stanąwszy po raz pierwszy na stepach, objąwszy okiem szerokie widnokreśli — karmiony książkowemi niestety tylko wspomnieniami, a spragniony tej dzielnej i bohaterskiej rzeczywistości minioniej — śmie marzyć o tem, że widzenia, które zjawiły się przed oczyma Bezimiennego Poety, »nad jeziora włoskim brzegiem« ukaza



się stęsknionym jego oczom w swej właściwej ojczyźnie, tam gdzie lała się pradziadów krew od bitwy pod Worskłą i śmierci Spytka z Molsztyna, aż do ostatniego niezacmionego promienia z naszej przeszłości wiekowej, do walk i zwycięstw króla Jana III.

Osobnym, a niedość może cenionym wdziękiem i urokiem Sienkiewiczowskiej Trylogii »pisanej w niemałym trudzie dla pokrzepienia serc« jest zwrócenie uwagi i serdecznej sympatii całego narodu na te wschodnie kresy, w których skupiło się życie polityczne narodu od Batorego aż do Stanisława Augusta. Od przygotowań do »wielkiej wojny« aż do Konfederacji Barskiej, od zorganizowania Syczy aż... do rzezi Humańskiej i Targowicy, historyczni i fikcyjni bohaterowie *Ogniem i Mieczem*, przywodzą na pamięć wspomniały szereg żołnierzy, rycerzów, hetmanów, którzy tam walczyli, zwyciężali od Zygmuntońskich już czasów, od Przemka Lanckorońskiego przez Żółkiewskiego i Chodkiewicza, Stefana Potockiego i Marka Sobieskiego, starostę Krasnostawskiego i Stefana Chmielewskiego i Czarnieckiego, Puławskich tyłu innych — aż do pierwszego u nas romantyka w życiu i działaniu, do Emira Rzewuskiego, stanowiącego rodzaj przejścia od żołnierzy do pisarzy i poetów, którzy w tych właśnie stronach zabłądli, jak nocne ogniki na starych cmentarzach.

Kiedy w innych dzielnicach szlachecką rzeszę owładała już ta senna złowroga, która przechodziła z wolna w niemoc, bezwładność aż do letargu i martwoty, tam na Rusi wrzało jeszcze życie w całej pełni, tam rwały się bujne i przedsiębiorcze natury do bojów i podbojów.

Zmienne losu koleje przynosiły powodzenie i klęski jak zawsze w życiu; tam też zadano Rzeczypospolitej pierwsze dotkliwe ciosy, ale i te rany otwarte mniej były dla jej organizmu niebezpieczne niż paraliż innych prowincji: tam krążyła jeszcze szparko ożywcza krew, gdy tężały już inne członki chorego ciała.



Nigdy nie oddycha się równie swobodnie, z całej głębi płuc, jak po burzy, gdy gromy i błyskawice wstrząsną parnem powietrzem przeładowanem elektrycznością, nawalne strugi deszczu zmiotą niezdrowe miazmaty gromadzące się wśród poprzedniej ciszy i skwaru a lekki wietrzyk roznosi orzeźwiająca woń ozonu i lekkie tchnienia do pieszczot podobne.

Tego wszystkiego uczy historya »vitae magistra«, ale historii słucha się zbyt często niedbale i niechętnie jakby jakiego pedantycznego pedagoga, natomiast skwapliwie i ze zdumieniem słuchamy starzy i młodzi baśni piastunek, podań i wierzeń ludowych, przetykających osnowę historycznych zdarzeń bogatym haftem urojonych postaci i przekształconych wypadków, albo uroczej wsłuchujemy się w słowa nieśmiertelnie młodej muzy poezyi szepejącej do ucha swego ulubieńca epiczną opowieść z dawno minionej przeszłości. Taką była Sienkiewiczowska muza, której też za to wszyscy, ale już osobliwie Podole, winno wieczną i niewygasłą wdzięczność.

Niestety! na marne wysilać wzrok, wyteżać słuch; żadne proporce nie wieją po łąkach, w ciszy nie dolatuje żaden szczełk szabel ani tentent maszerującej jazdy — dar widzeń i zakłęb nie każdemu jest dany, a moc czarnoksięska nie na usługach pierwszego lepszego.

Natomiast uwagę pochłania otaczająca okolica. Pociąg, który z Krakowa przewiózł mnie prosto na Podole, stanął na stacyi, gdzie wysiadałem, wśród ciemnej nocy, tak, że nie mogłem zauważyć stopniowej przemiany w krajobrazie. Zato przeciwieństwa charakteru okolicy nazajutrz tem ostrzej się zaznaczyły i utkwily w pamięci. Okolice Baru nie są bynajmniej stepowe, kraj jest falisty, pagórkowaty, droga nieustannie stacza się w dół, wspina się na obłe niewielkie pagórki — rżyska pszeniczne jesienną porą roztaiczają się ogromne i wszystkie do siebie podobne, jak okiem sięgniesz aż do krańców widnokreęu; porastają nikłą i rzadką trawą wyrosłą już po żniwach, pozółkłą jakby chorobliwą.



Gdzieniedzie ścierniska przerwane polem buraków lub koniczyny i znów ścierni i ścierni bez końca. Na widnokregu mająceję liściaste tylko lasy. Szpilkowych drzew nie spotyka się bez wyjątku nigdzie na Podolu, chyba w ogrodach, w parkach, w pobliżu dworów, gdzie służą głównie dla ozdoby.

Dla oka przedstawia las drzew liściastych dużo większą różnaitość zwłaszcza pod jesień, gdy różnogatunkowe drzewa mienia się wszystkimi odcieniami, od zieleni do szkarłatu i amarantu. Dąbrowy, wsie i futory widnieją porozrzucane dosyć rzadko na rozległych przestrzeniach, gdzieindzie stawy i strumyki płynące w głębokich korytach.

Nad tem wszystkim strop niebieski, zdaje się zolbrzymiały rozległością ziemi, którą tu nakrywać musi; w górze ogromne jastrzębie czy kanie ważą się na skrzydłach, lub zataczają niezmiernie wysoko obszerne regularne koła, szukając łupu, a nam wydają się używać na tej swobodzie i przestronności godnej swego lotu. Słońce nawet inaczej świeci na ten jednostajny potężny kraj, jak na drobniejsze, bardziej zapełnione okolice: nie bawi się w ślepią babkę, nie chowa się, to znowu wychyla za lada wzgórzem. Wielkie, czerwone, zda się bardziej samotne niż gdzieindziej; zachodzi pod wieczór promienną tarczą za równym, dalekim horyzontem. Samo miasteczko Bar leży w kotlinie wśród wzgórz dawniej porośłych lasem, dzisiaj pokrytych orną ziemią; baniaste zielone kopułki cerkwi i czerwone dachy domostw widnieją zdaleka. Położenie wydaje się jednak tak mało obronne z natury, że mimowoli nasuwa się pytanie, jak mogła ta miejscina być warownym grodem? Odmienne warunki dawnych »potrzeb« a wreszcie — po rozpaczliwych obronach tak za kozackich jak i późniejszych czasów — upadek zamku starczą za melancholijną odpowiedź. Z jednej tylko strony stanowią stawy i moczary naturalną ochronę, zresztą dostęp zewsząd łatwy i utrudniający obronę. O tych bagnach i trzęsawiskach powiadają miejscowe podania, że w ich łonie śpią nieprzebrane skarby, utajone tam za hajdamackich jeszcze wojen.



I znowu gadki tamtejsze mówią, że pod powierzchnią ziemi zajętej przez miasto kryją się potężne lochy, poprostu drugie miasto podziemne, gdzie żydowska przeważnie ludność krecią egzystencję prowadzi.

Lochy te ciągną się daleko poza miastem podobno, tak jak w bliskim Berdyczowie, gdzie zresztą, także co najmniej połowa mieszkańców kryje się stale pod ziemią. W tych wieściach zapewne dużo jest przesady, ale jest i część prawdy. Zdarzyło mi się widzieć w szczerem polu, daleko od wsi i zabudowań, zapadnięte podziemne korytarze, które widocznie prowadziły od jednej osady do drugiej.

W kraju pozbawionym kryjówek naturalnych, rozległym i widnym a wystawionym na ciągłe rozruchy, rozboje i drobne utarczki nawet w czasie pokoju musieli ci z pomiędzy mieszkańców, którzy nie mieli sił do obrony a zwinności do ucieczki, szukać schronienia w podziemiach, i tem się tłómaczą te katakumby osobliwszego rodzaju, rozciągające się pod miejscowościami dość nawet słabo zaludnionemi, gdzie nie brakowało przestrzeni. Im dalej się jedzie na południe od Baru do Kamieńca, tem okolica staje się bardziej malownicza, pagórki i doliny się wyrównują, a właściwie jary długie, głębokie i wąskie kryją całe wsie przed okiem podróżnika. I znowu w Barze i dalej na drodze — wspomnienia, lub raczej książkowe reminiscencye, podzwaniają w pamięci nieustannie jak te dzwonki charakterystyczne z uprząży »bałagulskiej« prawdziwie podolskiej czwórki. Przejężdża się koło klasztoru dokąd Zagłoba odprowadził był kniaziównę. Dzisiaj on zajęty przez czernice, prawosławne mniszki nie mające sympatyj nawet swoich współwyznawców. Na górze szuka się dębu pod którym ścinał się z Sawą pan Maurycy Beniowski. Co chwila waha się umysł, rozkołysany wrażeniami między dawnemi a nowemi czasy, między ułudną poezją a rzeczywistością.

## II.

Dwory i siedziby panów i szlachty na Podolu mają także odrębny charakter i fizyognomię. Jak wiadomo polski dwór nie ma ustalonych form architektonicznych — wiemy że stare zamczysko, przedmiot sporu Horeszków i Sopliców był gotyckiej struktury, natomiast nie wiemy jak wyglądało »centrum polszczyzny« dwór soplicówski i nikt o to nie pyta. Każdy tworzy sobie w wyobraźni swoje własne Soplicówo podług szlacheckiego dworu wiejskiego, który znał najlepiej za swoich lat dziecińczych, w którym się chował, lub do którego na wakacje z miasta przyjeżdżał.

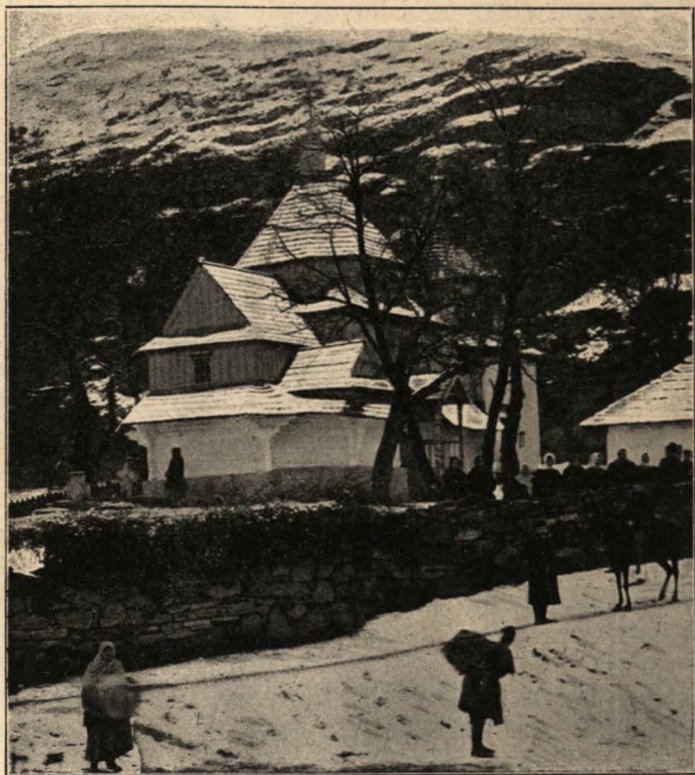
W całej dawnej Rzeczypospolitej przeważa jednak wśród zamożniejszych oczywiście, szlacheckich rezydencji, nie kuszących się o tytuł i powierzchowność pałacu, typ barokowy. Pewne reminiscencye francuszczyzny a niekiedy i włoskiego stylu z tych czasów, napotyka się po dworach w skromnych a raczej naszkicowanych tylko zarysach, jak np. tu i owdzie mansardy. Bo też bardzo wiele naszych dworów pochodzi z pierwszej połowy XVIII wieku, gdy na zachodzie barok przechodził już w styl rococo, lecz u nas spóźniona jak zawsze sztuka nie znała jeszcze tych drobnych architektonicznych cacek.

Styl Cesarstwa równie wycisnął swoje piętno na polskich siedzibach szlacheckich. Ileż to takich zna się z początku tego wieku zdobnych w kolumny, które są ostatniem odbiciem Malmaison Pierwszego Konsula, tak jak wiele pańskich pałaców stawianych za saskich czasów albo za Stanisława Augusta przypomina z daleka niedościgniony tego stylu ideał: wersalski pałac du Roi-Soleil.

Na Podolu o ile zauważyć i porównać miałem sposobność, obok wielu dworów pozbawionych już zupełnie wszelkiej pretensyi do stylu i będących prostym zlepem najrozmaitszych przybudówek, przeważa pseudo-klasycyzm



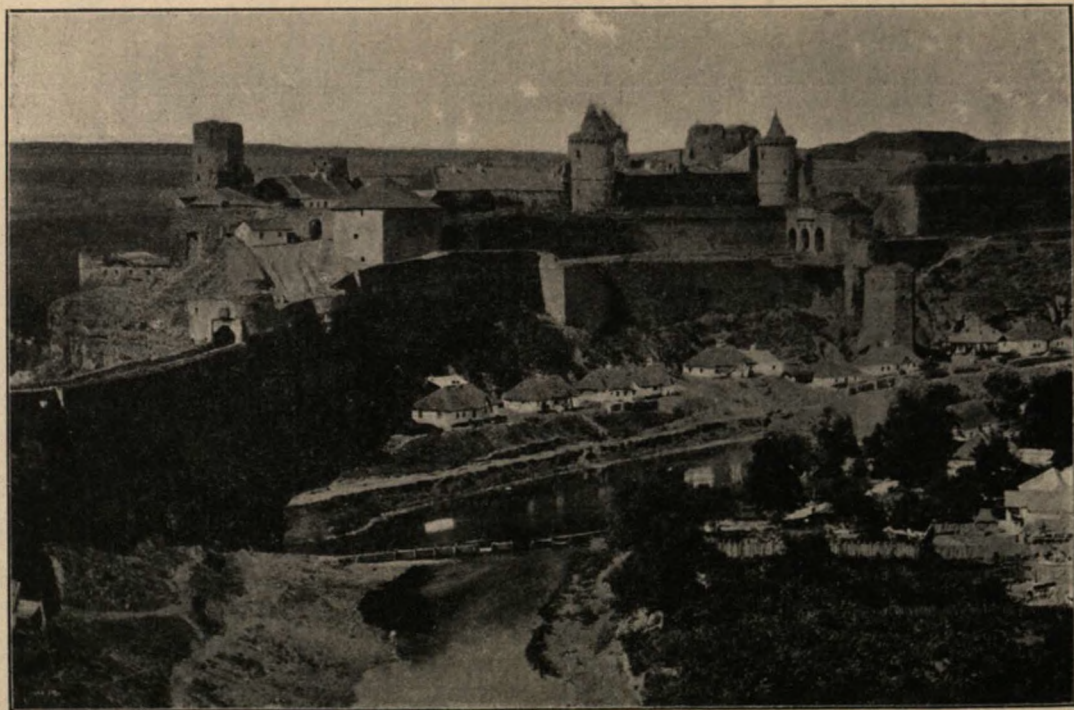
styl pierwszego cesarstwa, zastosowany do potrzeb szlachcica polskiego. Ale i tu pewne charakterystyczne cechy nie pozwalają zapominać o tem, że to kresy i że do końca prze-



Kościółek drewniany barokowy pod Kamieńcem.

Fot. z nat.

szłego wieku trzeba się było mieć w tamtych stronach na baczności, przeciw rozbojom i najazdom. Niewielki stonsunkowo dwór ozdobiony stiukami wśród strzyżonego francuskiego ogrodu, graniczy z ogromnym czworobokiem stajen,



Kamieniec Podolski.

Fot. z nat.





Kamieniec Podolski. Minaret przy Katedrze od r. 1672—1679 zamieniony na meczet.

w którym niemal pułk jazdy mógłby znaleźć pomieszczenie. Tak też i było! Stajnie te na rozległym podwórzu stojące, mieściły niegdyś rzeczywiście nadworną milicję dla okazałości, ale i dla straży; a tak sam dwór przypomina stanicę graniczną: był siedzibą ale i posterunkiem razem. Łacińskie kościoły równocześnie z dworami stawiane w tym samym stylu, już zewnętrznym wyglądem zaznaczają łączność, jaka mimo wszystkiego między niemi dotąd istnieje. Starsze cerkwie noszą gdzieś na szczytach kopuł greckie krzyże na półksiężycu — znak przejściowego panowania tureckiego paszaliu ze stolicą w Kamieńcu, od buczackiego do karłowickiego pokoju.

Zresztą zabytków mało, prócz mogił rozrzuconych po kraju na szczytach pagórków; świadczą one o stoczonych potrzebach, o tej krwi przelanej w obronie Ojczyzny, krwi której historycznego śladu i skutków tak rozpaczliwie mało, której podróźny szuka ciągle i tak często dopatrzeć się nie może. Zapóźnym żalem przejęty wędrowiec po obcej bądź co bądź ziemi, powtarza z poetą skargę na zmarłych przodków, którzy

Życie w życia chwili,  
Z taką pychą przemarnili.

O »Czarnym Szlaku« już wspomniałem że na starość skurczył się, zwęził, tak, że dziś orda nie mogłaby w pochodzie na nim się pomieścić. Zarosły nawpół trawą, nawpół opustoszały, nie zna on innych jeźdźców jak tych, którzy dla niewinnej rozrywki szczują hartami zające, ani innych taborów, jak te niezliczone wozy, które podczas mego pobytu na Podolu zajmowały wszystkie drogi, zwożąc buraki z pól do cukrowni bardzo dziś licznych. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu jadąc drogą, którą ciągnęła w XIII wieku ostatnia wędrówka narodów, aż oparła się i rozbiła o hufce chrześcijańskich rycerzy pod Lignicą i Ołomuńcem. Wszakże na tę samą drogę dziś tak bezpieczną i od innych niczem się nie różniącą, patrzył każdy przez długie późniejsze wieki ze zgrozą i przerażeniem, azali nie rozjaśnienie pożogą pobliskich siól i osad zapalonych przez Tatarów, podczas ich błyskawicznych pochodów — nakształt posępnych latarni przydrożnych. Zaiste jeżeli gdzie, to na tym trakcie każda piędź ziemi jest naprawdę przesiąknięta chrześcijańską krwią i łzami męczenników. Nazwa »Czarnego Szlaku« nie jest zresztą przenośnią, prawdziwy czarnoziem nieprawdopodobnego koloru ma się pod nogami: istna to czarna taśma wśród już naprawdę stepowej okolicy, wśród ogromnych pszenicznych łąnów, po których wzrok leci prosto przed siebie w dal, póki mu sił starczy. Ożywienia a zarazem jakiegoś nowożytnego charakteru, dodają podolskim stronom liczne cukrownie gęsto po tych żyznych ziemiach rozsiane. Koło wysokich kominów fabrycznych kupią się zazwyczaj dworki urzędników i mieszkania robotnicze zaludniające nagle i niespodziewanie pustą poprzednio okolicę.

We wrześniu i październiku, w samych początkach kilkumiesięcznej zazwyczaj »kampanii«, wszystkie drogi dookoła cukrowni są zapełnione małymi chłopskimi furami, które odstawiają prosto z pola świeżo wykopane buraki. Wówczas zakład fabryczny wygląda jak pajak wśród paję-



czynny, rozciągający na wszystkie strony swoje szare nici i wciągający zewsząd żywotne soki. Niezwykły ruch po drogach, na których próżno szukałby kto drobnego nawet kamyczka, wywołuje w czasie posuchy tumany i poprostu chmury kurzu, o których mieszkańcy bardziej cywilizowanych, a zwłaszcza bardziej kamienistych krajów nie mają zgoła wyobrażenia. Zwłaszcza pod wieczór, po całodziennej jeździe, obłoki pyłu unoszą się długimi smugami, jak dymy pożogi, wiją się koło fabryki, wzbijają się ponad nią a prozaiczna cukrownia, gdy zmrok zapadnie, gazowemi albo elektrycznemi świeci latarniami, zapalanemi na nocną pracę wśród czarnych przestworów, jak czarnoksiężka pracownia, rodzaj tajemniczej Hexenküche, w krwawych odbłyśkach czerwonych światła, owita w tumany szarego prochu, niby dymu cudownych ziół, wśród których pojawić się mają dusze zakłète z zaświata. Zbliża i za dnia czar pryska, w olbrzymich kotłach warzą się, nie alchemiczne jakieś dekokty podług dyabelskich recept, ale najprościej w świetle tysiące korey buraków, przepelniających powietrze pewną wonią, znaną każdemu z nas dobrze: zapachem barszczu. W samym zaś gmachu fabrycznym urzędnicy uwijają się po wszystkich oddziałach, komenderują, odczytują na specjalnych i skomplikowanych instrumentach rozliczne stany przejściowe wyrobu, według których kierują robotą i robotnikami. Ci pracują miarowo, obojętnie, prawie automatycznie, zawodząc rzewną i tęskną ruską dumkę, nie licującą zgoła z turkotaniem kół, ze świstem parowych gwizdawek, tę samą zapewne, którą śpiewali przed wiekami skrzętni Zaporozcy, mistrze rozmaitych rzemiosł w czasie pokoju. Nadaje to całej takiej fabryce dziwną i odrębną fizyonomię własną. Cukrownie dają podolskim okolicom, przygniecionym poniekąd nadmiarem wspomnień, pewien charakter aktualności; w tym kraju kurhanów i mogił, przedstawiają życie albo raczej ruchliwość współczesną na pustkowiach; świadczą o tem, że wartki



bieg życia nie zabagnił się, ani nawet nie zleniwił, ale nowe sobie wyźłobił koryto.

Pisząc o Podolu, jakże nie wspomnieć koni, bałagulskich uprząży, podolskich czwórek, tradycyjnej szlacheckiej do koni pasyjki, zajęcia się niemi, rozmów, które nieustannie do tego ulubionego przedmiotu wracają, jednym słowem przeważnej roli, którą konie odgrywają w podolskim życiu! Co dwór, to tuż obok stajnia obszerna i pakowna, w której właściciel chętnie i długo przesiaduje, gości tam wiedzie, swoim dobytkiem się cieszy, a przed obcymi nim się popisuje. W kraju gdzie oka sieci dróg żelaznych są rzadkie jeszcze, drogi i gościńce jak najgorzej utrzymane, a ruchliwość i towarzyskość z dawien dawna zakorzeniona, stajnie przepelnione końmi nie są zbytkiem, ale poprostu koniecznością, niezbędnym warunkiem egzystencji, bez którego Podolanin obejśćby się nie umiał. Wśród koni mieszanina ras i rodzajów najzupełniejsza, wiatronogie ruskie rysaki stoją rzędem obok wierzchowych klaczy półkrwi angielskiej, podolskie konie rozgonne, chodzące zwykle czwórką w poręcz obok arabów i angloarabów, w dodatku nie brak i kozaków z nad Donu i Uralu, ba nawet kabardyńców kaukaskich! Dobór ten, tak różnolity pochodzeniem, nie przedstawia się bardziej jednostajnie pod względem maści: obok zwykłych gniaadoszów widać i maść bułaną, wilczatą, nawet tak rzadkie gdzieindziej taranty. Różnicę temperamentów i atawistycznych wpływów, trudno ocenić u źłobu, zato pod siodłem albo w zaprzęgu odrazu wpadają w oko każdemu, nawet nieznawcy, charakterystyczne cechy odmiennych ras i wynikających stąd właściwości. Inaczej się zażywa angielskiego wierzchowca, inaczej kozaka; do każdego musi jeździec czy woźnica trafić w myśl jego natury, obejścia, którego doznawali jego przodkowie w rozmaitych stronach, odwoływać się do nawyknień odziedziczonych po koniach i ludziach. Więc też ten sam jeździec, który na angielskim koniu jeździ uczenie, metodycznie, w milczeniu używając z kolei ostróg i pręta, ale wystrzegając się każdego



żywszego ruchu cuglami, arabowi popuszcza wodze, głaszcze go po grzywie i klepie po łopatce, przemawia do niego pieśszcziotliwie, a gdy go puszcza w cwał, nie myśli o okładaniu go razami; ten sam targa niemilosiernie cuglami, siedząc na kozaku, zrywa mu głowę do góry, wpija wędzidło w szczęki, nie troszczy się o to, że wierzchowiec prawie z miejsca okrył się pianą: ta sama ręka, która anglika prowadziła systematycznie, araba delikatnie, staje się na dzikim koniu stepowym twardą i nieużytą, prawie brutalną. Ciekawe wnioski z dziedziny psychologii konia, jeźdźca i.... człowieka



Z Podola.

Stadnina.

nasuwa to spostrzeżenie. W zaprzęgu rzecz się ma podobnie, ten sam woźnica, wiozący parą rysaków a czwórką bałagułów, jest zupełnie innym człowiekiem. Im krócej zbierze lejce, im ostrzej ściągnie i tak już podniesione sztucznie głowy rysaków, tem szybszym pędem chodzą te konie, włożone od źrebięcia do żelaznego rygoru i jednostajnej a bezwzględnej dyscypliny. Z poczciwymi bałagułami trzeba się obchodzić odmiennie, rzekłbym indywidualnie, każdego z osobna kierować, nawoływać, chwalić kiedy dobrze idą, wstydzic — kiedy się ociągają i batem popędzać. Osobny wdzięk ma jazda w Podolskich stronach, nieraz całodzienna, w staroświeckim

koczu, przypominającym budowę dorożek, jakie się widuje na rycinach i obrazach z czasów Restauracji i Monarchii Lipcowej, w cztery konie zaprzężnięte rzędem, ubrane w uprząż opatrzoną dzwonicami, których dźwięczenie miesza się przez całą drogę z głośnym monologiem furmana, zachęcającym szkapy do biegu.

A droga bywa uciążliwa: wyboje, dziury w mostach, brak poręczy nad stromymi jarami, wymagają wprawy u woznicy i u koni; nieraz przed niepewnym lub zerwanym mostem trzeba zjechać z drogi w kałużę czy potok, który



Z Podola.

Woły.

się właściwie po moście przebywać powinno; nieraz musi czwórka zbić się poprostu w kłębek, aby przebyć ciasne jakieś przejście, drogę zwężoną naprawkami lub wykrotami drzew przydrożnych, które burza poobalała, a których nikomu ani się śni usunąć. Podolska czwórka w poręcz jest rodzajem przejścia od mazurskiej czwórki w lic, do rosyjskiego dartego orła. Drobnny ten szczegół jest znamienym, nietylko na polu zaprzęgów, ale i na innych, dla życia narodowego ważniejszych: od literatury począwszy, która od Sienkiewicza i Malczewskiego przechodzi nieznacznie przez Zaleskiego, Goszczyńskiego, Szewczenkę do Gogola i Tur-



geniewa. Widać, że się jest tutaj w pasie granicznym, na etnograficznej przełęczy, gdzie polski obyczaj styka się z rosyjskim.

Szlachcic podolski — jak to już zaznaczyliśmy — przepada za końmi. Swoją drogą nigdzie się może tyle nie handluje, nie zamienia, nie sprzęga nowych czwórek, nie dobiera i nie pozbywa wczorajszych jeszcze ulubieńców. Namiętność to nieraz kosztowna, niekiedy nawet mogąca przyprawić o utratę całej fortuny, jest jednak narodowym zwyczajem i łatwo wykorzeńić się nie da. Znaństwa i zamięłowania w tym względzie wymaga poprostu królowa opinia od każdego obywatela; na żarty i drwiny powszechnie podaje się ten, kto się w koniach nie kocha, ani w ruchu pod tym względem nie bierze udziału.

Kołem rozpędowem zaś tego ruchu jest sławny coroczny jarmark koński w Jarmolińcach. Każdy Podolanin ma sobie za obowiązek stawić się na ten zjazd z poczem dworskiej, po kozacku przebranej służby, z zaprzęgiem i końmi wierzchowemi, przeznaczonemi na sprzedaż, facyendy, czasem tylko na popis. Reputacye stad pańskich i stajen szlacheckich tam pozostają, utrwalają się lub giną. Ztąd znaczenie tego jarmarku, wieczne nim zajęcie, przygotowania, kombinacye i konjunktury na przyszły, rozprawy i wspomniania minionego.

Połączone z jarmarkiem wyścigi, zabawy, premiowanie koni, ściągają tłum ciekawych a nieinteresowanych widzów, dodają i różności uroku i ożywienia.

### III.

**W**szyscy, którzy przebywali w Wiecznym Mieście od największych, od Goethego i Mickiewicza począwszy, wspominają o niezwykłym uroku czytania starożytnych autorów na miejscu samem wypadków, które rozgrywały się przed lat tysiącami.

Titus Livius i Tacyt, Sallustius i Cicero, nabierają dla czytelnika dopiero w Rzymie osobnego czaru, lokalnego niejako wdzięku.

*Mutatis mutandis* z tem samym przejęciem odczytuje się *Ogniem i mieczem* na Podolu we wsi, przez którą Bohun musiał wieźć omdlałą Helenę z Kamieńca do Czortowego Jaru, którą kniaziówna wracała później między Zagłobą i małym rycerzykiem, kto wie, może w pobliżu owego chlewu, gdzie pan Zagłoba cudów waleczności i przebiegłych fortelów dokazywał. Poprostu ma się wrażenie, że przyjechało się po raz pierwszy w gościnę do dobrego i starego przyjaciela z lat dawnych, że on u siebie przyjmuje i oprowadza.

Lektura doprowadza zawsze do tego samego wyniku, do podziwu dla autora, który zachował tak wiernie perspektywę dziejową, nie przygniótł postaciami swojej wyobraźni ni króla, ni zbuntowanego zaporozkiego hetmana, ni wreszcie »królewiał«, uosobionych w ks. Jeremim, zwłaszcza nie rzucił cieniów dowolnych, zaciemniających tę lub ową stronę obrazu, ten czy tamten kąt szerokiej widowni najmłodszego polskiego eposu, a jednak tchnął takie życie w swoich bohaterów, że w Skrzetuskim podziwiamy nie uosobienie rycerskich cnót, w Wołodyjowskim nie inkarnację stalowej i kryształowej żołnierskiej natury, w Zagłobie wreszcie nie jowialność i dobrodusznosc szlacheckiej rzeszy, ale każdego z nich lubimy osobiście, indywidualnie za to, co zrobił, co wycierpiał, czem nas rozweselał:

Skrzetuskiego za przedarcie się z oblężonego Zbaraża do Zborowa, małego rycerzyka za usieczenie Bohuna i wyrwanie Heleny z niewoli, wreszcie za Zagłobą tęsknimy jak sam Król Jegomość, kiedy się zawieruszy i swymi konceptami do wesołości i dobrej myśli nas nie pobudza. Potężną była wyobraźnia twórcza poety, która do Panteonu polskiej poezji, przepełnionego już, jakby się zdawać mogło, wprowadziła cały szereg nowych postaci żywych i życiem tryskających już na wieczność.



Ale jeżeli krajobraz pozostał z niewielu zmianami ten sam — czy ludzie się nie zmienili, czy jest jeszcze wśród Podolaków materyał na Bohunów, Skrzetuskich, Wołodyjowskich? czy dzisiejszy duch czasu nie wypruł z tamtejszych mieszkańców dawnej rycerskości? Oto pytanie, którem sobie czytelnik lekturę przerywa i głowę zaprzęta, niepotrzebnie i napróżno. Nigdzie życie nie jest powiastką a rzadko, wiele



Z obwarowań Kamieńca Podolskiego.

rzadziej, niż to mówią i piszą powszechnie, bywa dramatem; i romansowe postaci — choć zdarzają się niekiedy w rzeczywistości naprawdę tak romansowe, że wyglądają, jakby żywcem wzięte z felietonowej powieści — są na szczęście wśród tłumu wyjątkami.

Kraina *Ogniem i Mieczem* nie jest ostatecznie krainą baśni, choć element fantastyczny, pierwiastek imaginacyjny gra tam większą rolę, niż gdzieindziej.

Porywcze i wrące natury, wychowane w tym bujnym kraju, szarpią się tam może gwałtowniej, niż na cichem Mazowszu lub we flegmatycznej Wielkopolsce i szukają wezbranym siłom żywotnym ujścia. Ztąd wielcy panowie szukają zaspokojenia myśliwskich namiętności w niebezpiecznych wyprawach na drapieżnego zwierza gdzieś na południu i na dalekim wschodzie, mniejsi szukają o miedzę od swej zagrody poprostu... guza. Jedno i drugie świadczy o niespokojnych usposobieniach i zarazem o niemożności zadowolenia ich, wyzyskania tych marniejących sił w sposób użyteczny dla całego społeczeństwa, lub choćby tylko dla jednostek.

Neograniczone zamiłowanie swobody a nawet partykularyzmu jest jeszcze rysem duchowym, wpadającym odrazu przybyszowi w oko.

Ta odśrodkowość grozi niebezpieczeństwem na przyszłość; biada stronom, krajom i okolicom, w których nikt nie chce, nie umie, czy nie może poświęcić coś ze swobody osobistej na rzecz solidarności; w których każdy nie tylko twierdzi, że równy jest wojewodzie, siedząc na swojej zagrodzie, ale nie chce o nim słyszeć, a cóż dopiero go uznać.

Odrębność niebezpieczna społecznie i szkodliwa towarzysko wobec serdecznej gościnności jest tylko jednym powabem więcej: ona tworzy i wychowuje oryginałów. Trudniej o liczniejszy niż na Podolu dobór tej odmiany, urozmaicającej mozaikę zebrań a przeto pożądaną.

Tu szlachcic nie liczy się z czasem i rzeczywistością, powtarza, nie parodując nawet, starostę Kaniowskiego, jeździ całe życie konno z poczem dworskich kozaków, siecze nahajkami, nie zna kresu szlacheckim fantazyom i zachciankom i hajdamaczy się przez kilkadziesiąt lat żywota wbrew nowym pojęciom i wyobrażeniom, *car tel est son bon plaisir*.

Inny gospodaruje na swoich folwarkach, jak mógł gospodarować pan Wołodyjowski na Stannicach, trzyma służbę w żelaznym, aż śmiesznym, bo niepotrzebnym rygorze, stróżuje, choć pilnować nie ma czego; na szerokich swoich do-



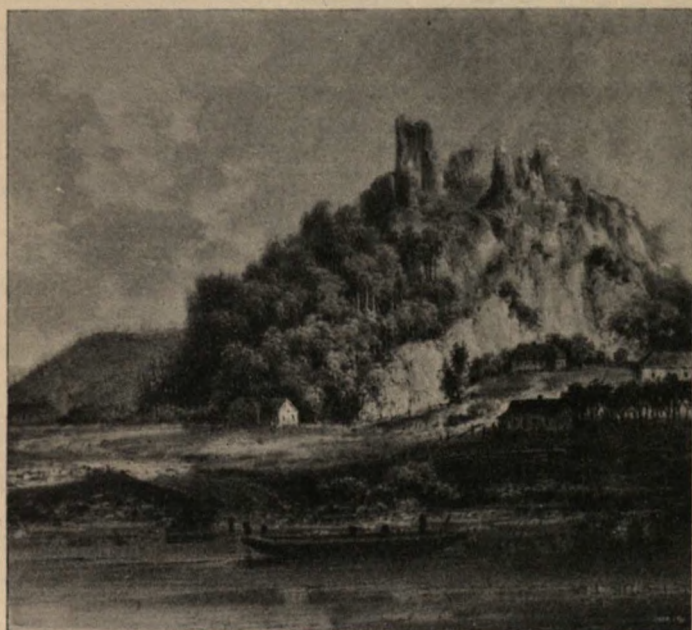
brach i w otoczeniu zależnem od swej woli i wybryków, usiłuje wywołać sztucznie atmosferę z minionych niepowrotnie czasów.

Zdarzy się i taki, który w szczerem polu, daleko od dworu i obejścia, zakłada ogród, upiększa go, bawi się napół bezwiednie w Zofiówkę, otacza się sprzętami, portretami, wspomnieniami z XVIII. wieku i zdoła tak się wżyć w ulubioną epokę, że nawet powierzchownością, choć bez peruki, żabotów i stroju francuskiego markiza, przypomina typy encyklopedystów. Co prawda wytworne obejście i niezwykły dar i urok rozmowy robią złudzenie zupełne.

Możnaby wspomnieć i tych jeszcze, co na podolski grunt przeszczepiają angielskie albo francuskie obyczaje, ale to nie żyłka oryginalności już sprawia, to raczej oryginalności odwrotność. Wszystko to nie pod wpływem książek, bo właściwie odczytania dopatrzysz się tam dziwnie mało, ale pod wpływem bujnej a beczynnej wyobraźni, *la folle du logis*, niczem niekrępowanej, ani kiełznanej.

Kobiet rola i zadanie ważniejsze i poważniejsze nie pozwalają im przeradzać się w dziwactwa i dowolne wybryki. Tam gdzie życie społeczne ani nawet społeczne zajęcie nie istnieje, tam siłą rzeczy kobiety trzymają prym, kupiąc wszystko dokoła ognisk domowych, których straż im jest powierzona. To też rozsiane szeroko są ślady ich dobroczynnej i cywilizacyjnej działalności. Ich rękę znać po bibliotekach domowych, po ogrodach ładnie założonych i dobrze utrzymanych, które należą do ich zakresu działania; w tyśiącznych szczegółach, w rozlicznych niciach, które z niezmordowaną cierpliwością nawiązują wśród dzikich pól z zachodnią kulturą, nie zrażając się tem, że nici te rwą nieraz ich najbliżsi, oddający się bezmyślnie pewnemu zdziczeniu. Dawniej fundowały te panie klasztory i kościoły, teraz naprawiają spłowiałe i zużyte aparaty kościelne, nie ustają nigdy w poświęceniu i pracy.

Po kilkotygodniowym pobycie przyszło mi wracać z podolskiej wycieczki w rodzinne strony, do tej Czerwonej Chrobacyi, najstarszej po nadgoplańskich okolicach, tysiącletniej polskiej ziemi.



Ruiny Melsztyna.

Znany z lat dziecinnych krajobraz, drogi sercu a miły oczom, zastanowił więcej niż kiedykolwiek uwagę moją i do rozmyślań treści dostarczył.

Brak u nas bezmiernych obszarów dalekich widnokręgów, szerokich łąnów, których oczy i pamięć były jeszcze pełne. W dorzeczach dopływów Wisły nad Sanem, Wisłoką, Dunajcem, hen aż do Krakowa i śląskiej granicy kupi się wioska koło wioski, dwór przy dworze, małe folwarki wi-



dnieżą białymi ścianami i czerwoną dachówką zabudowań dworskich, z za lada wzgóрка widać aż kilka wiejskich kościołów i pstrą szachownicę uprawnych pól, pastwisk i lasów.

Na szczytach zaś pasm górskich, które od Karpat ciągną się ku Powiślu, w Melsztynie, Odrzykoniu, Czchowie, Rożnowie, Lanckoronie sterczą na straży dawnych dróg handlowych i strategicznie ważnych przesmyków, stare zabytki średniowiecznej Polski, rozwaliny dawnych zamków śnią o zamierzchłych a chwały pełnych, niepowrotnie minionych czasach i przez poszczerbione baszty, opustoszałe strzelnice i napół zwalone wieżycy, pilną zwracają uwagę na wszystkie strony i po staremu strzegą i czuwają.

Te zamki w ruinach, które ze szczytów łysych górskich grzbietów zdają się jeszcze rozglądać przezornie wokół siebie, czyż nie są symbolem swych dawnych panów, małopolskich możnowładców, którzy swego czasu tak mądrze sterowali łodzią dobra publicznego, Jadwigę wydali za Jagiełłę, oparli się intrygom Zygmunta Luksemburczyka, w ryzach trzymali odśrodkowe dążności dzielnie zjednoczonych za ostatnich Piastów, z pośród siebie wydali, statystę tej miary co kardynał Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, wydali wodza polskich hufców pod Grunwaldem pana z Brzezia, a pod Worskłą nieśli księciu Witoldowi pomoc w osobie Spytka z Melsztyna?

Przezorność, oględność, rozważa, czyż nie były głównymi cechami, tego politycznego obozu wraz z rozumną stanowczością nie cofającą się przed zadaniem gwałtu sercowym potrzebom piętnastoletniej królowej? Rozum polityczny jednym słowem był tym panom małopolskim właściwy i wrodzony i dobrze się działo państwu i koronie póki oni ster spraw publicznych dzierżyli.

Po wiekach całych niewstrzymanej niczem historii, po rozbiorach, nieszczęściach, zawodach i przejściach te same strony wydały w nowych warunkach i na ciaśniejszej arenie działania, szereg ludzi powołanych do działania poli-

tycznego. Ludzie ci nie urodzeni po zamkach, które stanęły z biegiem czasu pustką i ruiną, ale po dworach szlacheckich, niektórzy po mieszczańskich kamienicach lub po chłopskich chatach, wstępowali — rzecz osobliwa i zastanowienia godna — w szranki publicznego życia zbrojni w te same zalety, co ci dawni panowie z Melsztyna, Tarnowa, Tęczyna, Kurozwęk.

Zimni i rozważni, przezorni i baczni, podejmowali pracę i zabierali głos w radach, sejmach do wielkich przodków podobni. Jakiś tajemniczy *genius loci* musiał ich chować według tej samej modły. »Szkółka krakowska« sprawczyńi tak ważnego przewrotu pojęć w polskich głowach może się dumnie powołać na 500-letnią tradycję.

---





ZAPISKI  
Z PODRÓŻY PO BOŚNI I DALMACYI.





I.

ZA DUNAJ.

**N**ajkrótsza, jeżeli nie najprostsza, droga z naszych stron do Bośni prowadzi na Wiedeń i na Peszt. Wiadomo, że rozkłady jazdy zdołały zadać kłam matematycznej prawdzie, twierdzącej stanowczo, że linia prosta jest krótsza, niż wszelka inna. Geograficznie rzeczy biorąc, droga powinna by prowadzić na Węgry z północy na południe bez objeżdżania na Wiedeń, ale jest to teoria, jak zawsze prawie, w niezgodzie z praktyką. Logicznemu połączeniu stają na wspak połączenia kolejowe, których nie godzi się lekceważyć, wybierając się w dłuższą podróż.

Jadąc pospiesznie przebywa się Dunaj, trzy razy w ciągu niespełna doby, raz w jednej, drugi raz w drugiej stolicy rakuskiej monarchii, a wreszcie w Gombosz na granicy Węgier i Sławonii. Za każdym razem przedstawia się on inaczej. Jak w zagadce, zadanej przez Sfinksa Edypowi, chodziło o nazwanie stworu, który chodził na czterech, dwóch i trzech łapach o rozmaitej porze dnia, tak podróżnikowi, widzącemu w krótkim przeciągu czasu tę samą rzekę, tak do siebie nie podobną w górnym, średnim i dolnym biegu, nasuwa się pytanie, czy to w istocie te same wody w jednym płynące korycie? I nie to, że nurt pogłębia się i łożysko rozszerza, że strumień olbrzymieje, wprawia widza w podziw; ale odmienny zupełnie wygląd moralny, jeśli się tak wyrazić wolno; zwierciadło wód, odbijające odrębne światy pojęć



i wyobrażeń, nie dozwala odkryć duchowej ciągłości, rzekom właściwej. Po tej rzece płyną może z wodą, lub pod wodę towary na galarach i na statkach kupieckich, ale żadna myśl nie płynie po niej swobodnie od jej źródła do ujścia. Rusalki i boginki, które jej toń ożywiają, nie muszą chyba mieszać się z sobą, ani łączyć, ale zrodzone z rozmaitych *genius loci*, pluszczą się i nurkują na miejscu, nie oddalając się od rodzinnych brzegów.

U stóp Kahlenbergu, na wprost wieży św. Szczepana, fale *der schönen blauen Donau* chwieją się i kołyszą w takt walca, wiatr wiejący z Wienerwaldu przygrywa im w trzy ćwierci taktu, naprzemian łagodnie, jakby smyczkiem po strunach pociągał i donośnie, jakby dał w całą kapełę mosiężnych trąb. Rzeka omija niemal miasto, odgradza się odeń Praterem, zda się wymykać na ulubioną wycieczkę wiejską; handlowo niedostatecznie wyzyskana, zrzadka tylko unosząca łodzie i parowce, tak jak wszystko, jak sprawy i ludzie miejscowi, dziś i od lat, według słynnego określenia: *danse mais ne marche pas*. Natomiast w węgierskiej stolicy płynie Dunaj jednym szerokim, nieledwie rzec chciałbym, zcentralizowanym strumieniem przez sam środek miasta, między wzgórzami starej Budy, dźwigającej na barkach królewski zamek, i nowożytnym Pesztem, na równinie szeroko rozpostartym. Ujęty w kamienne obramienia, przepasany łańcuchowym mostem, zasiany całym rojem statków, łódek, czółn, galarów wszelkich kształtów i rozmiarów, krzyżujących się nieustannie, ruchliwych i gwarnych, z czerwono-biało-zielonym proporcem u masztu, odzwierciedla wybornie współczesne życie madyarskie i madyarską duszę, czynną, przedsiębiorczą, wesołą, pewną siebie, nie bez niejakej buty i bezwzględności wobec innych.

W Gombosz staje się nocą nad rzeką. Żaden most nie łączy przeciwległych brzegów; tor kolejowy prowadzi aż na prom parowy, który przewozi pociąg na drugą stronę. Po lewym brzegu ciągnie się równina węgierska, ogromna,

pusta i bezludna, prawego brzegu nie dojrzyć nie tylko w noc księżycową, ale i po białym dniu. Ledwie w środku przeprawy mającej się po obu stronach niewyraźne zarysy wybrzeży, zdala migają oświetlonemi okienkami młyny wodne, uczezione brzegów, jak gniazda jaskółcze u pułapu. Ich swarliwe bełkotanie miesza się z potężnym szumem głębokich i powolnych wód, które tępą falą uderzają raz wraz o burt płynącego w poprzek statku. Miesiąc w pełni powleka gdzieś szarą, jednolitą strugę srebrną łuską, a Dunaj przedstawia się pośród tego milczącego, uspiętego krajobrazu wspaniale i niemal groźnie. — Niczem on tu niepodobny do uroczej nimfy wiedeńskiej i zawadyackiego węgierskiego junaka, ten patryarcha wód słowiańskich w swej ociężałej powadze i tęsknej zadumie, właściwej ludziom i rzeczom wschodnim. Dobijając do przystani widzi się znowu młyny wodne, wąską listwę wiklin i dalej czarny, szczelnie zwarty bór, ciągnący się hen na południe, jak okiem sięgnąć.

Kilka jeszcze godzin jazdy i staje się nad brzegiem Sawy, a zarazem u granicy monarchii. Po za tem jest już Bośnia t. zn. półwysep bałkański; prawdziwy, szczery Wschód. Odtąd wkracza się w inny kraj, nie tylko inny geograficznie i prawnopanstwowo, ale inny świat poglądów, marzeń i dążeń. Odtąd nie miasta Zachodu, ale Carogród jest punktem, do którego lecą wszystkie myśli z głów, dążą wszelkie pragnienia z serc; tam, pomimo politycznych zwrotów i przewrotów, jest ognisko cywilizacji, tam metropolia, karmicielka dalekich stron i odległych zakątków. Dopływy Dunaju ściekają ku niemu na północy aż od Karpat, na południu aż z wnętrza Serbii i Bośni, ale duchowo stanowi on raczej przegrodę niż łącznik. — Jego korytem biegnie dział wód między dorzeczem wschodniej i zachodniej kultury.



## II.

### SARAJEWO.

Od Bosna Brodu wąskotorowa kolej idzie wciąż w górę doliną Bosny; pociąg porusza się żółciem tępem; po dziesięcio-godzinnej drodze staje się w stolicy kraju.

Sarajewo leży po obu brzegach górskiego potoku, wzbierającego nagle po jesiennych słotach i na wiosnę, kiedy tają śniegi na okolicznych szczytach, a wysychającego niemal zupełnie latem; z dwóch stron: od północy i wschodu, okalają miasto pasma wzgórz; na południu wznosi się stromy Trebowicz, tak, że przystęp otwarty jest tylko z zachodu, od Sarajewskiego Pola, kędy płynie do Bosny Miliaczka. Stamtąd też przyjeżdża się i dziś koleją żelazną, która z północy dążąc, zakreśla łuk, dociera do stacyi, leżącej w równinie po za właściwym miejskim obrębem i nie zapuszczając się w zwężony wąwóz, wykręca się na południe w kierunku Mostaru. — Wszystkie podboje, oblężenia, zabory — a doznało ich Sarajewo w ciągu wieków po kilkakroć — tedy musiały sobie drogę torować. To też dzisiejszy wygląd i rozłożenie miasta zachowuje wyraźny ślad rozmaitych władców, którzy rozmaitymi czasy rozstrzygali o jego losach; tylko na wspak zwykłemu ukształtowaniu tych warstw dziejowych, najstarsze mieszczą się w górze, najświeższe na równinie, według tego, jak kolejno tą samą, bo jedyną drogą nadchodząc, wypierały poprzednie z zajętych posad.

Więc od dworca kolejowego ciągną się ku miastu wojskowe baraki, pomalowane na czarno-żółty kolor, składy i stajnie; błonie, na którym odbywa się musztra; warowny obóz, otoczony wysokim murem; wojskowy cmentarz, na którym pochowani ci, co przed dwudziestu kilku laty szturmem stolicę zdobyli; dalej lazarety, szpitale i t. d. Już w mieście, ale w bezpośrednim pobliżu tej zbrojnej oku-



3\*

Sarajewo. Ogólny widok.



pacy i niejako pod jej opieką kupią się gmachy, mieszczące okupację cywilną i ekonomiczną, a zatem pałace rządowe, starostwo, fabryka tytoniu, drukarnia krajowa, fabryka elektryczności, poruszająca tramwaje i dostarczająca światła domom i ulicom. Obok stoją i stają kamienice, wille, domy prywatne, w których mieszkają przeważnie urzędnicy i wojskowi — cała ludność, gromadząca się wokoło potężnej maszyny administracyjnej, wprawiająca ją w ruch i naodwrot w niej środki do życia czerpiąca. Nad całą tą dzielnicą ciąży jakaś atmosfera biurokratyczna, niby przeniknięta stęchlizną pożółkłych papierów i kancelaryjnym kurzem. Całość utylitarna, przez to samo pozbawiona wdzięku i polotu, postępuje, bez tego ożywczego prądu, który daje nowoczesnym miastom rozwój i rozkwit inicjatywy osobistej.

Kiedy w południe widzi się roje studentów, wysypujące się hurmem z bramy świeżo założonego gimnazjum, trudno się oprzeć pewnemu politowaniu na myśl, że ich młodość w tem otoczeniu górna być nie może, że ich myśl i pragnienia, nie mając ku czemu wzłatać, muszą od początku jak płazy pełzać po ziemi. A przecież, mimo powszechnej dziś trzeźwości, któż nie przyzna, że biada temu, kto nie zachował skrzydlatego pierwiastku w duszy, choćby na samym dnie, wśród wspomnień? Czyż na to, żeby przez życie iść prosto i z podniesionem czołem, nie trzeba za młodu, choć chwilami zrywać się do lotu? Nawet to, co zazwyczaj po miastach prowincjonalnych bywa ich krasą i ozdobą, kościoły noszą cechę urzędniczo-pseudopraktycznego stylu. Wysłunięte na czoło europejskiej dzielnicy, nazywanej »szwabską« przez ludność miejscową, niby godła, w imię których podjęto ostatnią okupację, stoją mniej więcej równolegle, jakby pilnując równouprawnienia wyznań, katolicka katedra i prawosławna cerkiew. Mówić o utylitarnym charakterze świątyni jakiegobądź obrządku wydaje się najśmielszym z paradoksów; a gotycki ów kościół zbudowany, jakby sądzić można, podług planu i kształtu wzorków tych »kotwicznych« pudełek



Sarajewo. Brzegi Miliaczi.



z klockami, które się małym dzieciom daje do zabawy, i grecko-orientalny sobór ze swemi szpetnymi kopułami, podobnemi do źle wyrosniętych bab wielkanocnych, robią na nieuprzedzonym widzu wrażenie, że stawiała je nie gorąca wiara i pobożność, ale względy odmiennej natury; po przez architektoniczne braki i błędy dostrzega się ślady wyraźne duchowej dysharmonii między zamiarem a wykonaniem.

Koło kościołów jeszcze kilka ulic przypomina do złudzenia nasze galicyjskie miasta drugorzędne, z tymi samymi kubek w kubek żydowskimi handlarzami, przeceniającymi liche towary, z zakurzonemi wystawami sklepowemi i kawiarniami, w których około grubych majorów i cienkich podporuczników uwijają się zaspani kelnerzy w wymiętych frakach — i staje się u wejścia do wschodniej dzielnicy.

Po lewym brzegu Miliaczki wznosi się konak, duży i brzydki gmach, pomalowany na żółto pod czerwonym dachem: dawna rezydencya sułtańskiego namiestnika, dziś zajmowana przez generała dowodzącego korpusem armii, zarazem cywilnego gubernatora zajętych prowincyj. Korytarzem na wysokości II piętra łączy się z drugim budynkiem ponurym i nieprzystępnym, jak więzienie. W istocie za tureckich czasów był on więzieniem *sui generis*; tu mułmańskim zwyczajem każdorazowy basza miał swój harem, gdzie dziś mieszczą się kancelarye i urzędy wojskowe. W pobliżu z jednej strony rozpościerają się przestronne, stare, drewniane koszary; z drugiej ubogi, niski i odrapany kościółek OO. Franciszkanów, pamiętający również bisurmańskie rządy. Raczej kapliczka tylko, przytulona niejako do boku konaku, jakby szukając opieki jego przed grożącym wówczas zawsze wybuchem fanatyzmu wśród nieokrzesanego a zacieklego motłochu — świadczy w niezmienionej postaci o tak niedawnem jeszcze upośledzeniu katolicyzmu, a w swej biedzie i opuszczeniu rozrzewnia i wrzusza. Są kościoły, które tak niedawno jeszcze i tak nas niedaleko, czerwieniały szlachetną krwią, wylaną za naszą wiarę; tutaj nie znaj-

dziesiąt rdzawych plam na murach, chwalebnych jak palmy w ręku Świętych na ołtarzach, a stwierdzających żywotność wojującego Kościoła, lecz i tutaj krzyż na niskiej sygnaturce ubożuchnej kaplicy, wśród licznych minaretów był przez długie wieki godłem wyznawców, jeśli nie męczenników.

Na lewym brzegu Miliaczki leży »Czarszya«. Wraz z konakiem tworzy ona drugą warstwę, która zajmowała



Miliaczka, rzeka w Sarajewie.

Sarajewo; była i jest dotąd siedliskiem tureckiej, a raczej poturczonej ludności. Jest to sieć wąskich, krętych uliczek, zbiegających się w głównym targowym placu w »Baszczar-szyi«; domy mieszkalne, gospody, stragany, sklepy i dżamie składają się na tę nieregularną, lecz malowniczą całość. Obszerny »Bezistan«, rodzaj podziemnych Sukiennic, zniszczony przed laty pożarem, mieści w swych ruinach, naprędce i na pół tylko odbudowanych, a trwających jednak w tym stanie od lat dziesiątków — całe szeregi sklepów bławatnych.



Płótna i sukna w postawach piętrzą się obok dywanów, jak wszędzie w muzułmańskich krajach, tak i tu nieodzownych, zastępujących obicia i starczących za jedyną ozdobę mieszkań, przedewszystkiem zaś meczetów.

Obyczajem średniowiecznych cechów, rękodzielnicy jednego rzemiosła mieszczą się obok siebie, zajmują wyłącznie całe ulice; jest więc ulica Kotlarska, w której cały dzień słyhać klepanie młotków, wyrabiających mosiężne naczynia, zwłaszcza zaś tace i imbryki do kawy; ulica Szewska, gdzie przykrawają i szyją sandały; ulica Garbarska, przesiąknięta wonią wyprawianych skór i t. d. Wśród tego rozsiane kawiarnie gęsto, z szeregami sandałów, zostawionych przed drzwiami; wewnątrz milczące, białe postacie, siedzące w kuczki, z papierosem lub węzłem nargila w ustach, i młody chłopak, krzątający się około żarzących węgli, na których przygrzewa narodowy napój; obok równie licznie golarnie, gdzie balwierze golą bez mydła brody i czupryny.

Na ulicy gwar, zgiełk, ścisk nieustanny; przepuknie zalecają bakalie, słodycze, owoce; chłopci ze wsi okolicznych pędzą stada owiec, kóz, drobiu, bydła; małe koniki idą sznurem z brzemionami chróstu i drzewa na opał, albo z ogromnemi wiązkami siana, pod któremi nikną niemal. Wszystkie orientalne stroje spotyka się na ulicy, od europejskiego ubrania, które nosi młoda generacja, różniąca się od »szwabów« tylko fezem, aż do szkarłatnych płaszczów z kapturami — wieśniaków z nad serbskiej i tureckiej granicy. Muzułmańscy dostojnicy i młodzież, sposobiąca się do duchownego stanu, softy, noszą się ściśle według dawnych przepisów, w białym turbanie na głowie, obszernych szarawarach i białym po kostki chałacie; zresztą nie podobna odróżnić chrześcijan prawosławnych czy katolickich od czicieli koranu. Wszyscy mają te same słowiańskie rysy, posługują się wyłącznie serbsko-kroacką mową, noszą te same fezy, zawoje... i łachmany.



Sarajewo. Dzień targowy na Baszczarszyi.



Ale religia, obyczaj, wiekowe nienawiści i starcia wy-  
żłobiły, mimo etnograficznej i językowej jedności, głębokie  
przedziały między wyznawcami rozmaitych wiar. Niejeden  
mahometanin czuje się do dziś dnia w głębi serca bardziej  
bratem obdartego, żebraczego derwisza z Azji Mniejszej,  
smagłego Araba o płomiennych oczach, nawet murzyna w ja-  
skrawym kaftanie — którzy niekiedy pojawiają się w tłumie  
tych poturczonych Słowian, przywiązanych najbardziej ze  
wszystkich mieszkańców Balkanu do islamizmu — niżli chrze-  
ścijańskiego sąsiada, z którym się zna i obcuje od urodzenia.  
Nic to, że nie rozumie języka, ani nie zna ojczyzny swego  
współwyznawcy; dość mu, gdy usłyszy uświęcone i od  
Atlantyku po Chiny i Filipiński archipelag powtarzane co-  
dziennie wyznanie wiary: La Allahu Illal Lahu — niemasz  
Boga nad Allaha, a Mohammed prorokiem jego.

Kiedy w południe, zwiastowane strzałem armatnim,  
muezinowie z 99 minaretów wzywają doniosłym, przeciągłym  
głosem na cztery strony świata do modlitwy, ustaje ruch,  
urywa się zaczęta praca i gromadnie spieszą wszyscy na  
ablucye do fontan i do meczetów na modlitwę. Trudno nie  
podziwiać wrzekomej lecz niezaprzeczonej siły religii, która  
ogranicza się wyłącznie prawie do praktyk zewnętrznych,  
ale też nie liczy w swem łonie wiernych oziębłych. W je-  
dnym tylko uczuciu jednoczą się wszyscy: w obojętności dla  
Zachodu. To, co się dzieje na lewym brzegu Dunaju, mało  
ich obchodzi i zaciekawia, jest im obce, zazwyczaj niezro-  
zumiałe; tam zaczyna się Europa, oni zaś są i czują się  
Wschodem. Zachodnie pojęcia wtargnęły, ale nie zamieszkały  
wśród nich, co najwyżej obozują opodal. Bó żyd tamtejszy,  
mówiący po hiszpańsku, mimo że za Filipów II i III wy-  
gnano jego przodków z iberyjskiego półwyspu, odmienny  
typem i nie łączący się nawet w bóżnicy ze swym niemiec-  
kim czy też węgierskim pobratymcem, wbrew ruchliwości  
wrodzonej oraz ciekawości, kosmopolityzmowi nawet, czuje się

duszą i ciałem wschodnim. Ostatnimi laty zajmowała go żywo na Zachodzie jedna tylko sprawa — sprawa Dreyfusa.

Konak i Czarszja, siedziba wysłannika Padyszacha i mrowisko rojące się od pospólstwa, to warstwa druga, granicząca w czasie i w przestrzeni z dzisiejszym stanem rzeczy i posiadania. Czasy bezpośrednich tureckich rządów nie trwały długo; skończyły się okupacją w roku 1878



Typy żyda i żydówki — Spaniolów.

a zaczęły około 30 lat wcześniej, kiedy ówczesny wali, groźny Osman Basza, stłumiwszy bunt begów przeniósł się na stałe z Trawnika do Sarajewa, gdzie poprzednio nie miał prawa bawić dłużej nad 48 godzin. Z swego pałacu, opartego, jak już wspomniałem, o koszary, odgradzonego od właściwego miasta rzeką, do dziś dnia zachowującego obronny wygląd, trzymał on w ryzach butnych oligarchów miejscowych, a jakkolwiek zaciężał daninami i podatkami na całej ludności, wspierał drobnych kupców, straganiarzy,



ubogich hammalów (wyrobników) przeciw starym, możnym i zamożnym rodzinom. Ten turecki imperializm nie różnił się, jak widzimy, w istocie swej działalności od wszystkich jemu podobnych systemów w starożytności czy historii współczesnej, na Wschodzie czy na Zachodzie; usiłował złamać wpływ miejscowych czynników na rzecz Carogrodu, zastąpić prowincjonalne odrębności jednolitą administracją i w tym celu gnębił arystokrację, popierał Czarszyę. Po prostu było to wschodniem wydaniem hasła: »Cezar i motłoch« *ad usum...* sułtanów.

Dalej, wyżej pod górę zachował się wyraźny ślad trzeciego pokładu dziejowego. Po uboczach wzgórz pną się strome uliczki, wyłożone Nielitościwym dla nieprzyzwyczajonych nóg brukiem, z nierównych i ostrych kamieni wklepanych w ziemię: *kaldermą*. Po obu jej stronach widać białe domki z gontowymi dachami, o oknach zakratowanych drewnianymi prętami i zasłoniętych z wewnątrz białymi firankami, z wystającym piętrem na całą długość budowli, czyli t. zw. *ku cze*, w swej prostocie nie pozbawione charakteru i oryginalności. Niektóre z nich większe, otoczone niekiedy ogrodem, różniące się raczej rozmiarami niż kształtem od mieszkań pospółstwa, są siedzibą begów. Przypominają nieco niknący już dziś typ szlacheckich dwórków po naszych miasteczkach tak, jak ich właściciele mają niektóre cechy wspólne, mimo różnic wiary i obyczaju, z drobną polską szlachtą. Nic w tem dziwnego; wszak te rodziny begów, to po większej części potomstwo dawnej bośniackiej zwierzchniczej warstwy, która przed 400 laty przyjęła islam, sturczyła się, przesiąkła nowemi pojęciami, ale w mowie, postawie, w swej naturze i skłonnościach została, czem była — słowiańską.

Wyobraźmy sobie, czemu by być mogła nasza drobna i średnia szlachta, bez chrześcijaństwa, a co za tem idzie, bez wpływu i bez wychowania niewiast, a będziemy mieć *mutatis mutandis* obraz tej muzułmańskiej szlachetczyzny.

Wśród starszej generacji trafiają się dotąd między tymi Baszagiczami, Kapetanowiczami, Ljubuszniakami i t. d. tacy,



Wnętrze mieszkania bega serbskiego ustawione w muzeum sarajewskim.

k którzy pewną wytwornością obejścia i wysłowienia, zachowaniem pełnem godności i prostoty świadczą o dalekich atawizmach, łączących ich z lepszą przeszłością. Bez herbów





Beg bośniacki.

i odznak czują się oni »urodzonymi«, zachowują rodowe tradycje, a, jak na arystokrację przystało, są z nich dumni bez chępliwości. Jeden z nich posiada 24.000 morgów, nadanych jego protoplaście za waleczność w wyprawie przeciwko Lachom; nie udało mi się dowiedzieć, o jaką to wyprawę chodziło i czy rodzina nie zachowuje żywych, ustnych wspomnień, lub dokumentów, zawierających bliższe o tej donacji szczegóły.

Dziś są w upadku i zubożeniu. Za czasów ich świetności zadaniem ich i zajęciem było sprawowanie rządów, nadewszystko zaś wojenne rzemiosło, podstawą materialnego bytu natomiast daniny i dziesięciny, płacone przez chrześcijańskich chłopów, na ich włościach osiadłych i odrabiających coś w rodzaju dawnej pańszczyzny. Ze zmianą stosunków obie te podstawy życiowe: moralna zarówno jak finansowa usunęły się im z pod nóg. Pokój i reforma administracji skazały ich na bezczynność, daniny wobec rosnących podatków zmalały, życie podrożało. W tych nowych warunkach potrzeba było nielada zapobiegliwości, oszczędności i praktycznego zmysłu, by ostać się na dawnym stanowisku; nie darmo zaś byli szlachtą i do tego słowiańską; zadaniu nie sprostali. To też dziś ruina zagląda każdą szparą do ich domów, znaczy swój ślad na każdej szczyrbie, w każdej dziurze, zajmuje w posiadanie resztki dawnych splendorów i wspomnień. Najświatlejsi z nich i najrozumniejsi zdają



Z ulic Sarajewa.



sobie jasno sprawę z nieuniknionej zagłady, która ich czeka, ale muzułmański fatalizm chroni ich od goryczy i szarpań wewnętrznych; w przeświadczeniu, że bieg czasów jak bieg rzek wstecz się nie wraca, powtarzają z pewną, podziwu godną pogodą ducha, że Allah jest wieczny, ale wszystko inne przemijające.

Poza temi domostwami widnieje mur, który niegdyś miał bronić miasta od włóczących się opryszków i nagłych napadów — częścią dobrze utrzymany, a częścią sypiący się w gruzy — z dwiema bramami obronnemi, a dalej już poza obrysem Sarajewa, na samych szczytach, kilka grobowców kamiennych, bez krzyża, a jednak różniących się kształtem od muzułmańskich i żydowskich nagrobków: to wszystko, co pozostało po najdawniejszych panach tych stron, po Bogomiłach, średniowiecznej sekcje chrześcijańskiej, w rodzaju Albigensów prowansalskich, którzy wicherzyli po Bośni przed 500 laty, żyli w wiecznych zatargach z innemi wyznaniem, aż wreszcie z nienawiści do katolików i prawosławnych wezwali do kraju Turków. Słuszną karą dziejową utonęli w islamizmie, nawet wspomnienia nie zostawiwszy, i rzadki tylko wędrowiec, natknąwszy się na te kamienie, »przedziczał skały«, dowiaduje się o ich istnieniu, o ich walkach, o haniebnej zdradzie, której się dopuścili wobec krzyża i wspólnej chrześcijańskiej sprawy.

W mieście, w którym przez tyle wieków niepodzielnie półksiężyc władał, niemasz i być nie może innych pomników przeszłości, prócz meczetów, grobowców, zamków, a także murów warownych.

Z meczetów sarajewskich kilka zaledwie zasługuje na wzmiankę. Niewielka dzamia Alego-baszy z ciosowego kamienia jest bezwątpienia najpiękniejszych kształtów i najbardziej dobranych wymiarów; odnowiona w ostatnich czasach, nosi wyraźny ślad zachodnich już upodobań w ornamentacyi wewnętrznej, w uproszczonym rysunku, w bladawych barwach pobożnych napisów i arabesków, które jej

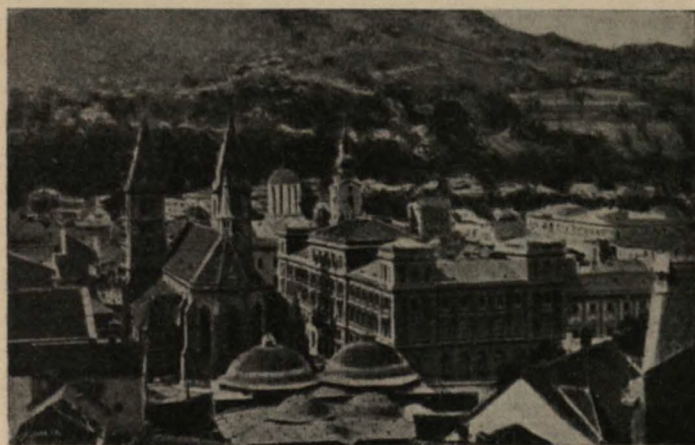




starczą za jedyną ozdobę. Cesarska dzamia opodal konaku jest uwagi godna nie dla swej architektury, ale dla swego religijnego znaczenia. Jest to nieledwie muzułmańska katedra; w niej odprawia modlitwy Reis-el-ulema, najwyższy dostojnik Islamu w Bośni i Hercegowinie, z jej szczytu powiewa w piątki i dnie świąteczne zielony proporzec proroka obok czarno-żółtej chorągwi. Wszystkie inne jednak przynosi ogromem i wspaniałością »Hursew Begowa Dżamia«, jak z dumą powtarzają Sarajewczycy, największy a zarazem najpiękniejszy meczet na półwyspie bałkańskim, po stambulskiej Aja Sofia i Selimmie w Adrianopolu. Imam nie czyni żadnych trudności Europejczykom, zwiedzającym jej wnętrze, byle tylko obuć u drzwi na trzewiki pantofle, a stąpać nie po wzorzystej mozaikowej posadzce, ale po dywanach albo plecionkach, które on sam, za małym wynagrodzeniem, ściela pod nogi.

Gołe ściany, a powyżej łuki sklepień, zdobne tylko w splecione i zawikłane wypisy z Koranu na kształt medalionów, kilka cennych kobierców, lampy i świeczniki w kilkunastu rzędach, potęgują wrażenie pustki, jakie sprawia owa jednolita budowla, odpowiadająca jednak tak wiernie religijnym pojęciom Koranu. Nie jest to przybytek żywego osobistego Boga, ale gmach, poświęcony Allahowi, którego wielkość i wszechmoc wielbią wszystkie usta, ale którego rządy nad niebem i ziemią ubezwładnia poniekąd przeznaczenie — potężnemu lecz w sobie samem próżnemu pojęciu Bóstwa. Obok meczetu stoi wysoka czworograniasta wieża zegarowa, obok niego również grobowiec Husrew Bega, na przeciw — *medreese*, szkoła czy seminaryum. W niem wychowuje się zastęp młodzieży; każdy uczeń, ukończywszy tam nauki, ma jako hodża sprawować w przyszłości kaznodziejski urząd po dżamiach całego kraju. Ta medreese, kryta ołowiem, założona również przez Husrew-bega, sięga zatem aż po wiek XVI i nosi dotąd niezatartą cechę szlachtetnego i wytwornego smaku tej epoki. Świadczy o tem jej niewielki dziedziniec wraz z kamienną swą studnią i okalają-

cym go krużgankiem, świadczą też ciekawe, ciasne i małe celki muzułmańskich żaków, zaopatrzone jedynie w tapczan i półki, uginające się pod ciężarem staroświeckich arabskich foliałów — przeważał widocznie w budowie wzgląd nie na wygodę, na nieznaną jeszcze wówczas komfort, ale na proporcję i architektoniczny wygląd całości. Ten szereg fundacyj Husrew-bega odbija od reszty muzułmańskich budynków, zakrawa na turecki renesans — ów styl tłómaczy się czasem,



Sarajewo. Katedra na lewo, cerkiew grecka w środku, Moszeja na pierwszym planie, Muzeum.

w którym je stawiano. Powstały one za rządów Selimów i Solimanów, Husrew-beg był wielkorządcą Bośni w okresie największego rozkwitu państwa carogrodzkiej padyszachów, w czasach ich powodzeń, zdobyczy i zaborów, w wieku zapędu, wiary w siebie i przyszłość, bohaterskiego napięcia wszystkich sił żywotnych, w jednej z tych wielkich a rzadkich słonecznych chwil dziejowych, stanowiących chlubę narodów, o których marzą z podziwem i tęsknotą następne pokolenia. I mimowolnie nasuwa się uwaga nawet temu,



kto nie śmie wdawać się w filozofię historii sztuki, że nie-słusznie w pisanych i malowanych allegoryach mieści się sztuki piękne w orszaku bogini pokoju. Partenon i św. Piotr, Versailles i Escorial wzniesiono wśród szczęku oręża, albo też bezpośrednio po rozstrzygających, na polach bitew rozstrzygniętych potrzebach, wśród powszechnego *sursum corda*, kiedy każdy lekcewał własne życie i krwawy trud, a myśli o chwale pośmiertnej i nieśmiertelności nie poczytywano nikomu za dowód chorobliwego marzycielstwa albo płochy młodości. Na murach Husrew-begowej dzamii widnieje do tej chwili dumny odblask świętego ognia, którym pałał wówczas muzułmański świat.

Dziwnie sprzeczny widok z tym zabytkiem wojennych czasów i walecznych ludzi przedstawia stara cerkiew prawosławna, wokoło której skupiała się przed wkroczeniem do Bośni austro-węgierskich pułków schizmatycka gmina sara-jewska. Jak tamten jest pomnikiem zdobywczego ducha, tak ta uosabia wytrwały opór i odporność uciemężonych. Choć stoi w Czarszyi, nie dojrzyś greckiego krzyża, bo grube, niemal forteczne mury, które je zewsząd otaczają, sięgają tak wysoko, żeby go ustrzedz przed wzrokiem i zniewagami samowładnych niegdyś wyznawców proroka. Skrzypiąc, uchylają się ciężkie hufnalami nabijane, dębowe drzwi; na podwórzu przyjmują zapowiedzianego gościa rosłe, brodate postacie w rewerendach przepasanych szerokim, jedwabnym pasem, ze złotym krzyżem na piersiach i okrągłym kołpakiem na siwych włosach, i skłoniwszy się w milczeniu oprowadzają go po wszystkich kątach. Cerkiew nie świeci ewangelicznym ubóstwem, jak Franciszkańska kaplica — przeciwnie, światła przed ikonami jarzą się w ciężkich srebrnych lampach, na ścianach rozpościerają się malowidła, na carskich wrotach błyszczą złocenia; katolicki krzyż ufny w swą biedę i niestwożony nieustanną groźbą prześladowań, śmiało się wznosił wszystkim na widoku; prawosławny krzyż o ukosnym, jakby zwichniętem ramieniu, ukrywał skarby, ale też

sam krył się i czał za murami i chyłkiem, lękliwie i zazdrośnie z poza nich wзираł na wydarte mu przez półksiężyc ziemie. W zakrystyi przechowują adamaszkowe i srebrnolite aparaty, stare mszały, oraz kielichy, ciekawe sułtańskie firmany opatrzone pieczęciami i »tughrą« słynną podobizną odcisku krwawej dłoni jednego z pierwszych stambulskich władców, wprawniej władającego mieczem niż pió-



Scena uliczna w Sarajewie.

rem, a warujące gnębionemu wyznaniu prawo do życia w ukryciu i poniewierce. Z rogów spoglądają szklistem i oczyma nieruchome, bezduszne postacie świętych, odziane w sztywne fałdy, na złotych tłach bizantyjskich obrazów. Skąpe światło pada przez małe zakratowane okienko na te kosztowności, rzuca przyćmione połyski na drogocenne kruszce i jedwabiste materje i uwydatnia wrażenie kryjówki, schowku. Tym samym metalicznym blaskiem, co klejnoty i złotogłowie, mienia się się przenikliwe i podejrzliwe oczy



przewodnika, spoglądające z pod krzaczastych brwi na przechowywane pamiątki i na zwiedzającego, jak gdyby atawizm wiekowego strachu upatrywał w przygodnym przechodniu donosiela czy wydziercę.

Sarajewo nie ma właściwego muzułmańskiego cmentarza. Wszędzie, gdzie tylko widnieje kawałek wolnego pola, wzdłuż drózek i uliczek, koło domostw i meczetów, sterczą murowane nagrobki, uwieńczone kamiennym zawojem, jeżeli wznoszą się na zwłokach janczara, zaciosane szpiczasto, jeżeli pod nimi leży spahis, pisane złotemi i niebieskiemi literami, jeżeli stoją nad mogiłą znacniejszego mahometanina. Nikt nie śmie targnąć się na pomniki poświęcone czi zmarłych, to też ostały się one nawet tam, gdzie nie zwykliśmy ich zresztą widywać, jak np. w pośrodku kolejowego dziedzińca, wśród wybrakowanych wagonów i lokomotyw. Ogród miejski przepełniony grobowcami jest także niczem innym, jak pierwotnem cmentarzyskiem, tylko pomysłowy wiedeński ogrodnik zastosował rysunek ścieżek, gaików i szpalerów



Sarajewo. Bośniackie dziewczęta przy studni.

do bezładnie rozrzuconych głazów; nawet, nie przesuwając żadnego z nich, użył ich do swoich ornamentacyjnych planów.



Z ulic Sarajewa.

Muzułmanin używający niegdyś wyłącznie pełni praw i przywilejów, grzebał swych umarłych, gdzie chciał, wy-



znaczał natomiast innym, zaledwie cierpianym wyznaniom, dokładnie odmierzone cmentarze. To też nagrobki żydowskie tłoczą się na ciasnej przestrzeni na zboczach Trebowicza. Stoją tam w zwartych rzędach potężne głazy zaokrąglone z tyłu, z przodu opatrzone półokrągłymi tablicami, nakształt tablic przykazań, na których czernieją niezrozumiałe hebrajskie napisy. Tym, którzy widzą je z daleka, i z góry,



Typy bośniackie.

zdają się one podobne do budek kąpielowych nad morskim brzegiem. Z bliska nie sprawiają jednak śmiesznego wrażenia — przeciwnie: te jednostajne kamienie bez najmniejszej ozdoby, bez zieleni wokoło, sąsiadujące ze złomami i okrucami skał i nawiedzane niekiedy przez zgrzybiałego, blisko stuletniego rabina, o biblijnej powadze, i przez krzykliwie zawodzące płaczki, wydają się jeszcze bardziej ponure i posępne, niż darnią porośłe mogiły czcicieli krzyża czy też



Sarajewo.





Typ bośniacki.



Typ dziewczyny bośniackiej.

półksiężyca. Obleczone jakimś dziwnym nastrojem zawiedzionych oczekiwań, beznadziejnej żałoby, są miejscem wiecznego spoczynku tego jedynego w swoim rodzaju plemienia, które nigdzie spokoju znaleźć i zażyć nie może. Zaiste ziemia usypana nad temi trumnami, przyciśnięta granitowym ciężarem grobowców, lekką im chyba nie jest.

Z nowoczesnych, świeżo postawionych gmachów, wpadają w oko szkoła »Szeriatu«, ratusz, muzeum krajowe, świadczące o troskliwej pieczołowitości dzisiejszego rządu o rozwój miasta i pielęgnowaniu cywilizacji. Oddane na użytek ludności wschodniej, wschodnie też mają zarysy i kształty. — Dziedziniec Szeriackiej szkoły sili się na podobieństwo ze słynnym dziedzińcem Lwów Alhambry, budowniczy ratusza natchnął się wspomnieniem maurytańskich wzorów. Mimo tych usiłowań, sarajewskie budowle celu nie dopinają, złudzenia nie wywołują; podobizny arabskiej sztuki, na tym szczerym przecież muzułmańskim Wschodzie wydają się obce, niedostrojone do otoczenia, do klimatu, natury i potrzeb miejscowych. Słusznie zauważa Taine, że archi-

tekstura jest najszczerzym wyrazem ducha epoki, myśli i uczuć ludzi, których jest dziełem, że byle kto umiał odczytać te kamienne pisma, które za zgłoski mają kolumny i wiązania, a za poematy świątynie i pałace, snadniej dowie się z nich prawdy o ich autorach, niż z pergaminowych zwojów, z dawnych a nieraz kłamliwych rękopisów. Dzierżgane w przeźroczystą koronkę łuki, półokrągłe, załamane sklepienia, na nikłych kolumnkach oparte, delikatne, jak pajęczyna, snycerskie ozdoby, które powstały i trwają dotąd w południowej Hiszpanii i północnej Afryce, były i będą zawsze obce Bałkańskiemu półwypowi. Żółte i czerwone pasy, w które je pomalowano, rażą każdego, kto widział śnieżno-białą Kasbę, pokrytą lśniącą, ciemno-zieloną dachówką nad marokańskimi albo algierskimi miastami. Baniasta dżamia turecka ze swemi strzelistymi iglicami różni się niemniej od berberyjskiego meczetu o potężnej, czworograniastej wieży i spiczastym, rowkowanym dachu, załamanym w równorzędne zęby, na kształt zwartego sze-



Typy bośniackie.





Typy bośniackie ludowe.

regu stert, ustawionych na ciasnem gumnie — jak ostrołukowa, gotycka katedra od bizantyńskiego chramu.

Maurytańskiego stylu nie można szczepić na bośniackiej dzieczie w nadziei szlachetnych i dojrzałych owoców, ni naginać architektonicznych linii do nieuzasadnionych zachceń, czy upodobań, albo do szablonowych pojęć o kraju i jego przeszłości. Architektura, najbardziej pańska, ale i najbardziej konserwatywna ze sztuk pięknych, stojąca od wieków na usługach możnych władców lub możnowładnych republik, potrzebuje ciągłości natchnień i wzorów, nie znosi krzyżowań ras, a kto ją zmusza do nieprawych związków z nielicującym otoczeniem, dochowa się tylko bękarcich płodów, mieszańców, którzy do urody, ani nawet do zdrowia, prawa sobie rościć nie mogą.

Z żółtego bastyonu obejmuje się wzrokiem całą kotlinę, miasto i wioski, czepiające się stromych skłonów górskich, jak porosty. Piękny stamtąd przedstawia się widok na Mi-

liaczkę i jej kamienne groble, na gmachy, kopuły i minarety, na Sarajewo, które, bądź co bądź, zachowało wschodni charakter, na ubogą cygańską dzielnicę, a dalej na Sarajewskie Pole, na lesisty Igman i hen aż na wysoki szczyt Bielasznicy, na którym jeszcze w lipcu iskrzą się płaty śnieżne do słońca. Kiedy zaś jesienne mleczne opary poczynają, nakształt olbrzymich węzów, pełzać po jarach i dolinach, wówczas nie dojrzeć grodu, leżącego u stóp, i dzwony bijące na niespory z niewidzialnych wież kościelnych zdają się tętnić na dnie zakłętą jeziora. Falisty krajobraz — na pozór bezładny, w którym kabłąki gór, wynurzające się z mgieł, błękitnieją w oddali i miejscami świecą słonecznymi plamami, niby damasceńskie klingi, ostrzem do góry zwrócone i złotem pisane — wywołuje osobny, nieco tajemniczy nastrój, jak scenerya fantastycznego dramatu. Wśród rozsianych grobowców błakają się błędne, wychudłe psy, pod obłokami ważą się i kołują jastrzębie, sokoły i kanie, nad głazami kraczą i podlatują kruki, a ze szczątków murów obronnych hukają puszczyki; ponura groza tego otoczenia przejmuje duszę pewnym lękiem, przechodzień nadśłuchuje mimowoli, czy te zwierzęta nie przemówią złowrogo i niespodzianie ludzkim językiem, czy nie pojawi się orszak wiedźm i piekielnych widziadeł dla odprawienia szatańskich obrzędów z Walpurgisnacht.



Majolika starobośniacka.





Majoliki starobośniackie.

### III.

## J A I C E.

**B**ośnia zmieniała w ciągu wieków kilka razy stolicę. Od lat pięćdziesięciu mniej więcej jest nią Sarajewo; poprzednio był nią Trawnik, dawniej jeszcze za czasów niepodległego królestwa mieli bośniaccy władcy swą rezydencję w warownym grodzie w Jaicu. Dojeżdża się tam dziś koleją żelazną, skręcając w Laszwie z głównego toru, łączącego Bośniacki Bród z Sarajewem i jadąc dalej na Trawnik i Dolny Vakuf. Okolicy napatrzeć się można do syta. Zaostrzenie spostrzegawczego zmysłu, porównywanie tej słowiańskiej ziemi z ojczystymi stronami jest jedynem lekarstwem na rosnącą niecierpliwość z powodu wolnej jazdy i przydługich przystanków, które do wesołości pobudzają tylko na rysunkach i w dykteryjkach z *Fliegende Blätter*.

Krajobraz, który się roztacza wzdłuż kolejowego nasypu, przypomina do złudzenia nasze karpackie podgórze. Łańcuchy zaokrąglonych gór i pasma obłych pagórków zamykają zewsząd widnokrąg, wartkie potoki szumią po wąwozach, rwąc nieubezpieczone brzegi, zataczają dowolne zakola i węzowe skręty. Z ogromnych niegdyś lasów pozostały zaledwie kępy drzew i rozrzucone tu i ówdzie gaiki, na szczytach ciągną się pastwiska upstrzone jałowcami,

wypasione przez owce i kozy. Uprawne pola, podzielone na małe, nieregularne kawałki, obsiane rozmaitem zbożem albo zasadzone podsycającymi kartoflami i inną jarzyną, podobne są do żebraczej odzieży, łatanej różnobarwnymi strzępami.

Chłopskie zagrody, ubogie gospodarstwa, chałupy w śliwnych sadach, zachwaszczone ogródki, w których słoneczniki obracają się za słońcem, pochylone lub zwalone chruściane



Jaice. Brama Pliwy.

płoty z przełazkami, a nad brzegiem ruczajów mokre łąki, na których stoją rzędem kopce siana; po miedzach, na rżyskach gęsi skubiące zielska, chude niewyczesane krowy o poutraconych nieraz rogach, wpatrzone wraz z obdartym pastuszkim z równym zawsze podziwem w idący pociąg, spętane szkapy podskakujące za trawą — wszystko to nam swojskie i dobrze znajome. Nie inaczej wygląda niejeden kąt w sądeckim lub limanowskim powiecie; z okien wa-



gonów transversalnej kolei nie widuje się odmiennych widoków. Bo nawet drewniane minarety, wyzierające z gęstwy drzew, przypominają wieżyczki parafialnych naszych kościołów, bosc kobiety obarczone dziećmi albo uginające się pod ciężarem worków i koszów, aczkolwiek zasłaniają starannie oblicze, przypominają nasze baby otulone chustami albo podniesioną spódnicą w słotne albo mroźne dnie.

Nadarmo tylko szukają oczy rozległych łąnów, czy folwarków z gorzelnią i karczmą w pobliżu, białych dworów otoczonych żywopłotem, wśród ogrodowych szpalerów i klombów i prowadzących ku nim z gościńca polnych dróg, wysadzanych kulistymi kasztanami albo szeregiem smukłych topól, tego, co na szczęście tworzy jeszcze istotną część krajobrazu na północnym stoku Beskidów. Bośnia, to odbicie naszych stron bez Soplicowa, jeżeli nasze strony bez tego »centrum polszczyzny« naprawdę naszymi nazwaćby można. — Nad brzegami Bosny, Miliaczki, Laszwy, nie napotkasz tych siedzib szlacheckich z nad Dunajca, Wisły, Wisłoki i Sanu, w których wyjątkowo tylko mieści się dostatek, ale które po dziś dzień, w miarę sił, a jak często po nad siły, rozsiewiają w okół siebie cywilizację, pielęgnują kulturę, świadczą o zbawiennej działalności dziedzica.

Podróżnik, śledzący ciekawem okiem obczyznę, a zbiegający raz po raz żywym wspomnieniem na rodzinne pielesze, widzi na tej pokrewnej ziemi wśród bratniej przyrody obraz powszechnej biedy i poszczególniej nędzy, i zapytuje się sam siebie z przestachem: Jestże to rzeczywiście ten stan idealny, którego pragną u nas i dla nas domorodni nieprzyjaciele »obszarników«? Mogli-ż być prawdziwie ludźmi dobrej woli ci, co mają ten wyłącznie chłopski kraj za raj narodowy, społeczny, a choćby tylko ludowy? I na widok coraz to nowych dymnych chat, licho skleconych obór i stodół, niekończącej się pstrocizny rozkawałkowanych morgów, lub zagonów podzielonych na wąskie szmaty, dźwięczą w pamięci słowa wielkiego poety z *Psalmu Miłości*, dziś równie

prawdziwe, jak przed pół wiekiem z górą, o strasznych zawodach i rozczarowaniach, czekających tego, kto

»Braci schłopi lub obali  
Lecz nie wzniesie ludu dalej«.

Krótko tylko zatrzymuje się pociąg w cieniastym, szeroko rozpostartym Trawniku. Tam każdy niemal dom i dworek, każda »kucza« wznosi się w osobnym ogrodzie. U wjazdu widać starożytną twierdzę, zbudowaną na równi pochyłej uboczy pagórka tak, że z kolei obejmuje się wzrokiem jej rzut poziomy, jak na planie wypukłej mapy. Trawnik na równi z Sarajewem i nawet może w większej mierze od niego, jest głównym siedliskiem możnych muzul-



Wieśniacy bośniaccy.



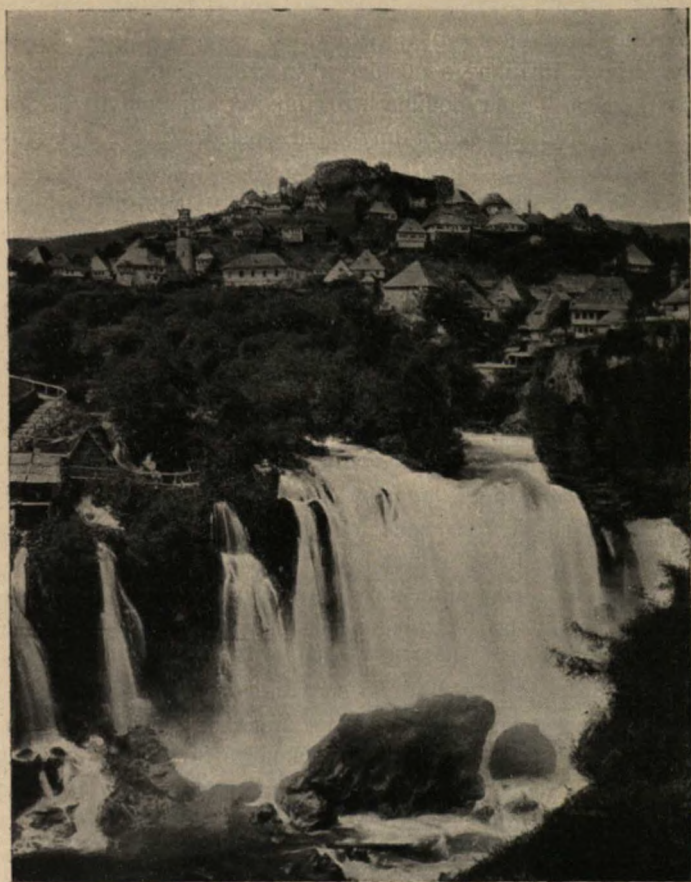
mańskich rodów, takich Kulinowiczów n. p., którzy wywodzą się od Bana Kulina w XII wieku i innych. Zachowali oni przynajmniej w części majątki i wpływy w całym kraju, lepiej od sarajewskich pobratymców, i dla tego, jak dawniej byli mile widziani przez Portę otomańską, tak teraz mają zachowanie i nawet ucho dzisiejszego rządu. Kochają się oni w koniach i zaprzęgach, oddają z dziedzicznym zamiłowaniem myśliwskiej rozrywce w nieprzebranych puszczech, w których tokują głuszce, beczą rogacze, niekiedy pomrukuje niedźwiedź. Po ulicach tętnią też kopyta cwałujących wierzchowców, albo turkoczą wiedeńskie powozy, przeładowane najczęściej zakwefionym fraucymerem, który tu jak wszędzie, lubuje się w szybkiej jeździe, nie liczy się z siłami pocziwych szkap i od wieków jest wrogiem nie tylko wężowego ale i końskiego rodu.

Malowniczą doliną Wrbasu biegnie tor kolejowy wśród leśnych gąszczy, wzdłuż rwącego strumienia, przeskakującego w kaskadach drobne porohy i zamulone kłody, aż wreszcie otwiera się widok na cel podróży, na najciekawszą miejscowość zajętych prowincyj.

Niektórzy uczeni, a z nimi drukowany przewodnik, młodszy brat Baedekera, upatrują skwapliwie podobieństwa dawnej stolicy bośniackiego królestwa z Castello del Uovo w Neapolu i wywodzą stąd lingwistyczne i archeologiczne wnioski. Miejscowe owe powagi z dawien dawna mają zwyczaj, który niemal przerósł w zwyczajowe prawo, porównywania rzeczy widzianych z niewidzianymi, stawiania śmiałych przypuszczeń, budowania rusztowań domysłów na kruchych podstawach; ale kto widział małą wysepkę wśród modrej włoskiej zatoki, musi na widok góry i zamczyska, które przypominają nie »Puzylipu bezdroże« ale raczej, i to bardzo wiernie, Melsztyńskie gruzy lub mury Tenczynka, podać w wątpliwość niedostatecznie uzasadnioną hipotezę.

Dziś sterczą na barkach góry zamkowej już tylko poszczerbione mury, podparte potężnymi szkarpami, wznoszą

się jeszcze nawpół rozwalone baszty i strzelnice o poutra-  
canych szczytach, na bramach rosną krzewy, a na kamien-



Jaice.

nym bruku darni i mchy. W krużgankach i na podwórzach,  
gdzie niegdyś gromadziło się rycerstwo, pasą się kozy i śnia-  
dają turyści. Ze zwalisk w obecnym stanie nie podobna



ocenić architektonicznej wartości monarszej niegdyś rezydencji. Wmurowane tu i owdzie szczątki gzymsów i pilastrów, ułamki rzeźb świadczą o wytwornej budowie a stojąca w pobliżu zamku wieża, t. zw. św. Łukasza — jedyny zabytek kościoła zamienionego później w meczet a teraz do szczętu zburzonego — przypomina włoskim już zupełnie kształtem, pierwszy raz tu napotkany ślad sąsiedztwa i wpływów weneckich.

W starostwie trzeba postarać się o pozwolenie zwiedzania tamtejszych katakomb. Tą szumną nazwą opatrzone podziemia mieszczą się pod twierdzą i składają się z dwóch piątr. U wejścia na płytach piaskowca widnieją dotąd herbowe gryfy Vukciców. Niewielka pieczara wykuta w skale była niewątpliwie kryjówką i miejscem zbornem wiernych w czasach okrutnych mąk i męczeństwa. Ołtarz i stalle również jak ściany i sklepienie wykowane są w opoce, a także i krzyż czy miejsce na krucyfiks. Widocznie jednak muzulmańscy zwierzchnicy, musieli się wywiedzieć o tym piwnicznym kościółku, bo znać ich świętokradzką obrazoburczą rękę i w tym lochu nawet.

Niższe piętro zamieniono najpewniej na więzienie, bo mury zachowały wyźłobienia łańcuchów i kajdan, które nieszczęśni jeńcy dźwigać musieli. W kaplicy zrabowano kosztowności jeśli istniały — zerwano ze ścian obrazy, jeżeli wisiały; wydarto z muru krzyż i zniszczono, wydano na zagładę żywy i kamienny kościół Chrystusowy. Po wiekach nie zostało śladu z prześladowców i prześladowanych i o tej cichej, podziemnej tragedii świadczą tylko znaki dłuta i młotka, które nie przepuściły nawet wklęsłemu, wpuszczonemu w skałę krzyżowi. W jego miejsce wdrążono półksiężyc.

Wśród wielu walk religijnych, które zapisały dzieje, żadna nie jest równie plastyczna, jak walka chrześcijaństwa z islamem, bo tylko te dwie wiary mają godła: krzyż i księżyc, którym oddawana cześć służy za wyznanie wiary, czy ona spisana w Ewangeli, czy w Koranie, które niemym

symbodem wyrażają i obejmują wszystko, błyszczą na szczytach gmachów, na piersiach żyjących i na grobach poległych. To też wszędzie, gdzie się ścierały w krwawych potrzebach, na naszych Dzikich Polach, czy w dalekiej Hiszpanii, zachowały pomniki niezatarte piętno wiekowych zapasów, chwilowych przewag i ostatecznego zwycięstwa jednej lub drugiej z wrogich religij. Na wieżach kościelnych Kamieńca Podolskiego, zamienionych czas jakiś na minaret, wróconych później w nasze posiadanie, depce Matka Boska sierp miesiąca, zachowany w myśl warunków karłowickiego traktatu; Kordowański meczet służy za katedrę — w Bośni na polach boju zwyciężył zielony proporzec Proroka, bo okupacya w trzysta lat później, już za dni naszych podjęta, nie była i być nie mogła odwetem. Wszakże głównodowodzący generał broni Filipowich nie miał w sobie nic z krzyżowca. Ale kiedy szala zwycięstwa przechyliła się stanowczo na stronę turecką, kiedy nienawistne dzwony przetopiono na działa, a muzzejn zastąpił śpiewnem wołaniem spiżowe wezwanie na Anioła Pański, krzyż nie ustąpił pola, lecz zstąpił, schronił się do jaskiń — on jeden tylko po orężnej porażce zna dalszą walkę i niemylny tryumf męczeństwa, on jeden tylko jest »tą przegraną, której cel daleki, a która w końcu wygrywa na wieki«; on jeden tylko na wieki wieków i po wiekach wieków będzie godłem zwycięstwa i zbawienia dla wiernych i ofiarnych serc, które pod jego znakiem stoją. Takie i tym podobne rozmyślenia przerywa przygłoszony i jednostajny dźwięk, jakby dwustrunnej drumli bośniackiej — to muzyka świeszców i koników polnych, wygrywających kindyę wieczorną w pogodny, jesienny zachód słońca.

..... Straszny jest rapsodu końcem  
Owo sykanie co się w grobach słyży —  
Jest objawieniem — jest i pieśnią ciszy.

Gdyby kto sięgnąć się ośmielił po złotą harfę, która w grobie Agamemnona padła do nóg arcymistrzowi polskiego języka, zdołałby ją może...



Przymusić do łez i śpiewu i złości.  
Nad wielkiem niczem grobów — i milczącą  
Garstką popiołów...

Ale jeżeli Słowacki czuł się głęboko pokornym i cichym w grobowcu Atrydów, jeżeli on nie wstydził się swej małości i myśлом własnym orlego lotu odmawiał, jakież słowa i jakież uczucia przystoją naprawdę małym i cichym? — *The rest is silence.*

Po takich odwiedzinach można jedynie szukać wytchnienia w widoku górskich piękności i krajobrazów, a jest opodal zamkowej góry sposobność po temu jedyna, ściągająca w to ustronie więcej przyjezdnych niż katakomby i historyczne zwaliska.

Słynny wodospad Pliwy, rzucającej się jednolitą strugą z wysokości kilkudziesięciu sążni w płynący głębokim jarem Wrbas, przedstawia się istotnie wspaniale. Godzinami można się wsłuchiwać w potężny szum i łoskot spadających wód, wpatrywać w potok mlecznej piany rozbryzgującej się o głazy, łowić uchem i gonić wzrokiem ustawiczne zmiany w tej pozornej jednostajności, która zdala wydaje się nieustannym grzotem i łukiem z białego marmuru, a zbliższa mieni się w błyskotliwe połyski, śpiewa chórem rozmaitych głosów — z oddali wydaje się wieczną, a zbliższa żyjącą.

O porannej porze słońce łączy siedmiobarwną tęczową przepaską, niby stulą wzorzystą, jak nowożeńców — białą rzekę i zielony strumień, wieczorem lekki opar zakrywa bieluchną kotarą to romantyczne wód małżeństwo. Kiedy z okazji tłumnego przyjazdu ciekawych zapalają się nocą żarowe lampki i bengalskie ognie, cudne widowisko przyrody przemienia się w teatralną dekorację, zyskuje na osobliwości, a traci na prawdzie i przejmującym wrażeniu. — Wśród tych różowych pian, blado-niebieskich i fioletowych odmetów szuka się mimowolnie mostku i jakiej młynarki, w czepku i fartuszkę z brabanckich koronek, upudrowanej nie pszeną, ale ryżaną mąką i zawodzającej lichym wierszem i uczoną



Na wodach Pliwy.



koloraturą po stracie jakiegoś Filona, przybranego w jedwabie i przebierającego palcami na hebanowym flecie.

Takie przedstawienie widziane raz w licznym towarzystwie bawi i zajmuje, powtórzone raz drugi i trzeci, nuży i nudzi; najchętniej za to wraca się samotnie na żwirem wysypane ścieżki i kamienne schody w nadziei usłyszenia niezemskiego głosu jakiej zielonookiej i złotowłosej czarodziejki, rodzonej siostry Lorelei czy Cyrce, która niewątpliwie musi tam przebywać, a nęcić i nucić, zalecać się i znęcać, wabić i więzić, wciągać i pociągać...

Niestety, zanim te śpiewne i zdradzieckie istoty oswoją się z obcą twarzą nowego wielbiciela, czar pryska, płoszą się zjawienia wobec gromadki turystów, którzy na wiarę Baedekera i pod wodzą nakręconego jak pozytywka przewodnika, idą potulnie do uroczego zakątka, mimo najpiękniejszej pogody ubrani w gumowe płaszcze, w kaloszach i pod parasolami, żeby po przez kałuże błota dostać się do środka grotu i stamtąd, nie oglądać ale podglądać wodospad, widzieć go nie w najpowabniejszym ale w najdziwaczniejszym oświetleniu. Trzeba im ustąpić miejsca i pożegnać się ze światem baśni. Próżno czekać Najad i Świtezianek, tam gdzie docierają Cook'a bilety okrężne.

Murowany gościniec, wiodący do Baniałuki, słusznie uchodzi za arcydzieło inżynierskiej sztuki; godzien istotnie stanąć w jednym rzędzie z najbardziej znanymi szwajcarskimi szlakami. Znaców i prostaków wprawiają w podziw śmiały pomysł i mistrzowskie wykonanie tej bitej drogi, wijącej się korytem rzeki wśród wąskiego kamiennego wąwozu, przeskakującej co chwila Wrbas na żelaznych mostach, torującej sobie przejście po przez tunele bite w skale, proste lub kręte, wedle potrzeby i położenia.

Wracając z tej wycieczki, warto wstąpić do małego katolickiego kościółka, ocienionego dębami. W święta i niedziele, kiedy pogoda sprzyja, nabożeństwo odprawia się na dworze, z powodu ciżby pobożnych, niemogących pomieścić



Murowany gościniec do Banialuki.



się w jego murach; wewnątrz ni zewnątrz nie dostrzedz nic godnego uwagi, gdyby nie obraz, który mimo wad i błędów zwiastuje najdalsze wpływy włoskiego malarstwa, jak pierwiosnek nadejścia kwietnej pory roku, jak szron poranny oznajmia zimowe mrozy i śniegi.

Płótno przedstawia »Sąd ostateczny«. Podpisany nieczytelnie Fra...ic, zapewne mnich z Dalmacyi, może z Raguzy przybyły, nie może rościć sobie prawa do artyzmu. Pan Jezus w siedmiopałkowej koronie na głowie, Święci i wybrani są bez życia i bez indywidualności; ale wśród potępieńców jest kilka postaci, przypominających mglisto i niewyraźnie bolońską szkołę. Zwłaszcza jasnowłosa kobieta, widocznie dama kameliowa za życia, cofająca się z przestachem przed potwornym, djabełskim dzikiem, który ją w otchłań zapędza, ma w ruchu i wyrazie twarzy jakiś błysk życia, jakby odblask, czy pod pędzlem odrodzone wspomnienie obrazów Carraccich.

U stóp zamkowego wzgórza w parafialnym kościele pokazują OO. Franciszkanie — wąsaci, choć bezbrodzi i w czerwonych fezach, zamiast piuski na głowie — szkielet w szklanej trumnie, z odciętą czaszką od tułowia. Są to zwłoki ostatniego niezawisłego władcy tych stron, Stefana Tomaszewicza, który nałożył głowę rozpaczliwy opór, stawiany osmańskim najezdcom. Bez mozolnych historycznych badań, trudno odtworzyć sobie postaci tych królów i wojewodów, którzy na placówce chrześcijaństwa najbardziej wówczas wysuniętej dawali wstręt zaborcom tureckim w czasach, ujętych, jak w ramy, w szkarłatne szlaki królewskiej, jagiellońskiej krwi, wylanej pod Warną i Mohaczem. Miejscowi księża, urzędnicy powiatowi, lekarze i t. d., z którymi wszczyna się o tem rozmowę, żyją w duchowym letargu, właściwym prowincjonalnym miłośnikom, zrozumiałym poniekąd, ale próżnym wszelkiego polotu i naukowego zapału — powszednie troski nie dają im czasu, ni chęci troszczenia się o dziejową przeszłość, po której tylko nieme pozostały świadki.



Do dziś dnia widoczne jednak na tem podupadłem miasteczku piętno tych książąt współczesnych i pokrewnych duchem naszym dwom ostatnim Piastom i Andegawonom węgierskim, których organizacyjna działalność wybudowała mury, wychowała zastęp mężów stanu, nadała prawa, uzbroiła i wyćwiczyła wojsko, otworzyła podwoje szkół, wszystko przekształciła lub ukształciła i zamieniła puste obszary dzikiego kraju w ludne, zasobne i kwitnące państwo. Taką pracę olbrzymów widziały późniejsze wieki raz jeden tylko, na szerszą skalę i w odmiennych warunkach: tak w ciągu lat piętnastu tworzył Napoleon z rewolucyjnego chaosu dzisiejszą Francję w przerwach między jedną a drugą zwycięską wyprawą.

Wspomnienie o takich ludziach i czynach zachowała niezawodnie pieśń i powieść gminna, lecz ta »Arka przymierza między dawnymi a nowymi laty« nie stoi otworem każdemu, kto pobieżnie kraj zwiedza i nie ma czasu ni sposobności poetycznych pieśni gminnych podsłuchać. — Trzeba tedy z żalem porzucić zameczysko, wodospad, miejskie obronne mury, kampanile św. Łukasza; trzeba odjechać uroczą miejscowość, śpiącą snem zaczarowanej królowny, nie znalazłszy czarodziejskiego słowa, które jej życie powrócić może.

Ale rezygnacya, ta najmarniejsza z cnót — według wyrażenia wielkodusznego Papieża, który w jednym *non possumus* zawarł tyle hartu i siły woli — nie każdemu przypadła w udziale. Wbrew niemej legendzie i małowównej historii wyobraźnia stara się znaleźć odpowiedź na tysiączne pytania, które nasuwa tam przeszłość i doba obecna, to, co minęło i co dotrwało: zwalona twierdza i powstające fabryki. Ze skąpych wiadomości, zawartych w podręcznikach i monografiach, wyczytać można, że tu także jest kawał ziemi, którą kto raz pokochał i posiadał, nie zapomni w grobie. Musiała ta ziemia mieć nieprzezwyćziony urok dla każdorazowego władcy, kiedy broniono jej przed 300 i przed 30 laty



tak zaciekle i przenoszono śmierć na gruzach fortecznych murów, niż oddanie ich w ręce wrogów.

Tam, skąd Pliwa płynie, wśród wzgórz okalających miasto od północy, rozlewają się spokojne wody dwóch jezior, zwanych poprostu: Wielkie i Małe Jezioro — tam niedobitki chrześcijańskich zastępów musiały się chronić przed pościgiem janczarów i spahisów, stamtąd może Stefan Tomaszewicz patrzył, jak drugi Boabdil, na utracony zamek, stolicę i kraj — patrzył, żegnał i płakał. Zanim podał głowę pod mściwe ostrze damasceńskiej stali, ostatnią jego myślą musiała być troska o przyszłe losy ojczyzny, ostatnią modlitwą prośba i życzenie, żeby z północy, skąd sam na próżno wyglądał odsiecz, przyszło kiedyś, później zbawienie ukochanemu miastu. Życzenie się spełniło, modlitwa została wysłuchana... w 300 lat potem.

Ale Irydionowa godzina odwetu i zwycięskiego upojenia nie wybiła wówczas, kiedy powstańcze oddziały, którym przewodził derwisz Hadzi Loja, pierchły przed piechotą hr. Szaparego, kiedy czarno-żółte sztandary powiały z miejskich baszt i z minaretów. Konak przebudowano na starostwo, dawną siedzibę królewską zamieniono na powiatowe miasteczko, lecz nikt nie wskrzesił dawnej chwały, nikt nie powrócił staremu grodowi znaczenia i potęgi, nikt nie zdjął dziejowej żałoby, która kirem oblekła zwaliska i wspomnienia. I opiekuńcze duchy, dusze rycerzy poległych w świętej sprawie, nie przestały żalić się i krążyć jak ptactwo skrzydlate nad zburzonym zamkiem, wyglądając chwili, kiedy krew przelana za kraj, wsiąkła w rodzinne niwy, zejdzie bujnym plonem odrodzonego życia, pomyślności i rozkwitu. To odrodzenie, dziś zaledwie w zawiązku, zaczyna jednak kiełkować, a niebawem rósć, rozwijać się, kwiat i owoc rodzić będzie.

Tylko będzie ono różnem, zupełnie różnem od tego, o którym marzyli krzyżowcy w pancerzach i misiurkach. Z północy istotnie nadszedł nie wojownik, ale człowiek



Jezero.



naszych czasów — przemysłowiec, który obudzi śpiącą królową. Jemu jest pisane tehać ducha, ocucić z letargu zamarłą miejscowość. Za pole działania obrał on sobie miejsce właśnie, skąd wyglądać musiano w XVI wieku zbrojnej pomocy panów chrześcijańskich — te jeziora, które Pliwa przepływa. Jej wody płynące wartkim prądem na skalne urwiska, odwozi umiejętna inżynierska sztuka na fabryczne



Wieś bośniacka Konic.

koła, niepohamowany pęd zamienia w rozpęd, wspaniałą igraszkę przyrody przeobraża w posłuszną siłę, zamiast ulegać jej powabom, każe jej pracować i wkrótce zacznie ona, ujęta w ścisłe karby, poruszać maszyny, tkać sukno, wyrabiać elektryczność. — Ucierpi na tem wodospad i utyskiwać będą esteci, ale turbiny obdarzą miasto zarobkiem, dostatkiem, przemysłowym rozwojem, napełnią je gwarem maszyn, cizbą robotników, tłumem kupców, wszystkim, co przemysł stwarza

i wywołuje. — Sokole gniazdo przemieni się w ul skrzętych pszczoł i ten prozaiczny Niemiec, który dziś rury zakłada i siłę spadku oblicza, dopełni mimowoli dziejowego posłannictwa.

Z okien mknącego wstecz pociągu żegnając dawną monarszą stolicę, każdy, kto ją zwiedzał, owładnięty jej urokiem, życzy jej nowej doby powodzenia i rozrostu, a ze sobą zabiera przeświadczenie, że miasta nie umierają, ziemie nie giną, że narodowa latorośl puszcza od korzenia, a raczej, że, jak Jerychońska róża — schnie, lecz nie usycha i po latach i wiekach znów zakwitnąć może.

Sprawdzają się przepowiednie, zdarzają cuda, urzeczywistniają nawet baśni ludowe, za każdą wiosną mają się drzewa i krzewy nową zielonością, ale nasze osobiste sny, oczekiwania i marzenia rwie i miecie wichry wypadków, jak pożółkłe listopadowe liście.



Majolika starobośniacka.



## MOSTAR.

**D**o Mostaru można dojechać koleją wprost z Sarajewa, albo z Jaica dotrzeć koleją również do Bugojna i stamtąd puścić się pocztowym wozem na góry Vakuf, Prozor, doliną Ramy do Jablonicy, gdzie znowu wsiada się do pociągu dążącego do stolicy Hercegowiny. Ten drugi, cokolwiek już archaiczny sposób podróŜowania daje sposobność przyrzeczenia się okolicom mniej znanym i odwiedzanym. Główną ciekawością tej ośmiogodzinnej jazdy przebytej na koźle obok pocztyliona — bo wewnątrz dylizansu wypełnione szczelnie oficerami — jest las, pierwszy rozległy szmat prawdziwego wysokopiennego lasu, który zdarzyło mi się napotkać w wędrówkach po kraju słynnym ze swego bogatego drzewostanu. I tu znowu nasuwa mi się porównanie z dobrze mi znanym krajem, gdzie świerki, jodły i sosny zachowały się na niedostępnych górach lub zapadłych zakątkach, zkad ich w żaden sposób wywieźć, spławić, a zatem i spieniężyć nie można. W Bośni nie widuje się borów w pobliżu miast, bo je tam wykarczowano z obawy rozbójników, ukrywających się w nich nieraz o stajanie od murów i bram obronnych, w dolinach zużyto je na opał, lub wyciosano z nich belki i krokwie, a na gołe zręby pognano stada owiec i kóz. Mylnem jest rozpowszechnione mniemanie, jakoby nieokrzesane społeczeństwa zamieszkiwały lesiste okolice. Przeciwnie, dziki człowiek, t. zn. ten, który żyje z dnia na dzień, bez troski ni zabiegów o przyszłość, tępi bezmyślnie drzewa, nawet tam, gdzie cień kaŜdej gałązki bywa istotnem dobrodziejstwem.

Dziewicza puszcza, nieprzebyte ostępy są cechą pierwotnego stanu i świadczą o nielicznem zaludnieniu kraju, ale las jest najczęściej dowodem cywilizacyi, a zwłaszcza gospodarności mieszkańców i właścicieli, którzy go szanować

umieją. Jeżeli zachował się dotąd między Górnym Vakufem a Prozorem, nie jest to zasługą begów ani tureckich kajmakanów, tylko obecnego rządu, który doskonałą drogą połączył przełęcz Maklenu z resztą świata, podniósł wartość drzewa, otwierając mu możliwość wywozu, a jednak troskliwie czuwa nad jego rozrostem i nie pozwala kupieckim siekirom rąbać bez planu i kresu.

Powóz toczy się powoli po krętej drodze, pod stromy szczyt, skąd obejmuje się wzrokiem równocześnie bośniackie góry i hercegowińskie wirchy.

Przełom jest tu wyraźny i widoczny. Północna część kraju przypomina Karpaty, południowa istryjski Karst. Różnorodność tu ubożeje, zieloność ustaje; rysunek gór jest odmienny, kanciasty i poszarpany, w krajobrazie przeważa odtąd suchy kształt nad barwną plamą. Małeńka miejscina Prozor widnieje w oddali naksztalt kłębka domów, z którego rozbiegają się jak nici, szare, w zygzakach wijące się drogi. Okrągłe baszty, szczątki małych, górskich zameczków sterczą nad przesmykami, którymi gościniec rządowy dąży do doliny Ramy, a dalej brzegiem jej aż do Narenty i stacyi drogi żelaznej w Jablonicy. Odtąd już martwy kamień wyplenia wszelki ślad życia wokół siebie, malownicze źródło Komadiny bucha srebrnolitym strumieniem na nieużyte głazy, na których nic korzeni zapuścić, ni od korzenia wypuścić nie może. Zielonolica rzeka przemyka się wśród stromych urwisk i wiszarów, pieni się na skalnych ostrowach, przyspiesza biegu tam, gdzie nadbrzeżne opoki zbliżają się ku sobie, jak gdyby ją ująć i zatrzymać miały; na mieliznach płynie cichutko a szumi na drobnych porochach, przesypuje niby dla zabawki piasek z jednej strony na drugą jak swawolne dziecko, czasem pogłębia nurt, zwalnia pęd wody, zakręca się w wirach jak w tańcu i dalej biegnie, jak gdyby wydostać się chciała z pośród tych omszałych, odwiecznych piaskowców i granitów. Po kilkugodzinnej jeździe wawóz się rozszerza, uprawne pola nastają; ale jesienną porą ku-



kurudzane ściernie są raczej żółtawe, niż zielone i wśród tej szarej, kamienistej okolicy wyrasta jak naturalny owoc tej ziemi szare, kamienne miasto Mostar.

Zaraz na dworcu kolejowym wpadają w oko poczynione wysiłki cywilizacyjne odmiennej niż u nas natury. Na północy opanowanie przyrody zaczyna się od walki z błotem i wilgocią, na południe od zapasów z kurzem i posuchą — widocznym znakiem tej pracy są u nas chodniki, rowy i kanały, tam — wodociągi, cysterny i wzdłuż dróg sadzone drzewa. Odprowadzenie zbytecznych, doprowadzenie koniecznych wód, świadczy o ludzkiej zapobiegliwości, a zarazem zdolności przystosowania się do wszelkich klimatów i geograficznych warunków. Szczęśliwsze od naszych pod tym względem gorące kraje mogą nadać ozdobny kształt budowlom, stawianym dla zdrowia i potrzeby. Sklepione łuki wodociągów, bijące w górę fontanny, cieniste rzędy platanów, akacyj czy kasztanów, a choćby prosta przydrożna studnia z kamiennem korytem dla pojenia bydła, cieszą oczy, zadawalniają znawców, a kształcą zmysł pospółstwa; u nas krecia robota w celach zdrowotnych niczyjego smaku estetycznego wyrobić nie zdoła.

W cieniu alei Rudolfa i Stefanii mogą, jeżeli w ogóle istnieją, mostarscy perypatetycy snuć do woli dalszy wątek rozmów i rozumowań, które poczęli przed wiekami ich duchowi przodkowie w ateńskiej akademii i Medycejskich ogrodach.

Samo miasto ma ściśle orientalną cechę. Mniej tam europejskich domów i kamienic, mniej »Szwabów«, niż w Sarajewie, muzułmańska wiara i obyczaj przeważają w stolicy Hercegowiny nad katolickiem i prawosławnem wyznaniem i życiem. Niemasz tam dzamii, którą porównałby można z Husrew Begową, ale pomniejsze meczety przedstawiają się okazalej, niż w bośniackich miastach, a zawdzięczają tę swoją artystyczną wartość nie tyle może swym twórcom, ile szlachetnemu materiałowi, z którego powstały. Drzewa



Mostar. Widok ogólny.



ni cegły nigdy w tych stronach nie było do zbytku, choć podobno niestarczy jeszcze ludzie pamiętają na szczycie bliskiego Humu las dębowy, tam, gdzie dzisiejszy rząd z ogromnym nakładem i wytrwałością wśród kamieniska szkółki i zagajniki hoduje. Za to kamienia wszędzie jest podostatkiem i z ciosu też postawiono nietylko meczety, lecz nawet małe domki i zajazdy. Kamień zaś, jak wiadomo, jest niełatwy do obrobienia, rysunek zatem całości, złożonej z niepodatnych gładów, wymaga więcej dokładności, niż drewniane i ceglane gmachy, gdzie zawsze belkę przykrócić, odciać, czy przysztukować, tabliczkę odłupać albo nadłożyć nie trudno; ale też lada gzems, wykuty w piaskowcu, najprostsze sklepienie, przedsionek przed meczetem, przypominający już włoskie, otwarte krużganki, pięknie wyglądają. A kiedy u bramy zasadzi się dwa strzeliste cyprysy, czarniawa zieleń drzew z szarym murem tworzy pod ciemno-błękitnym nieboskłonem udatną i wydatną architektoniczną całość.

Najważniejszą osobliwością Mostaru jest jednak słynny t. zw. »Rzymski most«, od którego miasto wzięło nazwę i nad którym wznosił się swojego czasu gród wspomniany w średniowiecznych kronikach, jako »Castelli al ponte di Narenta«. Jednym potężnym łukiem okracza on spadziste łożysko rzeki i przedstawia doskonale typ mostów, rozpowszechnionych na całym Wschodzie, różniących się od polskich tem, że najprzód rzeczywiście istnieją, a powtóre, że nie ma w nich dziur; ale podobne są do naszych o tyle, że po nich konno, ani koleśno przejechać nie można. Zbyt on wąski na to i zwłaszcza zanadto garbaty, tak, że mimo potężnej budowy służy tylko pieszym za kładkę. Po obu brzegach stare baszty stoją do dziś na straży. Wśród grubych murów przechowują się tam prochy i kartacze załogi, a we framugach gnieźdzą się sowy i nietoperze. »Rzymski« most jest najniezawodniej pomnikiem tureckich, czyli stosunkowo niedawnych czasów.



»Rzymski most« w Mostarze.



Świadczy o tem naocznie napis jeszcze czytelny; według najprawdopodobniejszych przypuszczeń, jest to dzieło włoskiego, zapewne raguzańskiego inżyniera na sułtańskim żołdzie. Mimo to przydomek nie myli się, ani zmyśla, tylko się odnosi do mostu, który rzeczywiście pamiętał rzymskie czasy i stawiany był na tem samem, wybornie obranem miejscu, lecz uległ przed wiekami zniszczeniu wśród nieustannych wojen i zbrojnych zatargów. Opodal nad samą wodą, obszerne, ciekawe jaskinie, gdzie musiano łamać kamień na podwaliny budowy, zamieniono z czasem na kuźnie, których nie powstydzilby się sam kulawy Hefajstos. Ciekawości, w ścisłem znaczeniu słowa, niema już więcej w tem wojewódzkim mieście, gdzie teraz rządzi i mieści się powiatowy i okręgowy urząd.

Baedeker, z którego się każdy natrząsa, ale do którego każdy zagląda, zdobywa się już tylko na ogólne uwagi, roz wodzi się nad pięknoscią położenia i t. d., a kiedy brak mu tchu i lirycznego uniesienia, zachęca do wycieczek w okolice i wylicza do grosza taksy dorózkarskie, przyczem jednak mija się z prawdą, wkracza w dziedzinę ułudy i fantazyjuje *in minus*.

Ciekawe są te zapyłone ciche zaułki i domy bez okien na zewnątrz, ludzie i zwierzęta juczne, odpoczywające o południowej porze po znoju w cieniu murów. Życie i ruch miejski podobne sarajewskiemu, a jednak bardziej wschodnie i bardziej południowe, przypominają potrosze Włochy, a potrosze Ziemię obiecaną, jak się ją zna z pierwszej książki, którą się miało w ręku: z historyi świętej z obrazkami. Hercegowiec leżący niedbale, zda się neapolitańskim lazzaronim; białobrody starzec, pojący w studni osiołka, na którym siedzi młode dziewczę, otulone w białą, nawpół przezroczystą chustę, toż to istny żywy obraz »Uciezki do Egiptu«; a owo żydziak zachęca na głos do kupowania małych, czar nych fig, migdałów i winogron iście chananejskich rozmiarów. I takto bardzo miłe, stare i swojskie wspomnienia z raję



Scena uliczna w Mostarze.



utraconego pierwszych wrażeń dziecińczych, łączą się z temi nieznanymi postaciami w obcym tłumie.

Latem wre życie na ulicy do późnej nocy. W skwar-nych popołudniowych godzinach wszyscy układają się do snu; natomiast wieczorem ożywiają się stragany, kawiarnie, a na przechadzkę wylega cała ludność bez różnicy stanów i zawodów. Koło północy dopiero cichnie gwar i ruch ustaje; na opustoszałych chodnikach rozlega się tylko miarowe stąpanie straży bezpieczeństwa, albo głuchy stuk drewnianych trepek jakiej tureckiej jejmości wracającej do domu z przydługich odwiedzin u przyjaciółek i poprzedzanej przez wyrostków z papierowymi latarniami, nakształt lampionów, do oświetlenia drogi. Niespodzianie zalatuje przechodnia woń śliwownicy i równocześnie dolatuje go przyciszonym głosem śpiewana tęskna дума z przygrywką bardzo prymitywnej gęśli — to Serbowie pędzą pod gołym niebem »raki«, wódkę ze śliwek, stanowiącą napitek ulubiony katolickich i prawosławnych Bośniaków, a wieczną pokusę wyznawców proroka, którego wszystkie bractwa wstrzemięźliwości powinnyby czcić, a przynajmniej poważać jako najwালniejszego sprzymierzeńca.

Cudowna, pogodna noc daje »z gwiazd myślom łożę i posłanie«; zmysł spostrzegawczy, natężona ciekawość i ruchliwość, które wymagają jaskrawego oświetlenia, zasypiają w duszy; natomiast, nakształt mlecznych oparów, wznoszą się marzenia, obejmują tonące w półmroku przedmioty, nadają im kształty od rzeczywistych odmienne, aż w tem romantycznemu nastrojowi odpowiada najromantyczniejszy z widoków, rzeczywistość zamieniona w sielankę, w sen nocy letniej, w poetyczne widziadło. W wąskiej, miesięcznym światłem zalanej ulicy stoi młody chłopak owinięty w fałdzisty płaszcz, czy burnus; kaptur opadł mu na ramiona, fez zsunął się na tył głowy, na białym tle wapiennego muru odcina się wytworny profil, orli nos, łuk ciemnych brwi i junaka młodzieńczy jeszcze wąsik. Zachwycony i rozko-chany wzrok biegnie w górę do okienka, którego firanka

na pół uchylona ukrywa w półmroku różane lica i hożą postać panięcia, córki jakiego bega lub agi. Najłżejszy szelest płoszy kochanków, przerywa duet szeptów i westchnień, ale nie — to nie głos skowronka, ani nawet słowika, to poprostu odgłos kroków zabłąkanego przechodnia, zatrzymanego mimowolnie sceną przeniesioną żywcem z ogrodu Capuletów, miłosną rozmową tego bośniackiego Romea i tej muzułmańskiej Julii.

Sielanka nie jest tu przedświtem tragedji, lecz przeciwnie początkiem najzwyczajszego i zupełnie dozwolonego zalecania się. Wszak to piątek, czyli dzień świąteczny, w którym prawo pozwala dziewczętom ukazać się po za domem bez zasłony, a wieczorem toczyć te rozmowy, które skłaniają ku sobie przyszłe stadła i zasiewają serdeczne uczucia. Tego też dnia padają strzelne i wabne spojżenia, zalotne uśmiechy kwitną na malinowych wargach, a na panięskich jagodach pałają rumieńcem i niejeden grot wymierzony w chwackiego Hercegowinina może w serce zadrasnąć, a czasem i głęboko zranić obcego »Szwaba«.

Turczynki zamężne noszą w Mostarze ciemne oponicze z kapturem, nasuniętym na czoło i wydłużonym naksztalt dzioba, a że ruszają się ociężale i niezgrabnie, miejscowe urwisy zowią je gawronami; ale wogóle strój mężczyzn i kobiet jest barwny i ozdobny, a szlak ludzi, im dalej na południe, im bliżej czarnogórskiej granicy, coraz dorodniejszy. Nierzadko spotyka się typy niepośledniej piękności, o posągowych torsach i posągowych rysach twarzy. Południowe cechy przebijają w kruczych włosach i czarnych oczach, w smagłej



Kobieta muzułmańska.



cerze, w postawach i ruchach, ale i w usposobieniu, w sposobie mówienia, myślenia, w całym duchowym jestestwie.

Stary Franciszkanin n. p. w czerwonym fezie i o białych jak mleko wąsach, podpierający się kosturem, ale żwawo jeszcze chodzący, jest typem, jakiego nie spotyka się na północy. Jest to sławny Fra G.....ic, narodowy poeta, uczonek, chluba Bośni i Hercegowiny, znany i uznany wszędzie, gdzie rozbrzmiewa serbsko-chorwacki język. Przechodnie bez różnicy wiary nisko mu się kłaniają, a on w zamian uprzejmem skinieniem odpowiada na te powszechnie oznaki czci, nie przerywając wątku rozmowy, wszczętej o dawnych czasach. Ten cichy, pokorny mnich zaważył przed 30 i 25 laty na szali losów całego kraju, kiedy zasiadał w radzie sarajewskiego wielkorządcy, był niejako przedstawicielem i rzecznikiem katolickich interesów i zwłaszcza, kiedy redagował w imieniu swych współwyznawców historyczną depezę do hr. Andrassy'ego, domagającą się zajęcia Sarajewa i Mostaru przez cesarską i królewską załogę, którą tenże odczytał na kongresie berlińskim i pełnomocnictwo Europy dla zamierzonego przedsięwzięcia wyjednał. Na pytanie, czy zadowolony z dzisiejszego stanu rzeczy, do którego się w tak znacznej części przyczynił, odpowiada niemym uśmiechem, wymijającym ruchem, wypadkową sprzecznych uczuć, zawiedzionych nadziei, oczekiwań i niespełnionych życzeń. Zapewne czekał tego właśnie, czego się doczekał, ale jednak musiał sobie wyobrażać teraźniejszość inaczej, wówczas, kiedy była jeszcze przyszłością, bo milczy, kiwa głową i popada w zadumę.

Któż zdoła zbadać, przeniknąć serce ludzkie, któż zdoła orzec, czy w rezygnacyi Bożego sługi nie kryje się trochę żalu, nieco tęsknoty za czasem, w którym działał i znaczył i torował drogę tym właśnie, którzy po nim przyszedłszy, za życia popchnęli go w przeszłość? Fra G.....ic otrząsa się z tych wspomnień, każe serdecznie pozdrowić przyjaciół w Polsce i o wieczornym już mroku podąży do

biskupiej siedziby, położonej na skłonie góry, dość daleko od śródmieścia. Ofiarowaną sobie usługę towarzystwa i opieki o tej spóźnionej porze i wśród podmiejskich drózek i wertepów odrzuca stanowczo, dodając z dobroduszną dumą, że nikt, nawet zbój bez czei i wiary nie poważy się w tych stronach podnieść na niego ręki.

Najkrótsza i najłatwiejsza do odbycia, a nader ciekawa wycieczka w okolice Mostaru prowadzi do źródeł Buny. Doskonałym, bitym gościńcem jedzie się wśród szarego krajobrazu, wśród wydm piaszczystych i kamykami usianych pustych przestrzeni, na których nic nie rośnie dziko, a rzadkie migdałowe i pomarańczowe drzewa udają się tylko tam, gdzie skrzętny gospodarz podlewa je w czasach posuchy i murem osłania od strony zabójczej borry. Droga biegnie prosto, jak wszędzie, gdzie niema czego omijać, ani oszczędzać, nie dociera jednak aż do samego celu i trzeba pieszo odbyć ostatnich kilkaset kroków.

Buna wypływa z pod olbrzymiej samotnej skały, wyźłobionej w szczeliny i zagłębienia, zrzadka tylko porosłej kępami mchu. Woda nie tryska, nie pieni się, ani kłębi, nie szumi, nie sączy się i nie szemrze — wydobywa się obfitym, cichym, krynicznym strumieniem, zabarwionym na zielono, z ciemnej paszczy jaskini, której w gardziel zajrzeć nie można. Ponad nią piętrzą się wiszary nakształt naturalnych sklepień, z których coraz to wyższe nad niższymi wystają. Stanąwszy u źródła widać nad głową głązy i złomy, wolno na pozór wiszące w powietrzu. Martwy kamień ożywia świegot i trzepotanie krzydłami ptasiej rzeszy; lotne gołębie skalne, śmigłe jaskółki i jerzyki, niedościgłe sokoliki gnieżdżą się chmarami po szczelubach i kamiennych dziuplach, szyją jak strzały, szybują nad zwierciadłem wody, kołują w przestrzeni, co chwila wpadają, to znów wypadają z gniazd — zdaleka zdają się odbijać jak piłki od gładkiej ściany.

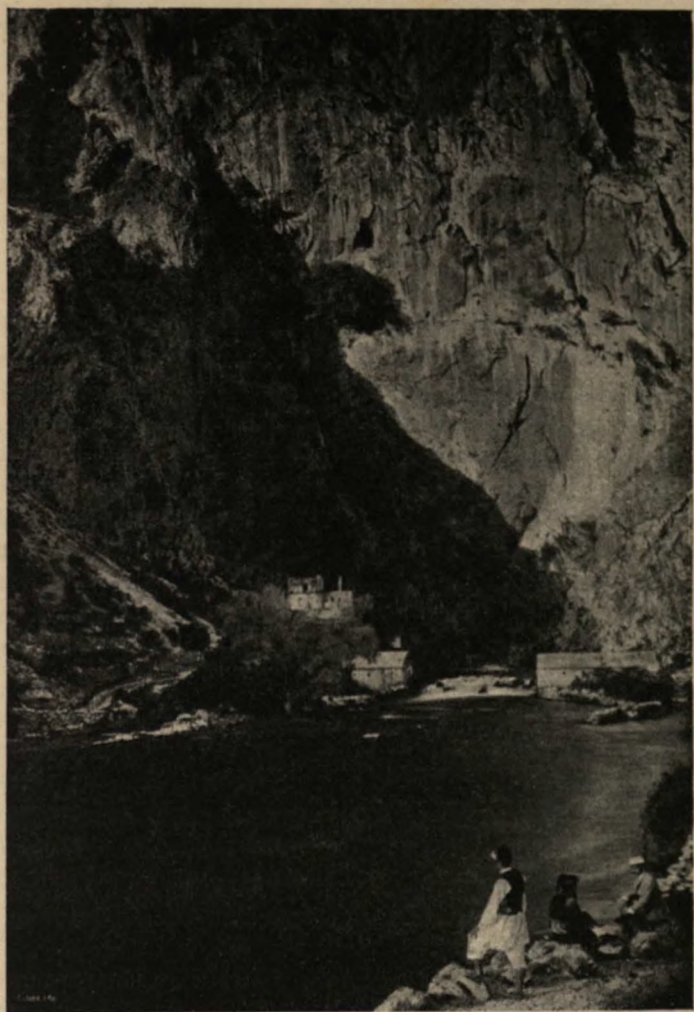
Zawołanym strzelcom, zamiłowanym w swojej sztuce dla niej samej, nadarza się tam wyborna sposobność do pró-



bowania celności oka i broni w tym osobliwym *tir aux pigeons*, tak odmiennym i o tyle mniej banalnym od tego, którego pierwowzór roztacza się półkolem w pół góry między morską roztoczą a domem gry w Monte-Carlo i jest tylko niższem piętrzem czy piwnicą złowrogiego gmachu, miejscem zbiegowiska, polem popisów i wyczysku graczy i kosterów.

U źródła Buny niema szalonych zakładów, ani wysokich nagród i tylko niewinne plectwo pada ofiarą myśliwskiej igraszki, czerwieni szmaragdową strugę prądkiem krwi i płynie, bijąc w przedśmiertelnym kurczach nastroszonemi pióry, o kilkanaście sążni niżej, gdzie na nie czyhają chłopięta, wyrosłe jak z pod ziemi i ucieszone nadspodziewaną pieczęcią. Odgłosy strzałów powtarza echo, rozłamane na kilka głosów, niby mistrzowsko kierowany chór, smugi dymu, wykwitające z rur dubeltówek, układają się w górze nakształt powiewnego baldachimu.

Wzrok leci w górę i nagle spostrzeżga coś, co przykuwa uwagę, budzi podziw, każe o wszystkim innem na razie zapomnieć. To coś — to okienko na pierwszym piętrze »kuczy«, przyległej do zrębu, jak przylega małeńki grzybek do drzewnego pnia. Okienko otwiera się na źródło i rzeczkę, a z niego wychyla się niewieścia głowa, przysłonięta bielizną, która usta, policzki i pół nosa zakrywa tak, że dojrzysz tylko niskie i smagłe czoło, ciemne brwi i oczy, ale co za oczy! Wielkie, czarne, łzawe i ogniste zarazem, smutne i głębokie, jak bezdenna toń, powłóczyście i złotymi blaskami siejące, oprawne w jedwabiste długie rzęsy, wśród których źrenice żarzą się, jak węgiel, a białka połyskują, jak perły. W takie oczy można się zapatrzeć na śmierć albo na całe życie, o nich śnić, każdemu mrugnięciu sonet poświęcić... sonet, a raczej wschodnią gazelę, jedną z tych pieśni lirycznych, w których perscy i arabscy poeci sławili swoje bogdanki, a wobec których wiersze współczesnych poetów zdają się suche i oschłe, jak scholastyczny traktat. Bo i te



U źródeł Buny.



oczy ze Wschodu przysły, jak światło, jak słoneczne promienie, które odbijają.

Nie przeglądały się one w słowiańskich rzekach, ni jeziorach zachodnich, ale odzwierciedlały się w świętych i tajemniczych wodach:

Gdzie wieją palmy, fala błyszczy szklana,  
Gdzie lotos ponad Gangesu sitowiem  
Patrzy na Imry gród, tonący w niebie.

Mimowolnie szepce się wiersz Heinego \*) dalej i z uniesieniem kończy wraz z nim:

Pani, ja nie znam piękniejszej od Ciebie!

Ale gniewliwy głos z wnętrza domu rozlega się i zapewne łaje, bo »Pani« znika z okienka, a raczej spuszcza firankę, a natomiast na ganek wychodzi stary imam, zaprasza na kawę, papierosy i bakalię. Smagła płeć, wąłta a zarazem wykwintna budowa ciała i coś niezwykłego w układzie i ruchach wskazują wyraźnie, że to przybysz z dalekich stron. Istotnie przywędrował on przed laty z Indyi, w orszaku Omera baszy, w Bośni się osiedlił i ożenił i żyje w uroczym zakątku z rodziną, pełniąc straż nad grobem tureckiego świętego. Na całym Wschodzie rozsiane są podobne grobowce, cel pobożnych pielgrzymek. Wiadomo że w pobliżu Pesztu zachował się do dziś dnia taki przybytek, do którego ściągają rok rocznie muzułmańskie rzesze z głębi Turcyi europejskiej i nawet azyatyckiej. W całej Afryce północnej napotyka się również takie miejsca uswięcone tradycją i obyczajem — białe kopułki z czerwonym lub zielonym proporcem u szczytu i siwobrodym *marabutem*, siedzącym w kuczki u progu, przesuwającym w palcach różańcowe paciorki z sandałowego drzewa, czy bursztynu i zbierającym jałmużny.

Święty z nad źródła Buni jest podobno cudotwórcą, jak zapewnia poważnie Hindus. Co noc odbywa przepisane

---

\*) W tłumaczeniu Józefa Weysenhoffa.

ablucye, o czem świadczy dzban wody i ręcznik, który mu się zostawia wieczorem, a który jest rano wilgotny, dzban zaś wysuszony aż do dna.

Na pożegnanie rzuca się okiem raz jeszcze na potok i na skały, raz jeszcze próbuje dostrzedz indyjską piękność, która jednak znikła bezpowrotnie dla natrętnych oczu niewiernych, rozwiała się jak marzenie, uleciała w kraj wspomnień... czas wracać o wieczornej zorzy do Mostaru. Tu niech mi wolno będzie wpleść osobistą wzmiankę w tę wiązanekę spostrzeżeń i wrażeń.

Było to w sobotę 11 września 1898. Na tarasie hotelu »Narenta« wieszerało towarzystwo trafem zebrane, a jednak dobrane i powiązane, jeżeli nie węzłami zażyłej przyjaźni, to jednak niemi chwilowej sympatii. Wenecki malarz P., rotmistrz dragonów R., jeżdżący co roku z polecenia rządu za zakupnem ogierów i klaczy do Egiptu, Syrii i dalej aż na Cejlon, rumuński bojar wychowany na bulwarach i kurasalach modnych miejsc kąpielowych, jowialny szlachcic ze »Złotego« Banatu i niżej podpisany, gwarzyli wesoło o znanych ludziach i widzianych rzeczach, gdy młodzianki huzarski podporucznik zbliżył się szybko i szepnął kilka słów rotmistrzowi do ucha. Cesarzowa Elżbieta padła tego samego dnia pod ciosem anarchistycznego złoczyńcy w Genewie. Rozmowy umilkły, muzyka wojskowa przerwała koncert, ogólna wesołość zgasła na tę złowrogą wiadomość, jak gaśnie świeca zdmuchnięta nagłym wichrem. Nazajutrz powiewały już z murów czarne chorągwie, kościół objmano kirem na żałobne nabożeństwa, żałoba powszechna znaczyła się na każdym kroku.

Z Mostaru do granicy Dalmacyi w Metkowiec trwa jazda koleją żelazną zaledwie 2 lub 3 godziny. Nic godnego uwagi nie dojrzeć w tej coraz kamienistszej, coraz bardziej otętwiałej i obumarłej okolicy. Jedyne bieluteńka osada Poczitel różowieje w skośnych promieniach wschodzącego słońca, jakby mury miejskie i ściany domów wyłożone były



od góry do dołu mieniącym się perłowcem. Wkrótce czarno-żółte słupy zwiastują wjazd w ziemie austro-węgierskiej monarchii. Narenta przestała być rzeczulką, igrać jak dziecko piaskiem i kamykami; odtąd zaczyna się dla niej praca, która dorosłym rzekom przystoi: musi ona statki nosić, wystugiwać się komunikacyi, żywić rybaków zamieszkujących liczne, nad zwierciadłem jej wód rozsiane sioła. Te wioski przyczepione do nagich skał, złożone z małych kamiennych domków, połączonych między sobą sznurami — na których suszą się wężerze, sieci, bielizna i kolorowe chusty — są schronieniem istnych amfibiów ludzkich, ubogiej a ruchliwej ludności, żyjącej od dzieciństwa więcej na wodzie, niż na lądzie i dostarczającej austriackiej marynarce wojennej i handlowej tego niezrównanego materiału sterników, majtków i żeglarzy, którzy w sprawności i biegłości przewyższają nawet angielskie okrętowe załogi. Małe przystanie, do których statek na krótko zawija, maleją kolejno i majaczej wkrótce niewyraźnie w oddali. Modre pasmo, zlewające się na widnokręgu ze stropem niebieskim, rośnie, rozszerza się, staje się bezmiarem, który wchłania w siebie Narentę... Thalatta, Thalatta! okrzyk dziesięciu tycięcy Greków z Xenofontowej *Anabasis* wyrwa się mimowolnie z piersi.

Pięściwe fale morskie zakołysały z lekka naszym statkiem niby huśtawką — ten błękitny przestwór, owa falista roztocz wokół nas, to już Adryatyk...

»Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia«.



Staroserbska zapinka.

## RAGUZA.

Illi robur et aes triplex  
 circa pectus erat, qui fragilem truci  
 commisit pelago ratem  
 primus, nec timuit praecipitem Africum

. . . . .  
 . . . . . nec rabiem Noti,  
 quo non arbiter Hadriae  
 maior, tollere seu ponere volt freta.

**T**e strofy przychodzą na myśl na małym okręcie, który, aczkolwiek poruszany parą, przypomina rozmiarami i zwłaszcza powolnością ruchów starożytne trójwiosłowce. Na szczęście groźny *arbiter Hadriae* nie wzdyma bałwanów, ani głębokich bruzd nie wyorywa w morskich odmętach, lecz tylko muska zlekka pomarszczone fale i wieńczy pianą skaliste brzegów krawędzie.

Rozpoczyna się wędrówka od jednej wysepki do drugiej, istna mała Odyssea po niewielkim archipelagu, i można się dowoli napatrzeć krajobrazowi, który godzien współzawodniczyć z najbardziej wstawionymi i zwiedzanymi.

Między dwoma błękitami: nieba i morskiej rozłoczy, widnieją ostrowy, półwyspy i przylądki. Na szaro-perłowych złomach rosną gaiki szaro-srebrnych drzew oliwnych, dąbrowy, kępki pinii. Z ogrodowych gęstwin, z pośród strzelistych cyprysów, wysmukłych eukaliptusów, pękatek drzew figowych wyzierają terasy i loggie białych pałacików; na widnokręgu rysuje się tu i ówdzie *campanile* kościoła o coraz to wytworniejszych kształtach. W każdym porcie a raczej przystani — gdzie szeregi łódek stoją rzędem uwiązane u żelaznych haków, wmurowanych w groblę, a rybackie sieci suszą się do słońca — widać całe stosy pomarańcz i cytryn, przeznaczonych na wywóz; obok stragany pełne ryb, któremi



kupczą hałaśliwi czarnowłosi handlarze. Na worach, koszach, skrzyniach, porzucanych beładnie, siedzą lub leżą Dalmatyńcy w czerwonych czapeczkach, z fajeczką w ustach i rozprawiają gwarnie i swarliwie, albo też nucą półgłosem dźwięczne pieśni, zwiastujące poblizę: *del bel paese là, dove si suona*.

Dziewczęta idą do studni z dzbankami nakształt starożytnych mieszalników, a gdy zaokrągliwszy ramiona nad głową, wracają ostrożnie z pełnym naczyniem, same stają się do najpiękniejszych amfor podobne; kiedy zaś przystaną u źródła w białej chustce, ułożonej w klasyczne fałdy, przypominają posagi, które niegdyś zdobiły tam święte gaje i krynice. Im dalej płyniemy na południe, tem więcej barw i odcieniów mieni się w przestrzeni, tem więcej pieśni rozbrzmiewa w powietrzu, tem klasyczniejsze stają się postacie i postawy, tem bujniej rozwijają się kwiaty i krzewy. Jak w mglisty, mroczny poranek pierwsze promienie przedświtu złocą strop niebieski i wzniecają srebrzysty zgiełk skrzydlatej rzeszy, tak w tej podróży w coraz to słoneczniejsze strony dostrzega się wyraźnie dobroczynny wpływ »słicznego oka, dnia oka pięknego«, które potęguje blaski, wywołuje dźwięki, rozsiewa zapachy i rodzi radość w ludzkich sercach. — O zmierzchu zapalają się w półkolu światła Grawosy, do której zdążamy. Łodzie rybackie, rozpierzchłe po zatoce, jak wodne ptactwo w pogoni za żerem, rozwijają białe, trójkątne żagle i wracają pędzone wieczornym podmuchem do wybrzeży. Gromadkę tych białych pływaków wprawia w półkach czarny korab potężnego parowca, który ze Wschodu, Indyi, Egiptu, czy Azji Mniejszej wraca do ojczyzny i trzęsąc pióropuszem dymu, świecąc różnokolorowemi latarniami, świszcząc przeciągle i porykując donośnie a przenikliwie, toruje sobie drogę wśród małej gawiedzi do portu, gdzie go czeka schronienie i odpoczynek.

Z Grawosy w kilka minut dojeżdża się do Raguzy; z wyżyn Monte-Vierno obejmuje się wzrokiem widok na jedno z tych miast, które zdają się skamieniałem widziadłem, sen-

nem zjawiskiem na jawie, które stoją na pograniczu sennych marzeń i dotykanej rzeczywistości.

Kto się kocha w postępie, ruchu, gwarze i tętniącym życiu, kto piękność miast ocenia po sklepowych wystawach, światłem jarzących ulicach, złotem szamerowanych liberyach i hotelowych zbytkach, ten niech Raguzę omija zdaleka. Pożegnajcie się tutaj z wszelką nadzieją uciechy czy pożytku



Widok ogólny Raguzy.

wszystkie dusze, niezdolne się wznieść nad poziom utylitarnej komiwojażera. Żeby odczuć wdzięk zamierającej miłośnicy, co dawniej współzawodniczyła z byłą królową Adryatyku, trzeba... odczuwać »wdzięk uwiedzionych kwiatów«, trzeba być zwolennikiem przegranych spraw, minionych czasów, walać się murów, gasnących rodów; trzeba lgnąć do tego, co nie płuży, i trzeba cenić tych, którzy umieli górniej żyć niegdyś, a dzisiaj chcą dumnie umierać; na to, by ten urok oddać wiernie i obrazowo, trzeba być... poetą ruin.





Mury warowne Raguzy.

Przejezdny Anglik czy Francuz może podziwiać malowniczość położenia, upodobać sobie artystyczne zabytki, zwrócić uwagę na arystokratyczny profil w oknie w półopustoszałego pałacu albo w kościelnych stallach, ale nie dojrzy niemej tragedii ostatnich potomków dawnej ragusańskiej szlachty; nie domyśli się, jaka żałoba mieści się jeszcze w tych wspinających pustkach, ile żywego, serdecznego bólu, beznadziejnego żalu nurtuje w duszach tych patrycyuszów, którzy za życia wydają się posagowymi pomnikami przeszłości. Kto natomiast urodził się i wychował w krainie mogił i krzyżów, ten wie, czym jest rozbrat między świetną przeszłością a szarą przędzą dni dzisiejszych, ten odczuje w lot rozpaczliwy nastrój ostatnich Raguzan i współczucia im nie poskąpi. *Nessun maggior dolore...*

Przyroda zda się tu być w spisku z historią; bezwiedne działania ślepych a wiecznych sił kosmicznych kojarzą się z biegiem ludzkich spraw i zdarzeń w nieubłagane fatum, które skazało na zagładę ten skrawek niepodległej ongi ziemi. Skaliste zwały i złomy dalmatyńskich gór piętrzą

się jak dawniej nad miastem; przestały bronić go przed najeźdźcą i łupieżką zgrają wiecznie głodnych sąsiadów, ale nie pozwalają mu rozprzestrzeniać się w tę stronę, a morze, z którego była rzeczpospolita ciągnęła wszystkie soki żywotne, niepomne wiekowych związków, odsunęło się od niego, zawałiło port mułem, odjęło mu swą głąb, i tam, gdzie dawniej śmiało wpływały kupieckie statki naładowane wschodnimi skarbami, dziś zaledwie czółna, poruszane wiosłami, zdołają się przemknąć wśród dwóch ławic.

Raguze otacza zewsząd mur obronny z czerwonej cegły niby krwawnikowy pas czarnogórski; w pośrodku widnieje wysoka brama z żółtawego piaskowca jak mosiężna klamra — jestto *Porta Pille*. Po zwodzonym niegdyś moście wjeżdża się w okrągły bastyon na kształt Rondla bramy Floryańskiej, gdzie droga skręca się w zygzak a raczej w śrubę, bo różnica poziomu między nisko położonymi ulicami a wysoko wmurowanym gościńcem jest znaczna. Mija się franciszkański klasztor, ozdobną studnię, z której tryska przez lwie paszcze



Raguza. Przedmieście Pille.



woda, i staje się na »Stradone«, wśród dwóch rzędów pałaców, stawianych w czasie i stylu Odrodzenia; tam co wieczora odbywa się *Corso*. Smętne wrażenie, którem nacechowane są gmachy i ludzie, znika na chwilę, ustępuje miejsca swobodnej i zalotnej wesołości, nieodłącznej od tej przechadzki, właściwej wszystkim włoskim i hiszpańskim miastom.

Wśród jasno oświetlonej ulicy chodzą godzinami wszyscy, którzy tylko nogami suwać mogą. Młodzi i starzy, miejscowe piękności w czarnych mantyllach i z kwiatami w warkoczu, czarnogórskie młodzieńce w haftowanych stanikach i krótkich spódnicach, chwackie zuchy z Krywoszyi o wyzywającym spojrzeniu, groźne Serby z całym arsenałem siecznej i palnej broni za pasem, przeznaczonej jednak nie do morderczego użytku, ale na sprzedaż — krzyżują się, spotykają, mijają, witają, uśmiechają się do siebie nawzajem, czasem śledzą zazdrośnie lub mierzą oczyma nienawistnie. Porucznicy, podporucznicy i żołnierze miejscowej załogi w obcisłych mundurach węgierskiej piechoty chodzą w takt sprężystym, miarowym krokiem, niby na mustrze; oficerowie i marynarze wojennych i handlowych statków w płaskich kaszkietach, przestronnych bluzach i szeroko odwiniętych kołnierzach — kołyszą się i chwieją niby na pokładzie okrętu; czasem przez ciżbę przemknie budy kaptur mnicha, albo mignie czerwony fez i semicki profil Lewantyńca. Śmiechy, szepty, nawoływania, gwarne rozhorowy i niekiedy sprzeczki wytwarzają wespół uliczną, wespół salonową atmosferę. Cudzoziemiec nie czuje osamotnienia w tym tłumie; czar południowego usposobienia, poufałego bez natręctwa, działa na niego bezpośrednio i jedna go sobie odrazu. Z tłoku wyłączają się zakochane pary, chronią się w cień krużganków, które biegną wzdłuż domów; powoli rozprasza się i reszta przechodniów, niknie w ciasnych zaułkach albo wraca po stromych schodach w górne dzielnice miasta — i »Stradone« znowu popada w ciszę, pustkę i zadumę.

Miesiąc, wzbiwszy się nad turnie Monte Sergio, oświeca płaskie dachy, głębokie framugi, uszkodzone gzymsy, poutrącane herby, zardzewiałe okucia, ganki porośnięte mchem starości; przegląda się w szybach okien, nie przeświecających światłem, ale szklących się mglisto jak ośleplę żrenice. Ledwie gdzieś latarka migocząca na poddaszu, dźwięk mandoliny, rozlegający się *mezza voce* z piąterka, lub cicha rozmowa w jednej z altan wznoszących się, nakształt kwietnej



Ragusa. Stradone.

zastawy na stole, na przestronnych terasach — świadczy o tem, że tu życie nie zanikło do szczytu, że to nie ementarz, ani miasto umarłych.

Ta chmara ludzka, która zapełniała o zmierzchu ulicę, poruszała się w przeciwnych kierunkach, jak czółenka w krosnach, te setki ludzkich głosów, zlewające się w potężny zbiorowy szmer, podobny do brzęku rojących się pszczół, są na »Stradone« czemś obcym, napływowem. To pospólstwo, *plebs*, a nie *populus*, a tem mniej senat i senatorskie





„Studnia przed pałacem Rektorów w Raguzie.

rodziny ragusańskiej. Tych się nie spotyka na ulicy, nie widzi nigdy wśród rozbawionego mrowia ludzkiego — ich czasy minęły i oni też sami od przyszłości wyglądają tylko śmierci.

W powszedni dzień zaszedłszy do katedry, natknąłem się na uroczyste nabożeństwo, odprawiane na cześć jednego z miejscowych św. patronów i tam w rzeźbionych ławach kapituły ujrzałem rajców miejskich z burmistrzem w złotym łańcuchu. Te czcigodne, sędziwe, białowłose postaci, zatopione w modlitwie lub zamknięte w sobie, oddane rozmyślaniom, czy też pogrążone w rozpamiętywaniach mimo zwykłych nowoczesnych ubiorów, przedstawiały się wspólnie i okazałe. W żyłach tych starców musi do dziś dnia płynąć szlachetna krew, odziedziczona po patrycyuszach współczesnych i pokrewnych tym, którzy służyli za wzór portretowym arcydziełom Tycyana i Tintoretta. Po sumie i po *Te Deum* zapoznał mnie wspólny przyjaciel z baronem

Gondola-Ghetaldi. Podesta zaprowadził mnie do pałacu dei Rettori, gdzie na drugim piętrze miał swoje biuro. Szczera, serdeczna rozmowa wywiązała się natychmiast na tle niekłamanej mego podziwu dla wszystkiego, co nas otaczało, a umiłowanego przez niego tak, jak tylko patrycyusz może miłować rodzinne miasto. *Je suis vieux jeu et je ne m'en cache pas* — mówił ten dostojnik — *je le suis même à tel point, que j'en deviens un anachronisme vivant* — i po chwili dodał ze smutnym uśmiechem: *Ma patrie telle que je l'aime et la comprends — et moi, nous avons fait notre temps.*

W dużej komnacie, o pięknych sztukateryach na pułapie, świeżo i umiejętnie odnowionych, siedział on za urzędowym stołem, pokrytym papierami i biurowymi przybarami; arystokratyczne rysy, krótko strzyżone siwe włosy, orli nos, krzaczaste brwi, staroświeckie okulary, bródka hiszpańska, odcinały się na czerwonym tle adamszkowego obicia i dziwnie, uderzająco przypominały portrety ks. Alby.

— Przyjechałeś paz oglądać ruiny; nie u nas niema godnego widzenia, prócz ruin. To, co żyje, co chce żyć tutaj



Ragusa. Podwórze w pałacu Rektorów.



to ma usposobienie płażów i robactwa, pełza i żywi się zgnilizną. Taki stary, samotny puszczyk, jak ja, gnieździ się tutaj i zamrze tu, gdzie się urodził, ale dla innych żywych niemasz tu miejsca.

Niema Raguzy, niema floty, niema skarbów, niema naszego rządu, niema nawet Wenecyi, która tysiąc lat wyciągała ku nam pożądlive ramiona i której tysiąc lat opieraliśmy się zwycięsko; niema i szlachty naszej, dawnych Salamanchesi, ani Sorbonnesi, potomków tych, którzy w średnich wiekach jeździli na nauki aż do Katalonii i Paryża. Ja sam żyję o sto lat zapóźno, czuję się wygnańcem na na rodzinnej ziemi... wygnańcem z moich czasów, ale też zbliża się już wieczór mego życia i jestem z Gondola-Ghetaldich ostatni\*).

Zadumał się starzec i ciągnął dalej jakby dla siebie:

— Bosdari, Georgi, Caboga, Bonda i tylu innych; wszyscy bezzenni albo bezdzietni. Wielu wymarło już, wszyscy wymrzemy wkrótce.

— Ależ to istne samobójstwo zbiorowe — napomknąłem zcicha — prawem życia jest ewolucya, odtwarzanie się i przetwarzanie, zastosowanie do nowych warunków, liczenie z nowymi warunkami. Kto chce żyć, musi naginać się do konieczności, musi być sprężysty i giętki zarazem. Przeszłość to nie płyta grobowa, ale mogiła porastająca na nowo darnią, kwieciami i krzewem.

— Kiedy my żyć nie chcemy — odparł podesta i powiódł po mnie stanowczem, chociaż nie rozpaczliwem spojrzeniem. — Dla nas niema alternatywy: *sint ut sunt aut non sint*. Powtarzam panu, że dla nas już miejsca niema wśród żywych; a my — rzekł z przyciskiem — to kilkanaście, a najwyżej kilkadziesiąt rodów zubożałych, hardych

---

\*) Od czasu mego pobytu w Raguzie umarł bar. Franciszek Gondola-Ghetaldi, o którym mowa i z nim wygasł rzeczywiście jego ród. (Przyp. Autora).

i dumnych z pergaminów, które mają lokalną tylko wartość.  
Czy myślisz pan, że ktokolwiek zauważy na szerokim świecie



Z pod Raguzy.

brak tej garstki ludzi, mającej prawo w miasteczku o dziesięcioletniej ludności do pewnych krzeseł w kościele San Biaggio i wyznaczonego miejsca w procesjach? Nie buntuję się ja zresztą przeciw niczemu, jestem szambelanem Jego ces. Mości



i ślęcę nad tymi oto szpargałami, żeby wyrobić u hofrata w Wiedniu lub Zarze odnowienie pomnika w tym lub owym kościele, klatki schodowej w Dogana, lub dębowych sztukateri nad naszymi głowami; czasem udaje mi się może wyrobić zapomogę »z archeologicznych względów«, kiedy dla mnie to żywa, rodzinna tradycya. Nie mam żalu do nikogo, ale powiedz pan sam, czy mam gardłować ze Słowianami, czy z Włochami obstawać za połączeniem Dalmacyi z Cyslitawią, czy Translitawią, ja, który jestem patrycyuszem raguzzańskim i niczem więcej! Co mnie oburza najbardziej, to to — i tu oczy zaiskrzyły mu się złowrogo a wyraz twarzy stał się zawziętym i pogardliwym zarazem — że są pomiędzy nami niegodni, którzy w tej przegranej walce o byt proszą o pardon, żenią się z córkami »dorobkiewiczów«, nie wpisanych w żadną »Złotą księgę« i niecnie frymarczą swem nazwiskiem i godnością. — Chodź pan, pokażę panu moją Raguzę tak, jak jej nikt panu pokazać nie zdoła.

Pod przewodnictwem uprzejmego gospodarza rozpoczęła się wędrowka po placach, ulicach i zaułkach. Podesta zwracał uwagę na każdy kącik, nieledwie każdy kamień godny wspomnienia, czy zastanowienia, objaśniał, pouczał, pieścił wzrokiem cenne pamiątki i zabytki.

Dogana, czyli urząd celny, pałac dei Rettori z kamieniami przyzbami, na których zasiadali senatorowie; barokowa katedra z zakrystią mieszczącą w sobie bogaty skarbiec a w nim drogocenne relikwiarze sadzone klejnotami i wykwintne okazy złotniczego kunsztu z XIII wieku; barokowy również kościół św. Błażeja stoją tuż obok siebie na placu nie większym, raczej mniejszym od Małego Rynku w Krakowie. Dwa pierwsze gmachy nacechowane są szlachetnością architektonicznych pomysłów, prostotą i wytwornym rysunkiem arkad, okien i kapiteli. Znać tu bezpośredni wpływ weneckich artystów, wzywanych przez Consiglio maggiore dla ozdobienia i zabudowania małej, lecz zasobnej Rzeczypospolitej, broniącej zapalczywie swej niezawisłości, ale

biorącej w wewnętrznym stroju jak zewnętrznym kształcie miasto św. Marka za wzór i zwierciadło doskonałości.

Ci Pregati z wybranym pośród siebie Rettore na czele, umieli łączyć kupiecką zapobiegliwość z wielkopańską okazałością, z bogacali się i równocześnie fundowali kościoły, gromadzili skarby i hojną ręką nimi szafowali, wystrzegali się zarówno lekkomyślnej rozrzutności jak szpetnego skner-



Z ulic raguzańskich.

stwa. Tym dziedzicznym zaletom szlacheckich rodów wpisanych w *Spechio* zawdzięczała Ragusa rozkwit i 1000-letnie istnienie wśród wrogich warunków, mnogich i rozlicznych trudności. Gmachy publiczne i domy prywatne noszą oligarchiczne jakieś piętno, niezatarte nawet na rozwalinach i syjących się gruzach. Cóż pospolitszego w pomyśle, brzydszego w wykonaniu nad domy, gdzie mieszczą się zwykle urzędy płatnicze, gdzie państwo przedstawia *un monsieur piteux et malgracieux assis derriere un guichet* — według





Porta Ploce.

określenia Anatola France. Trudno sobie odtworzyć dziś postaci poborców z czasów Rzeczypospolitej ragusańskiej. Trudno wiedzieć, czy z wdziękiem i godnością spełniali swój niemiły i po wsze czasy znienawidzony zawód, ale jeżeli teoria *du milieu* jest prawdziwą, musieli różnić się od tych zielonych stróżów publicznego dobra, uzbrojonych w różny i przepisy, którzy pilnie śledzą przyjezdnych na naszych mytach, stacyach i rogatkach.

Ragusańska Dogana jest klejnotem, istnem cackiem budowniczej sztuki.

Tylnym frontem dotyka portu — strzeżonego niegdys przez cztery dotąd zachowane baszty pod wezwaniem czterech Ewangelistów — zamykanego ongi co wieczora na żelazne łańcuchy, a że ruch handlowy omija teraz to wybrzeże, więc tam gdzie dawniej mieściły się postawy sukna, sztuki jedwabiu i altembasu, teraz powstały stragany dla sklepikarzy, zaopatrujących miasto w ryby i jarzyny.

»Porta Ploce«, na przeciwległym krańcu »Porta Pille«, klasztory: Franciszkański i Dominikański, z pięknymi wirydarzami, wśród krużganków o misternych łukach, kolumniach, dzierzganych jak koronka trójlistnych okienkach, dopełniają artystycznej całości w południowej dzielnicy miasta. Po za obrębem murów ciągnie się obszerny, muzułmański cmentarz, na którym od lat wielu nie chowano już nikogo; ongi służył on za miejsce wiecznego spoczynku załodze tureckiej na żoździe słynnego *Consiglio dei dieci*, w celu ochrony miasta przed zuchwałym zniecka napadem weneckich galer.

Pojezuicki Gesu, największy z ragusańskich kościołów, świeci dotąd złoceniami i świadczy o wpływach i zamożności Towarzystwa Jezusowego na wysuniętych kresach dalmatyńskich XVII wieku.

Ragusa przestała być przed laty niewielu fortecą w dzisiejszem tego słowa znaczeniu; istnieją jednak dotąd forty: Imperial, niegdyś za czasów królestwa Illiryi »fort Napoléon«,



Ragusa. Widok na mury obronne.



i San Lorenzo, zwany małym Gibraltarem dalmatyńskim i panujący rzeczywiście swem położeniem nad Raguzą z jednej a Gravosą z drugiej strony.

U jego stóp zieleni się piękny ogród botaniczny, a wokoło rozsiadły się domki i pałacyki mieszkańców nowoprzybyłych, przekładających nowoczesne mieszkania z widokiem otwartym na morze i okolice, nad ciemne i ciasne



Ragusa widok ogólny.

domy na Piazza Verde czy Calla Larga, które to nazwy bynajmniej nie odpowiadają rzeczywistości, zwłaszcza dzisiejszej. Ci obywatele ragusańscy *extra muros* nie odgradzają się, od teraźniejszości, wspomnieniami świetnej, choć miejscowej tylko wielkości jak patrycyuszowskie gasnące rody; owszem, biorą gorączkowy udział w walkach narodowościowych. Zapalczywie a najczęściej z zacięciem bronią spraw, przywilejów, stanu posiadania narodowego, zwalczają uroszczenia przeciwników, szukają broni

w starych archiwach lub najnowszych statystycznych wykazach. Przejedny, zanim pojmie znaczenie tych sporów i rozejrzy się w przebiegu starć piśmiennych oraz ustnych polemik, wzrusza ramionami i nie rozumie, dlaczego w tym pięknym kraju ludzie zgodnie nie żyją; nie baczy jednak na to, że w ojczyźnie jego własnej nie brak niesnasek i waśni, gdyż »bojowaniem jest życie człowieka na ziemi« a wieczne odpoczywanie jest obiecaną zapłatą wiekuiłą; leniwe zaś wypoczywanie prowadzi po przez martwość do śmierci.

Jeśli Raguza ma żyć i odrodzić się, musi wywalczyć sobie nową podstawę bytu; kto zaś chce zażyć czasowego spoczynku, niech jedzie na wyspę niezmiennego, bo zastygłego spokoju — na wyspę Lacroma.

---



## LACROMA I OMBLA.

**W** południowych krajach jest jedna godzina, w której dzień żarem zionie, a cień mały i pokorny przypada do nóg, jak pies na głos ludzki posłuszny; kiedy człowiek niemieje, a zwierzęta milkną; kiedy wszystko, co żyje, szuka ochłody i chroni się w gąszczu a bodaj pod mury przed skwarem i rażącymi promieniami słonecznymi; kiedy ziemia zda się dyszeć, a może usypiać, i tylko kwiaty i zioła tchną spotęgowanym zapachem. Jest to godzina siesty. — Kto w tę porę siędzie do małej dwuwiosłowej łodzi, aby przeprowić się na Lacromę, może być pewien, że ni w małej, chwilowo obumarłej przystani, ni na niebieskich falach zatoki, ni w ciemnym lasku na wyspie, do której zmierza, nikt mu nie zmaci marzeń, ani rozmyślań nie przerwie. Do czarów przyrody, do licznych wrażeń, które jak stada mew zapadają na tę odludną wysepkę, przyczynia jej wdzięku urok samotności. Przewoźnik przestrzega przed kąpielą, nawet przed zamoczeniem rąk w słonej wodzie, ze względu na rekiny, ciągnące podobno gromadnie za statkami »Lloydu« z Indyj i morza Czerwonego; lecz te przestrogi brzmią, jak strachy na Lachy — w sielankowym krajobrazie niemasz zda się miejsca na drapieźców czworonożnych, czy też upletwionych. Miarowy plusk wiosła, lekkie huśtanie na drzemiących odmętach, przesuujące się przed oczyma, jak w kalejdoskopie, skaliste urwiska, białe wille, gaiki palmowe i cyprysowe aleje, a dalej niebotyczne granitowe złomy i źleby dalmatyńskich wirchów i grzebieni — składają się na senną, dziwnie ujmującą całość, wywołują nastrój osobliwy, budzą oczekiwania czegoś niezwykłego.

»Z taką więc ciszą i z taką powagą

»Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory«,

z jaką łądujemy w piniowym lasku w Lacroma. Rzeczywistość — rzecz niebywała — nie gotuje przybyszowi w tym zakątku zawodu, ani rozczarowania.

Od strony miasta i portu przedstawia się wyspa jako lesisty pagórek, uwieńczony fortem; natomiast od wschodu ciągnie się ogród edeńskich łącie rozkoszy, w którym człowiek czuje się jeszcze królem stworzenia. Palmy, płatany, pinie, cyprysy, pomarańczowe drzewa okryte kwieciami i dojrzewającym złotym owocem, tudzież inne rozliczne, a dla prostaka bezimienne, bo o nieznanym nazwie »drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce«, objęły się wespół uściskiem przerastających się pni i konarów i jak w Mickiewiczowskim lesie stanęły do tańca.

Z tej gęstwy prowadzą żywopłoty i morskim piaskiem wysypane ścieżki do zamku-klasztoru, cichego, poważnego i wspaniałego równie jak oprawa roślinna, w którą ów architektoniczny klejnot ujęto. Wśród wzorzystych dywanów kwiatowych, bukszpanowych rabatów i strzyżonych szpalców, porzucone łopaty, podlewaczki, donice świadczą o świeżo przerwanej ogrodniczej pracy; ale z ostrołukowych okien zamkowych nie wychyla się żadna głowa, z po za ciężkich dębowych drzwi nie dolatuje żaden głos, ni odgłos. Zamek i ogród śpią snem zaczarowanej królowny. W altanie bluszczem obrosłej, bieleje w słońcu marmurowe popiersie i uwydatnia się na ciemno-zielonym tle marzycielskie oblicze cesarskiego brata, który w krainie Azteków sięgnął po koronę, a znalazł śmierć. Dalej urywają się dróżki, dziczej przyroda; po wrzosach i omszałych kamieniach dochodzi się nad brzeg morski, gdzie fale biją o krawędzie oślizgłych głazów i gdzie poczyna się szafirowa, bezkresna, słonecznym blaskiem rozjaśniona roztocz Adryatyku.

Co krok, wśród małego obszaru, nowe otwierają się widoki na skały, na źródła i coraz to odmienne drzew gatunki, na niedobitki palmowych zagajen — przewiezionych za skinieniem monarszem do Achilleionu na Korfu — na głogi



i rosące rozłożyscie a samotnie kasztany, na zwarte sosny piniowe, rozsiewające woń żywiczną, oraz na jednostajne, jesienną pogodą wyglądzone przestworze.

Od tej kwietnej, pachnącej, rozbującej flory dziwnie odbija brak fauny — zaledwie gdzieniegdzie zabrzęczy owad albo wśród gałęzi mignie kita wiewiórki. W tem otoczeniu zaś mogłyby się godnie mieścić nietylko wszystkie znane rzeczywiste stworzenia, ale nawet owe twory wyobraźni, o których prawią baśnie, a które średniowieczni artyści, a z nowoczesnych Böcklin, stwarzali pędzlem i dłutem. Wśród południowej ciszy i w południowym krajobrazie słynne »Milczenie w lesie« nie stanowiłoby rozdzwiku w harmonii wyjątkowego nastroju. Pomysłowość ludzka może jeźdźca z rumakiem organicznie skojarzyć, przypawić człowiekowi koźle uda i uszy, albo konia obdarzyć rogiem wystającym z czoła — ale nie zdoła wytworzyć fantastycznej roślinności; najśmielsze usiłowania w tym względzie nie dotrzymują kroku rzeczywistości. Stąd też na obrazach dziwotwory zarysowują się na tle realistycznie pojętych i odtworzonych krajobrazów.

Na Lacromie czar przyrody działa zewsząd; od morza i ziemi tak podniecająco, ba! nawet odurzająco, że najdziwniejszym marzeniom opędzić się trudno. Szare mury zamkowe nurzające się, to znów wyłaniające się z zieleni, odwodzą rozigrane myśli w stronę dziejowej przeszłości... nie jest i ona bez osobliwej a, jak tam wszystko, smętnej poezyi. Dziwnym zbiegiem okoliczności dwie z najpiękniejszych miejscowości w Austrii łączą się z legendą, czy historycznymi podaniami o Ryszardzie Lwiem Sercu. W Dürstein więził krzyżowca cheiwy okupu Babenberczyk; na rafach podwodnych w pobliżu Lacromy rozbił się statek wiozący bohaterskiego króla do Ziemi św. Dziękując Bogu za ocalenie ślubował władca Anglii i Normandyi założenie w dzikim podówczas ustroniu Benedyktyńskiego opactwa. Odtąd poczyna się cicha, bezimienna a nieustanna praca

mnichów, przerwana po wiekach wyzuciem prawych właścicieli z ich dziedzictwa za rewolucyjnych czasów. Poklasktorne dobra, jak uczy doświadczenie, rzadko płużą nowym nabywcom. Lacroma przechodziła nie z pokolenia w pokolenie spadkiem, ale z rąk do rąk drogą kupna. Ostatnimi jej właścicielami byli arcyks. Ferdynand Maksymilian, późniejszy cesarz meksykański, następnie arcyks. Rudolf, ostatnią



Krużganek klasztorny w Lacromie.

mieszkanką komnat zamkowych, przerobionych z cel zakonnych, którym zachowano jednak pierwotną prostotę i skromny niemal ascetyczny wygląd, była już po śmierci jedynaka cesarzowa Elżbieta.

Kir wspomnień posępnych unosi się mimo błękitu rzadko zachmurzonego nieba, nad wielkopańską siedzibą; rdza krwawych pamiątek przylega do murów, w które na rozkaz Franciszka Józefa sprowadzili się niedawno OO. Domi-



nikanie śpiewający *De Profundis* i odprawiający egzekwie w żałobne, zbyt liczne rocznice.

Łatwo Lacromę zwiedzić, lecz opuścić ją trudniej, najtrudniej pożegnać się z nią na zawsze. Prócz Alcazaru w Sewilli, pałacu i ogrodów maurytańskich władców nad Guadalquivirem, nie znam chyba miejsca, gdzieby tyle powabu wykwiatało z ziemi tak bujnie, tyle ponęt rodziło się równocześnie, tyle podnieć wiązało się wokół pamięci, tyle uroku pięło się jak winograd czy powój około doznanych wrażeń. Bywają ludzie — wybrańcy losu — wzbudzający podziw i przyjaźń za pierwszym spotkaniem, bywają i zakątki uposażone dziwną, niewytłómaczoną siłą przyciągania; magnes sympatii działa na Lacromie silniej aniżeli gdziekolwiek indziej.

Oligarchowie raguzkańscy mieszkali ongi, za dawnych dobrych czasów w pałacach na Stradone zimą, latem zaś przebywali w podmiejskich, rozsianych w malowniczej okolicy. Najchętniej wnosili owe letnie rezydencje nad rzeką Ombla.

Ombla wpada pod Gravosą do morza a wypływa ze skały zaledwie o 4 kilometry powyżej. Geolodzy i geografowie twierdzą, że ów strumień, mający blisko półtora metra szerokości w tak krótkim biegu, nie wytryska z samoistnego źródła, ale jest dalszym ciągiem Trebiasica, niknącego w pieczarach na hercegowińskiej ziemi. Dla podróżnika, żadnego jedynie świeżych a estetycznych wrażeń, jest geneza rzeki i doliny rzeczą obojętną. Zachwyt, który ogarnia go przy jej ujściu, nie opuszcza go aż do źródła; to, co widzi na ziemi, odwraca jego uwagę od tego, co się dzieje pod ziemią. Pałace, pałacyki, kościoły, klasztory, wioski rybackie, ciągną się po obu brzegach nieprzerwanym łańcuchem. Zieleni ogrodów i ogrodzeń, zbiega aż do stóp góry, odbija się w zwierciadle wód, odcina ostrym zarysem od zwartej, jednostajnej, niemal prostopadłej zboczy spiętrzonych granitów, połączonych w zawrotnej wysokości — niby śmiałym łukiem — wąskim skrawkiem niebieskiego stropu.

Roslinność nie może rozprzestrzeniać się wszędy, więc strzela w górę; każda pięćdziesiątka ziemi okrywa się kwieciami i liśćmi, róże pnące i glicynie czepiają się każdego filara i każdego pnia, ich jaskrawe grona i kiście barwią się w słońcu i wilgoć rzeczną przerabiają w zapachy. W zwartych rzędach rosną cyprysy. »Zachwalony cyprys« jest jedynym z Bożych stworzeń, który ma prawo czuć żal do najsprawiedliwszego z wielkich poetów — do Mickiewicza. Tadeusz Soplica skrzywdził go niewątpliwie, przypisując mu lokajską i do tego jeszcze niemiecką postawę, jemu, który jest synem górskich stron, słonecznych Włoch, albo w błękitach skąpanej Hellady. Jest on wprawdzie »długi, cienki«, ale raczej wysmukły, niż »chudy«, i jeżeli nie przedstawia małowniczo rozpaczliwej, jak »nasza poczciwa brzezina« nakształt wiejskiej płaczki, to jednak może być symbolem posagowej boleści — boleści Nioby.

W nadadryatyckich krajobrazach wypełnia on miejsce, które zajmują u nas topole; ale między drzewami, jak między ludźmi północy i południa zachodzi znaczna różnica: topole stoją na straży polskich dróg, jak szeregi rosnących grenadyerów; cyprysy odbywają wartę na urwiskach ponad doliną Omblu, jak zastęp strzelców alpejskich. Jak zaś u nas obywatelskie dwory szarzejają wśród topól, tak wśród cyprysów bieleją wille patrycyuszowskie.

Łódź przybija do kamiennych schodów siedziby hr. Caboga. Przybyszowi, nawykłemu do sarmackich przestrzeni, dziwną się wydaje ciasnota prawdziwie jednak pańskiej posiadłości. Na tarasie między mieszkalnym domem a dawną rezydencją — opustoszałą od roku 1667, w którym *il gran terremoto* zamienił całe dzielnice w kupę gruzów, zachwiały podwalinami najpiękniejszych gmachów, a całą Rzeczpospolitą do upadku pochylił — przyjmuje nas pod nieobecność pani domu, właściciel i gości nas ze słowiańską serdecznością a włoską wykwintną prostotą *senza complimenti*.



Rozmowa nawiązuje się łatwo, a toczy swobodnie o wspólnych znajomych; o młodej Polce, szukającej przeszłych zim w Raguzie zdrowia i słońca, a zostawiającej za sobą wspomnienie cnót i istic polskiego, kobiecego uroku; o rodzinnych tradycjach, które znowu łączą się w osobie wspólnej pra-ciotki, niezapomnianej mimo lat dziesiątków we Lwowie, na Podlasiu, ani w Dalmacyi. W przestronnej sali jadalnej, której błyszczące srebra i sztukaterie z jasnego drzewa nadają wygląd angielski na pułapie herby rodzin spokrewnionych z domem Cabogów tworzą rodzaj heraldycznego fryzu na ścianach, istnego Specchio\*) raguziańskiego; widnieje tam i Pilawa, w rodzinnem zaś archiwum przechowują się podobno stopy listów pani Wandy z Potockich Cabogowej, pisanych do męża. Nasz gospodarz, spadkobierca starożytnego rodu i nazwiska, oraz uszczupłego majątku, wzięciem i obejściem przypomina polskiego szlachcica. Otyły i barczysty, krwisty i widocznie krewki, o twarzy rumianej, »jak zdrowe oblicze gospodarza« dziedzica soplicowskich włości, skarży się na ciężkie czasy, częstuje doskonałemi cygarami przy poobiedniej kawie, podanej pod rozłożystym platanem, opowiada z kwaśnym humorem o przeprowadkach z władzami skarbowemi i wybucha śmiechem na wspomnienie psot, które poborcom płała przy każdej sposobności. Nowo założona przez niego cegielnia jest jabłkiem niezgody, czyli też kamieniem obrazu między nim a c. k. fiskusem.

»Pewnie nie znacie tej bajeczki — znamy,  
Więc słuchajcie«...

Poczyna się litania żalów na administracyę, na uposłedzenie Dalmacyi, na brak środków komunikacyjnych, na obojętność, na nieznamość wiedeńską miejscowych potrzeb

---

\*) Zwierciadło czyli księga szlachty raguziańskiej zawierająca spis nazwisk i porządek siedzeń, oraz głosowania na uroczystych zebraniach »Wielkiej Rady«, Consiglio Maggiore. (Przyp. Autora).

i stosunków, na przewagę Węgier, panslawistyczne niebezpieczeństwo i t. d. Po litanii żałobnej odmawia się chórem coś w rodzaju antyfony, a potem jeszcze siedm psalmów pokutnych, zastosowanych do okoliczności. Nastrój staje się tak posępny, że omal nie rozdieramy szat na sobie i popiołu z popielniczek nie sypiemy na głowy. Owa rozmowa »przenosi duszę utęsknioną« w ojczyście strony do tego stopnia, że mimo eukaliptusów, pinii i pomarańczowych drzew, rosnących nie w donicach, ale w ziemi, miewam chwilami złudzenie, że nie nad Omblą, ale nad rzeką, w której się pływać uczyłem, przyszło zawiesić mi na wierzbach flety i cymbały i biadać nad niedolą dnia dzisiejszego. Podobne skargi są ogólno-austryackiej.... kto wie może nawet powszechno-ludzkiej natury, ale fakturą, bezładnym nieco i zwłaszcza bezsilnym sposobem wygłaszania tych utyskiwań przypominają galicyjski rodzaj, który, gdyby go w wierszowaną formę odziano, byłby mieszańcem trenu i sielanki. Jak tamte są bezowocne, bo bezprogramowe. Wykrzyk hr. Cabogi: »Przyjdzie mnie chyba powrócić do rzemiosła moich przodków, jać się korsarstwa!« — jest najostrzejszą i ostateczną nuta melodyi, śpiewanej od początku do końca, w tonie mol.

Potem już tylko milczące rozpamiętywanie staje się naszym udziałem, aż do chwili, w której pan domu wstaje i przerywa głuchą ciszę: »Muszę też panom chlubę moją pokazać«. Idziemy za nim gęsiego cienistą ścieżką, a rodzinne wspomnienia otoczyły mnie tak ciasnym a żywym kołem, że nie przypuszczam innego celu wędrówki, jak cugową i źrebięcą stajnię. Trzeba znów będzie — myślę — oglądać zgłodniałe i niewyczesane roczniaki, podziwiać dwulatki o łbach ogromnych i cienkich nogach i rokować im świetną wyścigową przyszłość, a dychawiczne i spracowane szkapy wychwalać nad Bucefała, Babieczę Cyda Campeadora i klacz Proroka. Nie obejdzie się i bez zawiłej genealogii. Ale wszakże jesteśmy w Dalmacyi a nie na Rusi



lub na Mazurach — żywych koni tu nie więcej, jak w Wenecyi.

Uprzejmy gospodarz popisuje się też wodnym rumakiem: dużą łodzią żaglową sprowadzoną z Anglii, przeznaczoną na regaty w Pola, a którą właściciel w nieprawdopodobnie krótkim czasie zapłynął do Tryestu. — Łódź i on zawinęli do portu w wyśmienitym stanie, ale jego żona strzęsła się jak w bryczce po karpackich wertepach i lekkim niedomaganiem przypląciła śmiałą a zbyt uciążliwą podróż. Białe, puszyste baranki na nieboskłonie poczynają czerwienieć w wieczornej zorzy; czas więc porzucić miłe towarzystwo i gościnne progi, jeżeli przed zmierzchem, zapadającym szybciej niż u nas, mamy dotrzeć do źródła Ombli.

I raz jeszcze Böcklina obrazy przywodzi na pamięć otaczająca nas przyroda: skaliste turnie, strzeliste cyprysy, tu i owdzie marmurowa loggia na urwisku nasuwają przypuszczenie, że tutaj chyba szukał szwajcarski malarz wzorów i natchnień do słynnej swej, fotografią i sztychem tak ogólnie rozpowszechnionej »Wyspy umarłych«. Powietrze tak jest przezroczyste, że nawet o tej przełomowej porze, w której dogasa jeszcze światło dzienne, a już migocą pierwsze gwiazdy, widać o całe mile drobne szczegóły krajobrazu aż hen do szczytów, gdzie na ściemniałym błękitcie rysują się poszczerbione mury zbójckiego grodu Zariny na hercegowińskiej ziemi. Ostatecznym celem wycieczki są zabudowania folwarczne u stóp góry a zarazem u wypływu rzeki, obracającej palczaste sprychy młynskiego koła, zanim rozpocznie spokojny bieg w głębokim korycie. Gdakanie kur, naszczekiwanie brytana na łańcuchu, ludzkie nawoływania i krzyki, ubielone postacie młynarczyków, dzwigających wory z mąką lub kosze z otrębami składają się na prostą, swojską, gospodarską całość i stanowią miłe przeciwstawienie do fantastycznej grozy, sennego uroku i marzycielskiego nastroju widziadłowych widoków od ujścia do źródła Ombli.

## VII.

### SPALATO.

O czwartej zrana zawija duży, wygodny i szybki statek »Panonia« po całonocnej jeździe z Gravosy do przystani w Spalato. Lądowanie odbywa się przy okopconych latarkach, prawie po ciemku; nawprost grobli portowej jarzy się jeszcze światłem gospoda, z której dolatują dźwięki Intermezza Mascagniego, wygrywane na rozstrojonych i jakby ochrypłych instrumentach kawiarnianej orkiestry. Kilku wyrostków sprzecza się o prawo zaniesienia tłumoków do miasta; wreszcie jeden z nich zarzuca je na plecy, rusza truchtem, żegnany złorzeczeniami towarzyszy i prowadzi podróżnego zaułkami do zajazdu, a po kamiennych schodach bez poręczy wiedzie go do izby, przypominającej raczej cubiculum starożytnie, niż pokój hotelowy. Nie darmo zajechał on do Dyo-klecyanowego miasta!

Mieszkańcy miast czy okolic, zawierających osobliwości czy pamiątki, w które uposażyła je przeszłość lub przyroda, dzielą się zazwyczaj na trzy grona, zapatrujące się odmiennie na te wabiki cudzoziemców: jedni o nich mało, a właściwie nic nie wiedzą; drudzy gmachom i rozwalinom chęcieliby sprawić puzdra, a nawet uszyć pokrowce, by je od zniszczenia uchronić; ostatni odpowiadają na pytania i okrzyki podziwu, odnoszące się do owych pomników, z odcieniem źle ukrywanej niechęci, mniej więcej jak kobieta »pod lat niewieścich schodząca południe«, przyjmuje powtarzające się do znużenia, raczej do zniecierpliwienia, wyrazy hołdu dla jej urody, wdzięku i uroku... z lat dziewiętych. Chcesz oglądać resztki akweduktu, oni prowadzą cię do świeżo zbudowanych kanałów; ciebie zajmują szczątki tysiącletniego bruku, oni zwracają twoją uwagę na dymiące jeszcze nieledwie asfaltowe chodniki; unosisz się na widok cechowych



domów, oni wynoszą pod niebiosa na sposób amerykański wzniesione jatki miejskie; jesteś ciekaw starych kronik, oni służą ci najnowszym spisem ludności i drukowanym przewodnikiem po dzielnicach i budynkach, na których tynk jeszcze nie osechł.

W Spalato ów rodzaj modernistów nie istnieje, dlatego zapewne, że ludzie dotąd przebywają w zabytkach starożytności, że nie są one jądrem tylko, ale i łupiną, nie wnętrzem jedynie, ale i powłoką: — nie pałac Dyoklecjana mieści się w Spalato, lecz przeciwnie, miasto dziś dopiero, w drugim wieków dziesiątku, poczyna wyrastać poza obręb murów pałacowych.

Nie masz grodu na kuli ziemskiej — z wyjątkiem może Awinionu — w którymby jeden gmach tak poczyste i poważne zajmował miejsce, wyłącznie przykuwał uwagę i rzucał cień na wszystko, co poza nim stoi. Zwaliska nerońskiej *domus aurea* świadczą po dziś dzień o nieokiełznanej, z szaleństwem graniczącej fantazyi, o imperatorskich zachciankach pławiących się we krwi, podpalających stolicę świata, to znów szukających uwiecznienia w wiekopomnych, jeżeli nie wiecznotrwałych budowlach; ale Rzym, *caput mundi*, zdobny jak jego dawni a prawni władcy w papieską tyarę, w potrójne znamię najwyższego dostojeństwa: w starożytną *corona muralis*, w światłokrąg chrześcijaństwa i w ten wieniec kwiatów i liści, którym przystrajali tak chętnie skronie ludzie z czasów Odrodzenia — jest zbyt wielki, czci i uwielbienia godny, zbyt w jedności swej różnolity, by jedno wspomnienie zdołało zagłuszyć wszystkie inne, »bo choć róże rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniły nam piękne te gruzy«, jak pisze Słowacki do Krasińskiego, poświęcają mu »Balladynę«, to jednak z Pałatynu leci myśl i wzrok biegnie ku innym jeszcze murom, w których także *mens agitat molem*. Nawet kopuła Michała Anioła na barkach dzieła Bramanta wyższa ponad wszystko i rosnąca niejako — wbrew prawom perspektywy — w miarę oddalania się od wiecznego miasta, symbolicznie tylko obej-

muje Rzym, jak ogarnia świat i duchowo jedynie panuje *urbi et orbi*. — Przytem jej ogrom zda się lekkim, a właściwie nieważkim; wspaniała myśl, w imię której budowę jej podjęto i doprowadzono szczęśliwie do końca, dziś równie żywa jak przed 400 laty, rozpręża się i dźwiga ciężar ciosowego kamienia od latarni do podwalin, niby najmocniejszy filar. Tutaj na głazach Dyoklecyanowych ciąży cały świat umarłych pojęć, a poglądy, których życie odbiegło, ciążyą więcej od żywej prawdy, jak zwisa bardziej trup niżli żywe ciało.

Oczom wierzyć się nie chce, chodząc po placach, ulicach i zaułkach w Spalato, że mury miejskie, to dawne ściany pałacu, że te ulice były niegdyś korytarzami tylko, zaułki domowymi zakątkami, a rynek główny służył za peristylum, za podwórze i to podwórze mniejsze, bo z *atrium* i otaczających je komnat cesarskich nie się nie zostało; nawet nazwę: Spalato wzięto żywcem z *Salonae Palatium*,

które to miano nosiła monarsza siedziba. Z łaźni nie zostało się nic również prócz ułamków, ale Termy Dyoklecyana w Rzymie pozwalają się domyślać, w jakich rozmiarach i z jakim przepychem je stawiać musiano. Ośmioboczną świątynię, czy kaplicę domową poświęconą Jowiszowi i dotąd jeszcze obwiedzioną zachowanym w części portykiem, zamieniono z czasem na katedrę. — Zbawczy znak Galilejczyka zatknęto, jak sztandar na zdobytej twierdzy, na do-



Salona — łaźnia rzymska.



mostwie wielkiego przesładowcy chrześcijan, poprzednika i protoplasty Juliana Apostaty, nie co do ciała, ale co do myśli i ducha.

U wejścia do kościoła leży na marmurowem posłaniu sfinks o egipskich rysach twarzy, kobiecych rękach i lwim tułowiu. Ukruszony odłam gzymsu czy kapitelu przetrzącił mu krzyże i groźny a uroczy potwór w kalekę przemienił; nie może się on już na ofiarę rzucić, ale jeszcze, i właśnie tembardziej, umie on spojzeniem mieć a uśmiechem wabić. Nieuleczalne kalectwo pozbawiło go sprężystości, zwinności, lecz nie wydarło mu tajemnicy, w ludzkim obliczu zawartej. Klasyczny geniusz, niedościgniony w delikatnej a misternej sztuce allegoryi, poetycznych albo posągowych pomysłach, których pełnego zrozumienia domysłami dopełniać nie należy, mężczyznę z koniem a niewiastę z lwicą zespolił w żywą i żyjącą całość na znak, że kiedy namiętność męzki rozum i kobiece uczucie odda w usługi poślednich, zwierzęcych chuci, syn Adama wszystko zmiażdżyć i potratować, córka Ewy wszystko rozszarpać i zakrwawić zdolni. W mitologicznym świecie istniały wprawdzie jeszcze inne pół ludzkie postacie, wrastały w drzewa i z nich wyrastały Hamadryady; na morskich falach igrały i rozpływały się kobiety »o pięknych kształtach kończące się rybą« — Nereidy; po zaroślach swawoliła i wymachiwała pocieszne koziołki, kozionoga świta wielkiego »Pana« — poczet faunów i satyrów; ale te bóstwa pomniejsze i podrzędne nie miały znaczenia ani powagi, trzymały się ziemi, nie sięgały wyżyn olimpijskich, do których napróżno szturmowały Centaury, nie zadawały ludziom, ba! nawet bohaterom łamigłówek, których rozwiązanie od połamania wszystkich kości jedynie uchronić mogło. Pogańskie wierzenia, ubóstwiające człowieka, wytworzyły — rzecz dziwna — typ człowieka zwierzęcia, kiedy przeciwnie chrześcijańska sztuka, oparta na wierze, czci i miłości Boga-Człowieka odtworzyła antropomorficznie aniołów przypinając ludzkim postaciom niebiańskie skrzydła. Wyobrażenia helleńska

uskrzydliła tylko wierzchowca natchnienia — Pegaza oraz... kapelusze i boskie łydki Merkurego; ludzi zaopatrzyła w kopyta Centaurów i szpony Sfinksów, schodząc się obrazowo tu jak i gdzieindziej z Objawieniem, zapisującym dzieje owego króla babilońskiego, o którym księga Daniela Roz. IV w. 30 poucza, że za karę swej wyniosłości i pychy przez lat siedem »trawę jadł jako wół a pażnokcie jego jako ptaków«.

Katedra ośmioboczna na zewnątrz, jest na wewnątrz kolista; na ośmiu potężnych słupach z czerwonego granitu wznosi się ośm kolumn z zielonawego marmuru, a jeszcze wyżej fryz przedstawiający w płaskorzeźbie łowy Dyany. — Ołtarze, a zwłaszcza kazalnica, wytwornej snycerskiej roboty, są również godne widzenia, choć przyjrzeć im się nie łatwo, bo w kościele panuje nieledwie zmrok, którego rozwidnić nie zdoła skąpe światło padające z okienek pod sklepieniem. Opodal stoi baptisterium

przerobione również z pogańskiej świątyni, poświęconej Eskulapowi. Najcelniejszą jego ozdobą są wspaniałe rzeźbione drzwi; z wnętrza zachowała się dotąd cella.

Szeroka ulica prowadzi do »Porta Aurea«, dziś jeszcze okazałej, choć znacznie w ziemię zapadłej i ogołoconej z posągów, które musiały się mieścić w umyślnie na ten cel przeznaczonych zagłębieniach, a ztamtąd zabrane, zdobyły zapewne później wenecki jaki pałac lub nadpadański zamek.



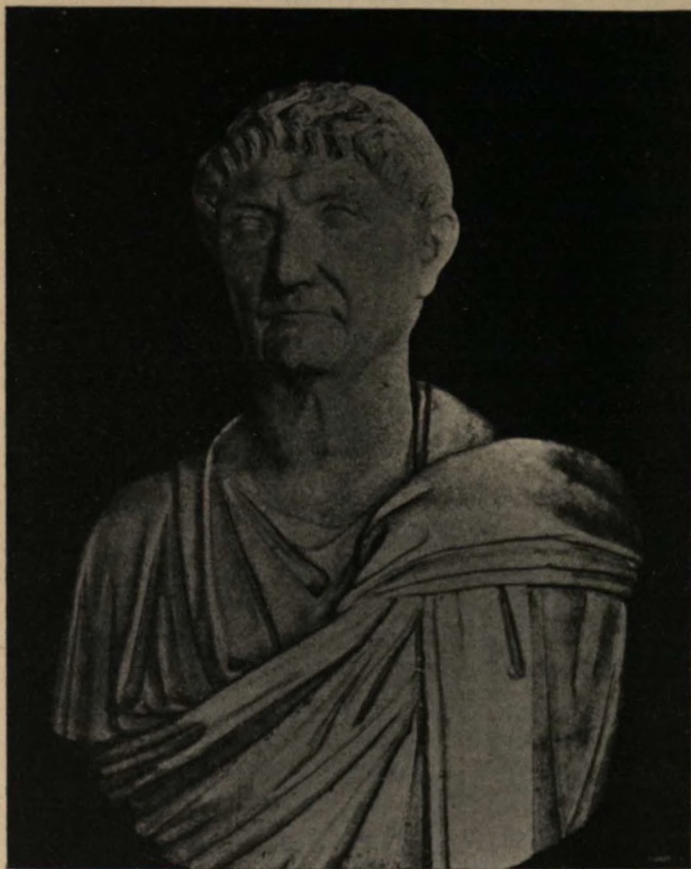
Porta Aurea w pałacu Dyoklecjana.



O wschodnią ścianę pałacową wsparto na prędcie skłcone szopy, gdzie umieszczono wykopaliska ze Spalato i Salony. Charakter ich tymczasowy zapewnił im zwykłą w takich razach długowieczność. Z wyjątkiem uprzywilejowanych zbiorów uprzywilejowanych miast, sal i krużganków watykańskich i kapitoliniskich, antyków florenckich, neapolitańskich i innych — wyliczenie ich niewiele zabrałoby miejsca i czasu — w których ustawiono cały lud bogów i bogom podobnych śmiertelników, wykutych w marmurze, lub ulanych w spiżu, przedstawiają się najczęściej muzea starożytności, jakby kliniki chirurgiczne. Odcięte od tułowia ręce, nogi, uda, ramiona, ułożone starannie; twarze oszpecone brakiem uszu, brody, czy nosa; postacie wyciągające przed siebie, lub wznoszące w górę kikuty, zaspokajają może archeologiczną ciekawość, lecz nie zadowolniają estetycznego zmysłu. Nie inaczej ma się rzecz i w Spalato; a że niedobitki starożytnej sztuki znalazły, jak wspomniano, schronienie nie w pałacu, ale w dorywczo i niedbale stawianych budowlach, ma się wrażenie, że przekroczyło się próg polowego ambulansu, albo, że pogotowie ratunkowe rozszerzyło swój zakres działania na posągi, które pozbywszy się olimpijskiej pogody, wznowiły homeryczne walki, lub wzięły udział w jakim przedwyborczym zgromadzeniu; udało się wprawdzie zatamować krew, ale z obawy jej zakażenia, trzeba było odrąbać, odpiłować, odłupać niejedną część ciała od całości, do której należała organicznie. Wśród zabytków ocalonych od zagłady, szukasz napróżno popiersia Dyoklecjana. W braku oryginału, byłby tam jednak na miejscu bodaj odlew z sali Cezarów na Kapitolu.

Wśród tyłu na zawsze pamiętnych głów samodzierźców światowładnych nie może jednak ujść uwagi twarz owego trackiego żołnierza, który w roku 284 ręką zakrwawioną w mordzie Karyna sięgnął po cesarską purpurę. Na pierwszy rzut oka widać, że ów imparator nie jest Rzymianinem, jak pierwsi następcy Augusta, potomkiem Kwirytów, którzy

w wilczem mleku karmicielki z pól Kampanii wysali nie-  
nasyconą żarłoczność, namiętność i zdolność zdobywania



Popiersie wrzekomo Dyoklecjana. Kapitol.

i zachowania ziemi, miast i krajów aż do ziemi krańców;  
szeroko osadzone oczy świadczą o neitalskiem pochodzeniu.  
Syn niewolnika, nie jest on również patrycyuszem z rodu;



rysunek ust i zarys szczęki są pospolite i plebejskie, nie świadczą o wielkopańskiej wytworności człowieka, który w Spalato pominął Appolina i Minerwę, a świątynią uczcił tylko bożka zdrowia Eskulapa i boga władzy, gromy miotającego Zeusa. Czoło szerokie, poorane zmarszczkami, słowiańskie prawie, od skroni poczynająca się łysina, ściągnięte brwi, stwierdzają zdolność myślenia i organizatorskie zdolności ostatniego Cezara w wielkim stylu pogańskiego imperyum. Nadewszystko zastanawia jednak wyraz zatroskania, znużenia, przedwczesnej starości i sterania, przebijający w obliczu człowieka, który ujął rządy w 39 roku życia, dzierżył je przez lat 21 i złożył je dobrowolnie, a dokonał wiele z tego, co zamierzał i walczył wprawdzie z przeciwnościami, ale nie uległ niepowodzeniom. Los, któremu kazał bić medale z napisem: *fatis victricibus*, nie był mu zdradziecki, a choćby tylko nieprzyjacielski. Skądże więc owe ślady bolesnego wysiłku, beznadziejnego przygnębienia? Dlaczego, obok stałości silnej choć rozczarowanej woli i stanowczości, maluje się w rysach zniechęcenie? Czemu głowa, mogąca zdobić szczyt pomnika nakształt Trojańskiej kolumny, zda się raczej karyatydą? Z jakiej przyczyny na widok Dyoklecyanowego popiersia nasuwa się pamięci wspomnienie Atlasa, ugiętego pod ciężarem świata? Chyba dlatego, że ten świat się walił, że obszerny, jak świat, gmach rzymskiej potęgi, którego Cezar był kamieniem węgielnym, rysował się i w gruzy rozpadał, że inna budowa, oparta na opoce, której »bramy piekielne nie przemogą«, rozsadała, rosnąc, jego mury i posady. Dzieło Romulusa, Brutusa, Scypionów i Juliusza Cezara schodziło z widowni; zachodziło nie w zmrok, jak zachodzi czerwone słońce w orszaku szkarłatnych chmur, ale jak zachodzi, już pod zielonawy świt, księżyc do bladawego obłoczka podobny, kiedy niebawem na niebie nowego dnia dziejowego miało zaświecić Labarium, jak jutrzienka i błysnąć promień Medyolańskiego edyktu.

W tem poczuciu swojej istotnej bezsilności mimo wszechwładzy, w przeczuciu, że wszystkie usiłowania pójdą na marne, w przeświadczeniu, że dzieło, któremu tyle lat i trudu poświęcił, niema warunków życia, ale natomiast zarody przedwczesnego zgonu — tkwi powód zadumy i cierpienia, uwiecznionych w kapitołińskim wizerunku: to, co nazwaćby można Dyoklecyanową tragedją. Im kto na wyższym szczeblu stanął, tem dotkliwiej niemoc odczuwać musi. Na ową duchową rozterkę nie wiele — o ile mi wiadomo — zwracano uwagi. Podziw i współczucie wszystkich tych, którzy po wszystkie czasy szeregowali się pod hasłem: *Ecrasons l'infâme*, zwracały się raczej do bratanka Konstantyna W., do tego, który chciał zwalczać chrześcijaństwo już nie kryjące się pod ziemią w katakumbach, ale na ziemi osiadłe. Bezbożnego marzyciela, pierwszego Paryżanina wznowiającego zapomniane obrzędy bałwochwalstwa, jakaś tajemnicza nie sympaty łączyła i łączy dziś jeszcze z buntowniczym plemieniem stojącym pod chorągwią strąconego anioła światłości, który pierwszy służyć nie chciał. Pewien dyletantyzm za życia, a teatralny koniec i *le mot de la fin* w chwili śmierci, przemawiały do niejednej wyrodniałej wyobraźni upatrującej demoniczne chęci, w zachciankach odstępcy. Czasy i czyny Juliana Apostaty były co najwyżej epilogiem dramatycznego zmagania się chrześcijaństwa z pogaństwem, tragedji rozpoczętej przy złowrogiem oświetleniu »Świeczników Nerona«, której aktem piątym i rozstrzygającym było najsroźsze i najsystematyczniejsze z prześladowań, prześladowanie Dyoklecyanowe. Wówczas ścierały się rzeczywiście potężne siły, duchowe i światowe, budząc trwogę i litość, według Arystotelesowych prawideł; nikt sztucznie dramatycznego węzła nie zawiązał — wywiązał się on sam z ludzkich namiętności i konieczności dziejowej.

Ale tragedia, lubo z życia czerpie wątek i osnowę, życiem samem nie jest; tylko na scenie dzieli się akcja na akty i odsłony, a po akcie piątym spada zasłona i gasną



światła, widze a także aktorzy, rozebrawszy się ze scenicznych strojów i przyborów powracają do domów. W rzeczywistości, gordyjski węzeł, rozcięty ostrą jak klinga logiką zdarzeń, mota się wkrótce w nowe zawikłania, a raczej dola ludzka podobna jest do sieci węzłów i węzełków hamującej wielkie ruchy i drobne poruszenia, krępującej wolę najsilniejszych, niweczającej zamiary najprzezorniejszych.

W nieprzerwanym łańcuchu pokoleń nikomu nie jest pisanem być pierwszym lub ostatnim: wszyscy są tylko ogniwami, łącznikami między przeszłością a przyszłością. Mógł Dyoklecjan myśleć, że z nim i na nim kończy się stary porządek rzeczy, że zamyka on wrota starorzymskiego światowładztwa, mógł boleć nad tem, że po nim już nikt bogom starożytnym świątyń stawiać nie będzie — nie przewidywał, że w swej stolicy, w Nikomedyi nad brzegiem Bosforu i w swej pustelni w Spalato zakładał podwaliny bizantyizmu, i że stał się praojcem nowych pojęć, nowego państwowego ustroju, nowego ustawodawstwa i nowej modły rządu, a nawet nowej sztuki, które wieki znowu przetrwać i nowym blaskiem błyszczeć miały. Jak tylu innych, jak wszyscy nieledwie kierownicy i pasterze ludów nie wiedział, co czynił, kiedy stojąc, jak mniemał, na straży dawnego obyczaju, poczynił zmiany w wiekowych urządzeniach, rozdzielił władzę i zakres działania Augustów, stworzył rzecz nieznaną dotąd — etykietę, monarsze boską niemal cześć kazał oddawać, doglądał i pilnował granic mocarstwa, ale Rzymu unikał, raz tylko i to na krótko w ciągu dwudziestoletniego z górą panowania, tam zawitał, *cum libertatem populi Romani ferre non poterat* — zapisuje Laktancyusz, a temu ludowi sprawił igrzyska skromne i niemal skąpe, zgoła nie odpowiadające tradycyjnej hojności poprzedników, dzielących władzę przynajmniej pozornie z ludem i na które też powszechnie i głośno sarkano. Na jego trackiej czasce wieniec wawrzynu — którym C. J. Caesar łysinę okalał i zakrywał — przybierał już kształty bizantyjskiego diademu,



który znowu z kolei miał pod wpływem spiczastego tatarskiego kapelusza zamienić się w czapkę Monomacha.

Architekturalne zabytki i pomniki, odzwierciedlają najwierniej, bo bezwiednie współczesne sobie znaki czasu i ludzkie dążenia, a świadczą wyraźnie o zarodkach bizantyzmu w Dyoklecyanowej działalności. Na słupach z kamieniołomów w Tragorium lub z egipskiego porfiru, które oglądać można w Spalackiej katedrze, spoczywa już nie architraw, ale łuk się zaokrągla. Ostatni pogański cesarz wznosił ostatnie chramy opiekuńczym swoim i Romy bóstwom... w bizantyńskim\*) stylu!

Wawrzynowej gałązce na głowie pierwszych Cezarów, dyademowi Justyniana i carskiej czapce odpowiada Panteon Agryppy, Aja Sofia konstantynopolitańska i baniaste cerkwie Kremlinu.

W roku 305 Dyoklecyan, zrzekłszy się rządów nad państwem wielkim jak świat, zamieszkał w pałacu obszernym jak miasto; uprawiając jarzyny, patrzył na innych, sprawujących najwyższe urzędy. Ustąpił ze sceny, na której przez dwa z górą dziesiątki lat był protagonistą, i zajął miejsce wśród widzów.

To wyrzeczenie się władzy, więcej niż jej dzierżenie zapewniło mu wybitne miejsce w historii, uwieczniło jego pamięć.

Naturze ludzkiej wszelkie zrzeczenie się i ustąpienie jest tak przeciwne, co więcej wręcz niezrozumiałe, że przypisuje ona wyjątkową wielkość duszy i głębię rozumu tym, którzy dobrowolnie wypuszczają z rąk to, o co ludzie zazwyczaj tak natarczywie się dobijają, tak nielitościwie zabijają. Dyktator Sulla i Karol V stają w szeregu owych postaci wielkich, zawiedzionych życiem i potęgą, przekładających pod koniec życia spokój i skupienie nad nieustanne wytężanie sił, nad rozpraszenie wysiłków w bezowocnych

---

\*) Por. A. Choisy: *L'art de batir chez les Byzantins.*



trudach i walkach bez końca. Najmędrzy z królów, autor księgi Mądrości i Przypowieści również nabrał przeświadczenia o marności nad marnościami wszystkiego co ziemskie, ale za jego pierwotnych i bohaterskich jeszcze czasów nie godziło się pomazańcowi Pańskiemu folgować ludzkiemu znużeniu: z tronu prowadziła podówczas droga tylko przez śmierci wierzeje, nie zaś przez furtkę abdykacyi, która jest pierwszym dekadentyzmu objawem, bo jest wyznaniem, że stan ducha i ciała ustępującego nie zdolne zajmowanemu stanowisku sprostać.

Za dni naszych widzieliśmy ustąpienia, podobne ucieczkom, dowództwo i przodownictwo podjęte i odjęte lekko-myślnie, a przez ogół przyjęte obojętnie. Każdy zaś napotkał i napotyka codziennie osoby życiem zmęczone, choć życia zaledwie zakosztowały, *blasées* — bo nasz język zanadto jest jędrny i żywotny, by znaleźć wyraz, określający to przedwczesne i nieuzasadnione zniechęcenie — duchy żądne spokoju, choć trudu nie zaznały, chcące pograżyć się w zapomnieniu, choć nie mają czego pamiętać, spragnione wody letejskiej, mimo że nektar uciech, którym się niby poiły, był podrobiony, a nigdy nie zasmakowały cierpkiej niekiedy, lecz podniecającej rozkoszy władzy.

Tym niedokrwistym, a może niedowarzoną osobom i osóbkom życzyć można jedynie, aby oddychając nadmorskiem, słońcem powietrzem mogły się w Spalato przejąć atmosferą wielkości, więcej po dziś dzień z murów ustroina, gdzie Dyoklecjan, czekając na pośmiertne ubóstwienie, zażywał dobrze, a przynajmniej pracowicie zasłużonego spoczynku: *quies Augustorum*.

Uwagę, zajęcie, wyobraźnię wędrowca pochłaniają w Spalato tak wyłącznie pamiątki i wspomnienia zamierzonych czasów i umarłych ludzi, porastające nakształt mchów czy porostów, na rozwalinach i rumowiskach, że współczesne usiłowania kupieckie, rozwój nadbrzeżnej żeglugi, budowa kolei, pogłębienie portu i t. d. mogą budzić życie,



ale niezdolne obudzić ciekawości. Dopóki uschłe i powalone drzewo leży na ziemi, jak na marach, zbutwiałe, ale nieuprzągnięte, któż się troszczy o wilki, puszczone od korzenia?

Poprzez Porta Aurea prowadzi powiatowa, czy też krajowa droga do Salony, to znaczy, do wykopalisk, wydobywanych z ziemi i zapomnienia w ostatnich lat dziesiątkach. Tam niegdyś wznosił się warowny obóz legionów, a wokół niego rozkrzewiły miejskie zabudowania. Miasto samo, zburzone w r. 640 po Chr. przez Awarów: praszczury dzisiejszych Węgrów, wiedzeni tym politycznym zmysłem i dalekowidztwem, graniczącem prawie z jasnowidzeniem, które do dziś dnia są Madjarów udziałem, od pierwszego ukazania się na europejskiej widowni dążyli do morza, a pierwotnych mieszkańców Salony wysiekli lub wyparli tak, że niedobitki tylko w popłochu szukały schronienia w opustoszałym już wówczas od wieków pałacu Dyoklecjana.

Miejscowi archeolodzy, którym należy się szczerze uznanie za pilne i umiejętne odszukiwanie i opisy starorzymskich pamiątek, nie oparli się pokusie przechrzczenia nazwy miejscowości. W rozprawach o Salonie zwą ją raz po raz dalmatyńskiem Pompei, to znów porównują chrześcijańskie groby i grobowce z lateraneńskimi zbiorami z pierwszych czasów chrześcijaństwa. Porównania te i przezywania, zamiast objaśnienia, sprawiają zamieszanie i przyczyniają się do wprowadzenia w błąd tych, którzy o Salonie czytali, na oczy jej nie widziawszy. Imiona dają się niemowlętom, zmienia się je w szczególnych okolicznościach, z okazji obłóczyn lub składania ślubów zakonnych, a taka zmiana imienia wyraża symbolicznie zmianę życia: *Gustavus obiit — natus est Conradus*. Lecz pocóż ruinom odmieniać nazwisko, pocóż przeszłości bez przyszłości nadawać pseudonimy, pocóż zastygłe lica rumianą maską osłaniać?

Salone nie można porównywać, ani tem więcej równać z miasteczkiem Wielkiej Grecji u stóp Wezuwiusza. Nie warstwa wulkanicznego popiołu rzuciła na nią całun śmier-



telny, ale dzięki zgraje najeźdźców przez wyłom w murach obronnych wtargnęły na jej rynki i ulice, ogniem i mieczem szerzyły śmierć i postrach, rozsiadły się na dymiących zgłiszczach, pośród kałuż krwi obficie wylanej; krew obeschła wkrótce, ale pogorzeliiska zostały niezmienione i wędrowiec dziś jeszcze błąka się wśród rozwalonych domostw, strzaskanych kolumn, w gruzy obróconych świątyń, wśród szczątków i fragmentów.

Krzewy i kuszcze wyrosły tam, gdzie stały posągi, mchami porosły ołtarze bogów domowych, białe wnętrza grobowców, z których powyrzucano nieboszczyków, zazieleniały bujnem zielskiem, marmury poszarzały od pyłu, a mozaiki, w ziemię wdeptane, straciły żywość barw. O bogactwie mieszkańców świadczyć może chyba mnogość monet znajdujących co kroku, a bezwątpienia autentycznych, już choćby dla niskiej ceny, za którą je nabyć można i która udaremnia wszelkie podrabianie i podrzucanie nowoczesnych kopii. Dawny ślad dawnej rzymskiej drogi dowodzi, że jak wszędzie, tak i w Illiryi stworzyli niezrównani mistrze w kolonizacyjnem dziele sieć bitych dróg i dokonali między wybrzeżem a wnętrzem kraju połączenia, na jakim teraz nawet zbywa dzisiejszej Dalmacyi i dzisiejszej Bośni mimo pary, elektryczności, kapitałów i europejskiej administracyi w obu krajach.

Jeżeli dotąd gościniec nie przekroczył kopców granicznych między austro-węgierską monarchią a zajętymi wojskowo i urzędowo krajami, wije się on na wąskim skrawku ziemi między górami a morzem, ze Spalato prowadzi do Trau. Krajobraz po drodze jest nad wyraz i opis malowniczy, ziemia żyzna, morwy, drzewa figowe i jabłonie uginają się jesienią pod ciężarem owoców. W czasie winobrania cała ludność wiejska wylega na pola, opatrzona w nożyce i koszyki; na rozścielonych płachtach piętrzą się kupki czarniawych lub złotawych, lśniących i soczystych gron, które rozwieszane na sznurach i wysuszone na słońcu sprze-



dawać się będą po sklepach korzennych, jako rodzynki korynckie, albo pod prasą wypuszczą sok; ów zaś popłynię w beczkach do Bordeaux a wróci stamtąd w butelkach z etykietą St. Julien a może nawet Haut Brion. W tym ostatnim wypadku zmiana nazwy jest uzasadniona, bo nadaną bywa na chrzcie z wody. Kiedy zaś spragniony i zła-komiony przejezdny pragnie kupić owoców, dostaje je w po-darunku, i to w takiej ilości, jak gdyby miał poddać się winnej kuracyi, wraz z odpowiedzią, że w tej błogosławionej okolicy niema zwyczaju brania zapłaty za mniej, niż sto funtów.

Starożytne Tragurium a późniejsze Trau, pamięta, jak wszystkie miasta na dalmackiem wybrzeżu, dawne czasy i rozmaitych władców; swój rozkwit zawdzięcza Rzeczy-  
pospolitej św. Marka. Królowa Adryatyku ogołociła Karst z dębów i sosen, wyciosując z nich maszty i bierwiona do budowy okrętów; Morlachów brała na swój żołąd i umiała zamieniać w kadrach żelaznej dyscypliny zawadyackich ju-naków na bitnych żołnierzy, zwinnych rybaków na biegłych żeglarzy. To też posiadanie wschodniego, Wenecyi przeciw-ległego wybrzeża, było dla niej kwestyą życia i śmierci, bo podstawą jej morskiej potęgi. Trau obrali weneccy wielko-rządcy za punkt oparcia, obwarowali je, zanim przeznaczyli na miejsce werbunku i poboru, w połowie XIV w. wzniesli twierdzę dla czuwania nad portem i obrony od strony lądu, czuli się tam u siebie i gospodarowali jak na własnem, nie dzierzawionem do czasu dziedzictwie. O Raguzę kusili się raz po raz napróżno, Spalato mieli za kopalnię fryzów, kolumn, posągów i kapiteli, do Trau zaś przeciwnie zawieźli swoich sztukmistrzów, swoją sztukę, i opuszczając po kilko-wiekowem władaniu to miasto, zostawili pomniki swęj dzia-  
łalności, które chlubnie o nich świadczyć będą, póki tam pozostanie kamień na kamieniu. Oni to postawili katedrę, najcenniejszy może zabytek architektury kościelnej w całym



kraju, wprawiający w podziw i w zdumienie każdego, kto do Trau zawitał a nie spodziewał się tam oglądać arcydzieła.

Nosi ona piętno tych czasów, kiedy przepych i okazałość, szczerze szafowane na chwałę Bożą, rachować mogły na jednomyślny poklask mieszkańców i zgodę władz; kiedy każdy obywatel radośnie przyczyniał się bodaj i cegiełką do budowli, wiekami, ale i na wieki stawianej; kiedy pobożność, a zapewne poniekąd i duma rodowa nakładała na możliwe rodziny obowiązek zdobienia Bożego Domu, a zarazem Panteonu chwał narodowych, fundacyami pomyslanemi podniosłe, czasem i wyniosłe, a wykonanymi po mistrzowsku. Nieraz w takich razach siły mierzone na zamiary zawiodły, ale w Trau dzieło doprowadzono szczęśliwie do końca. Stanął i stoi kościół ogromny i wspaniały, jednolity w planie, a kształtny w proporcjach. Olbrzymie, koliste okno gotyckie, portal suto zdobny snycerską robotą, potrójna nawa, rozgrodzona rzędami słupów, kazalnica wykuta z najpiękniejszego marmuru, gotyckie także i bardzo pięknie rzeźbione stalle składają się na niezwykłą całość. W kaplicy bł. Jana Ursyna, miejscowego biskupa w XI wieku, trudno oderwać oczy i uwagę od postaci dzieciaków-Aniołków, niosących płonące pochodnie.

Obejrząwszy katedrę, warto jeszcze zwiedzić t. zw. Loggię, gdzie dotąd wenecki lew na płaskorzeźbie dzierży w łapie Ewangelię weneckiego patrona i nastrosza pióra swych skrzydeł — oraz przejść morską odnogę po moście, otwierającym się na zawiasach dla przepuszczenia okrętów. Odnoga ta dzieli stały ląd, na którym wznosi się Trau, od wyspy Bua, gdzie wśród zieleni ogrodów i sadów świecą drobnymi okienkami pod zachód słońca dworki mieszczkańskie i rybackie chaty. Gródek, o zaledwie kilkunastotysięcznej ludności, zachował średniowieczny wygląd, a tem samem i nieokreślony wdzięk, jakim tchnie cała zresztą Dalmacya. Przeobrażenia, którym uległy miasta środkowej i północnej Europy, tam nie dotarły; życie nie wygasło, ale oparło się



wszehwładnemu wszędzie indziej postępowi, który, jak Kronos, pożera to, co poprzednio spłodził i żąda od swych czcicieli nieustannych ofiar z zabytków i pamiątek. Po-dróźnikowi gotuje Trau, prócz estetycznych, miłych wrażeń, przyjemność odkrycia, bo mimo, że statki kilka razy na tydzień tam zawijają, niejeden, kto tam był, Trau widział, a co za tem iść musi, polubił, dziwi się, i nie rozumie, że tak urocza, a nie tak znów niedostępna miejscowość jest



Trau. Port.

tak mało znana i ceniona, siebie samego zaś odtąd uważa za odkrywcę i sam coś nowego poznawszy, myśli, że ludzkości stworzył nowe widnokregi, a choćby nowe widoki.

Warto jeszcze zajść do ratusza, który także dawne czasy i dawnych panów pamięta, do Palazzo Cippico, do kościołów i klasztorów, sąsiadujących ze sobą, ale zmierzch zapada i czas wracać łódką lub doróżką do Spalato, gdzie staje się już ciemną nocą. Nie wiadomo, jak w zamierzchłej przeszłości oświetlano cesarską siedzibę; to pewna, że dzisiejsi edyle poprzestają na naftowych, najczęściej poutraça-



nych latarniach, które naprzemian z miesiącem mają rozpraszać ciemności. Z tego zadania wywiązują się one tylko w pewnej, niezbyt rozległej mierze. — Może tak i lepiej: w zmroku szczyby się zacierają, szczeliny i skazy na murach zdają się znów zasklepić, chrome filary prostować, nisze zapełniają się cieniem, zamiast posągów, a nieliczni przechodnie, powracający do domów, zdają się jeszcze należeć do »familii« Dyoklecjana, jako niewolnicy lub wyzwolenicy, i spieszyć do izdebek na poddaszach, przeznaczonych dla służby — rzymski Cesarz dotąd włada miastem niepodzielnie.

Na wyjeździe po drodze do portu pytam chłopaka, który odnosi zawiniątka na statek, kim był ów Dyoklecjan, o którym tam ciągle i na każdym miejscu mowa. — *Era un re di Dalmazia* — odpowiada zagadnięty bez wahania, a po chwili namysłu poprawia się: — *Era un monarca dalmato...*

---



## VIII.

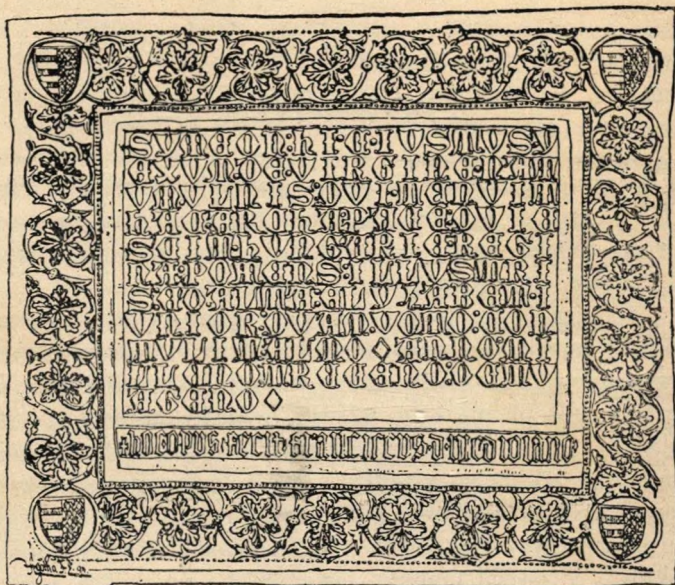
### Z POWROTEM.

**W** świeży, różowy i zimny poranek przybija z kolei okręt do brzegu, w stolicy kraju, w Zara. Tu ciekawość stępieć musi, bo i niema czemu się przypatrzeć, a nie zgoła, na co zapatrzećby się można.

Okolice Zary, to już nie kraj, gdzie cytryna, pomarańcza i rajskie jabłuszko dojrzewa; typy mężczyzn i kobiet powszednieją, malownicze stroje zastępują hurtowne wyroby czeskich lub niemieckich fabryk, wdzięk postawy, ruchu i obejścia sztywnieje i zanika; zamiast okazałych pałaców i ratuszów widnieją wszędzie szpetne budynki, mieszczące koszary i biura rządowe, pomalowane na ów znany, drogi biurokratycznym tradycjom i upodobaniom żółty kolor — rzekłbyś, że pędzel malarzy pokojowych, na rozkaz z góry wydany, wprost w żółci maczano.

Nie należy pominąć katedry o trzech nawach, ani przejść mimo zakrystyi nie rzuciwszy okiem na zakurzone i źle zawieszane obrazy, o których takie powagi, jak narzucający się przewodnik, mieszający angielskie półsłówka do dalmatyńskiej włoszczyzny, wespół z mrukliwym kościelnym twierdzą niezbicie, że to dzieła Palmy Młodszego i Carpaccia i powołują się na wyższą jeszcze powagę — od której nie masz już odwołania — przewodnika po Dalmacyi za 75 gr. Srebrna trumna św. Szymona, na ołtarzu i w kościele pod wezwaniem tego świętego, przedziwnej, złotniczej roboty medyolańskiej, z końca XIV wieku, jest tem ciekawsza, że świadczy o szczodroblowości Elżbiety, żony Ludwika Andegaweńskiego, a matki Jadwigi. Na Piazza d'Erbe, na wprost pałacu biskupiego, wznosi się stary słupek ozdobiony sfinksem. Ot — że pominiemy kilka klasztorów — niemal wszystko. Za czasów weneckich mieściła





Napis wotywny na trumnie św. Symeona.

Zara kazamaty, i temu zapewne przypisać należy smutek i nastrój ponury, który przywarłszy niegdyś do murów więziennych, dotąd z nich wieje. Podróznemu spieszo wydostać się z tej kazienniej atmosfery, wrócić na pokład, choćby miał zaniechać zwiedzania dalszych osobliwości. W chwili, kiedy okręt wypływa z przystani na pełne morze, trzeba pożegnać się z Dalmacją, bo z Zary prosto podąży on już do Fiume.

Któż chętnie się żegna nawet z tymi i z tem, co poznał przelotnie i polubił mimowolnie? Dopiero w chwili odjazdu budzi się świadomość, że kotwica przywiązania uczepiła się znowu, jeżeli nie skał uczucia, do podwodnej flory wspomnień — nie wspominając o zdradliwych rafach i mieliznach przygód i zdarzeń. Jakkolwiekbaż, czuć po targnięciu, że trzeba się oderwać, aby módz odpłynąć; że zanim Itaka



upomni się o swoje prawa, żal porzucić kraj Feaków i że można zażądać nawet za Scyllą i Charybdą.

Ciekawa jest Bośnia i uroczą Dalmacyą; ich przeszłość i dola obecna budzą w wysokim stopniu zajęcie i w pamięci zapisują się, jak rylcem, na zawsze. Powszechna uwaga od nich odbiegła, odkąd szlaki dziejowych wypadków nie znaczą się po ich górach, ani okrażają ich zatok, ni wybrzeży. Z potęgą i mocarstw, które tam niegdyś władały, nie zostało nic, lub zostało niewiele. Orły legionów rzymskich nie trzymają straży na illyrskich przełęczach, weneckie galery nie zawijają do dalmackich ostoi, janczarskie zastępy przestały istnieć a dzisiejsze wojsko padyszacha o zdobycznych wyprawach i krwawem apostołstwie pod godłem półksiężyca nie myśli i myśleć nie może. Od bitwy pod Actium i dawniej jeszcze, aż do wojny z roku 1878 i okupacji, wrzało w owych

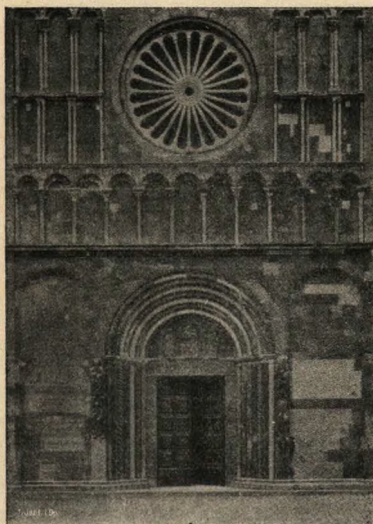


Królowa Elżbieta z córkami na trumnie św. Symeona.



krainach nieustannie bujne, buńczuczne i burzliwe życie; potem nastąpiło uspienie, uczucie błogiej poniekąd niemocy, po zbytnej sił i krwi utracie.

Działające tam niegdyś i zmagające się potęgi były zbyt żywe, hasła, w imię których działano i walczone, zbyt żywotne, by zapomnienie miało zagłuszyć ślady minionych



Zara. Katedra.

czasów i zmarłych pokoleń. Po dziś dzień tkwią w ziemi korzenie cywilizacji tam wszędzie, gdzie zasadziła je ręka prokonsulów; dzikość obyczaju krzewi się jeszcze w miejscu, gdzie osmański basza wypenił kopytami wschodniego swego rumaka posiew chrześcijańskiego stroju i rzymskiego ustawodawstwa; wenecki wpływ, niby olbrzymi »Ponte Rialto« jednym łukiem opasywał morze, od placu św. Marka sięgał po brzeg dalmatyński; w zamian za materyał w nieobrobionem drzewie, nieociosanych kamieniach

i nieokrzesanych majtkach posyłał tam przez wieki przeczorny rząd morskiego miasta wytwornych »commodorów« i wykwintne dzieła sztuki. Doża, zaślubiając Adryatyk z pokładem »Bucentaura«, łączył się tem samem węzłem pokrewieństwa ze Spalato, Sebenico, Trau, nawet Cattaro, a węzłem powinowactwa z Raguzą.

Słona roztocz wód, jak zawsze, była raczej łącznikiem, niż przegrodą — za każdym przypływem fali, rozpryskującej się o głązy nadmorskie, za każdym wiatru morskiego po-



dmuchem wzbogacała się Dalmacya w nowe pierwiastki kultury i ogłady, które na pomorzu mogły kiełkować i miały z czasem zakwitnąć. Musiały zaś marnieć na nagich turniach hercegowińskich i jałowych wirchach bośniackich.

Dziś nie z zachodu, ale z północy, promienieje światło i wieją prądy ożywcze na oba kraje; ale światło ulegać może zaćmieniom, powiewy mogą osłabnąć i ustać po drodze.

Rządy z większym może trudem i nakładem dbają teraz o rozwój i rozkwit zajętych prowincyj, niż Dalmacyi, dla zabezpieczenia której okupację przedsiębrały; lecz kraje podobno są w tem do ludzi, że wychowanie ich udaje się zazwyczaj tylko za ich dzieciństwa lub za pierwszej młodości. Wieki zapewne upłyną jeszcze, zanim Bośnia i Hercegowina wydadzą taki plon cywilizacyjny, jakim już przed wiekami pochlubić się mogła Dalmacya.

---





DO TANGERU I W TANGERZE.





I.

DO TANGERU I W TANGERZE  
(WYJĄTKI Z LISTÓW).

*Na pokładzie „Meurthe“ 9/VIII 1899.*

Cała podróż, za łaską Bożą, doskonale mi się udaje — jak dotąd; w Wiedniu, pociąg, jak zawsze w Austrii, przepelniony. Ponieważ mam podróżować bez przerwy, dopłacam i wsiadam do sypialnego wozu. Budzę się koło Insubruku, wracam do II klasy; pociąg się opróżnił. Jadę tylko z jakąś Rosyanką z Petersburga, i przerynam w wagonie nawskroś cały Tyrol. Sadzonki leśne mają każda swój palik, mnóstwo topól i akacyj, oto jedyna rzecz, która wpada mi w oko. Kościołów wiele i wszystkie jeszcze gotyckie; zresztą droga, mimo sławionych piękności górskich, raczej nudna. Do obiadu w restauracyjnym wagonie siadam z dwoma Anglikami i Amerykaninem, jakimś spedytorem, czy mechanikiem, który po niemiecku zarzuca mnie pytaniami. Obiad wypada właśnie na chwilę tunelu, przez który się jedzie 17 minut; innych tunelów też bez liku. Zwykły alpejski krajobraz na całej drodze: szczyty skaliste, na szczytach i na skłonach gór gdzieniegdzie szmaty śniegu w szczelinach, poniżej na stokach świerki i sosny, łąki i połoniny dochodzące skrajów lasu, i domki w szwajcarskim stylu szeroko rozsiadłe i przysadziste. Zielone potoki zdobne w grzebień srebrzystej piany wiją się u stóp naszych, albo



przeskakują wąwozy w kaskadach i tak ciągle przez 8 godzin, aż do granicy w Bux, gdzie stajemy o 3-ej mniej więcej. Wyciągam paszport ministeryalny i legitymację, co mi oszczędza jakiegokolwiek rewizyi i biorę bilet do Losanny.



Zürich. Münsterbrücke i Frauenmünster.

W Szwajcaryi krajobraz ten sam; zaczynam już narzekać na jednostajność tych zachwalanych piękności, kiedy nagle odsłania się przedemną, tuż pod oknami wagonu cudne Wallensee. Widziałem potem tego samego dnia jezioro Zürichskie, a nazajutrz Lemańskie; swoją drogą najpiękniejsze wydało mi się to pierwsze, bądźto z powodu mieniającej się



barwy wody, bądź zwłaszcza dla wspaniałej oprawy gór wysokich i spadzistych, które je zewsząd okalają. Minawszy Wallensee, zbliżam się do Zürichskiego jeziora, które choć bez porównania większe, nie sprawia tego wrażenia; brzegi miejscami wprost płaskie, gdzieindziej tylko pagórkowate, na kraju trzciną zarosłe, przytem toń — może z powodu, że słońce zakryte chwilowo chmurami — wydaje się nie błękitna jak Leman, ani szmaragdowa jak Wallensee, ale stalowa, to znów po prostu szara.

Wołają ZÜRICH, wysiadam, wydobywam z pośpiechem tobołki moje i dopiero kiedy pociąg ruszył dowiaduję się, że źle wysiadłem, bo w ZÜRICHU są dwie stacje tej samej nazwy, tylko pierwsza poboczna i nie ma połączeń. Kiedy zajechałem wreszcie na główny dworzec, pociąg już był ruszył do Losanny i nie pozostało mi nic innego, jak czekać na następny, od 6. aż do 11. wieczór. Zostawiwszy rzeczy na dworcu, idę na miasto. Dla oszczędzenia kosztów, nie wysiadam w hotelu; ale po 21-godzinnej drodze pierwszą potrzebą jest kąpiel. Znajduję takową i to doskonałą w jeziorze, a po niej mam czasu jeszcze dosyć, żeby obejrzeć z wierzchu katedrę, stawianą przez Karola Wielkiego, już romańską, o dwóch wieżach niedokończonych, ledwie zamierzonych właściwie, nakrytych nieładnymi gałkami. Widzę również pobieżnie dwa inne kościoły niegdyś katolickie, dziś protestanckie — gotyckie i szlachtetne w kształcie. Przed jednym z nich stoi posąg Zwinglego. Jeszcze chwila przechadzki po starem mieście, uczucie radości na widok firmy »Garbarsky« (jakiś Polak z emigracyi, któremu się poszczęściło) poczem idę jeść do restauracyi »am See«. Tam widzę po raz pierwszy tę kosmopolityczną publiczność, której nie masz u nas, ani w Wiedniu: Anglicy we frakach i białych kravatach, Francuzi eleganicy, Moskale a bodaj i Polacy zaniedbani i niemal brudni. Wszystko to je obiad nad brzegiem jeziora srebrzącego się od świateł nocnych, spokojnego, pełnego nastroju i dziwnej zadumy. Orkiestra gra walce Strausa,



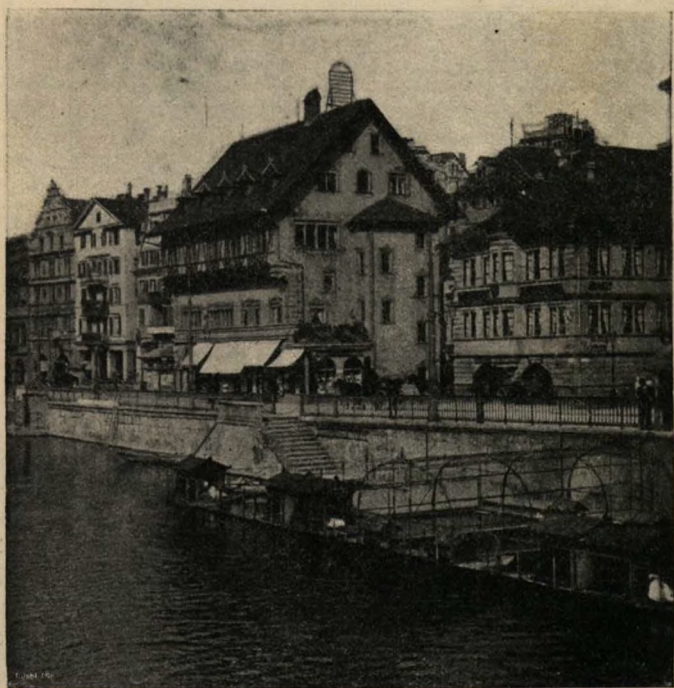


Zürich. Pomnik Zwinglego.

których słuchają jedząc wybrańcy fortuny (czytaj: ci, co mają za co zjeść obiad po 5 fr.) i gawiedź gapiąca się z ulicy. Grają wszystkie znane mi walce Strausa, jeden po drugim, lecz wykonanie fatalne. Nie mam pretensyi do znawstwa, ale za długo przebywałem w Wiedniu, żeby nie wiedzieć, jak powinna być oddana ta czysto wiedeńska muzyka. Uderza mnie wogóle taniłość w porównaniu z Wiedniem i jeżeli czego nie żałuję, to tego miasta, wraz z jego płytkością i drożyzną. O 11-tej ruszam w dalszą drogę.

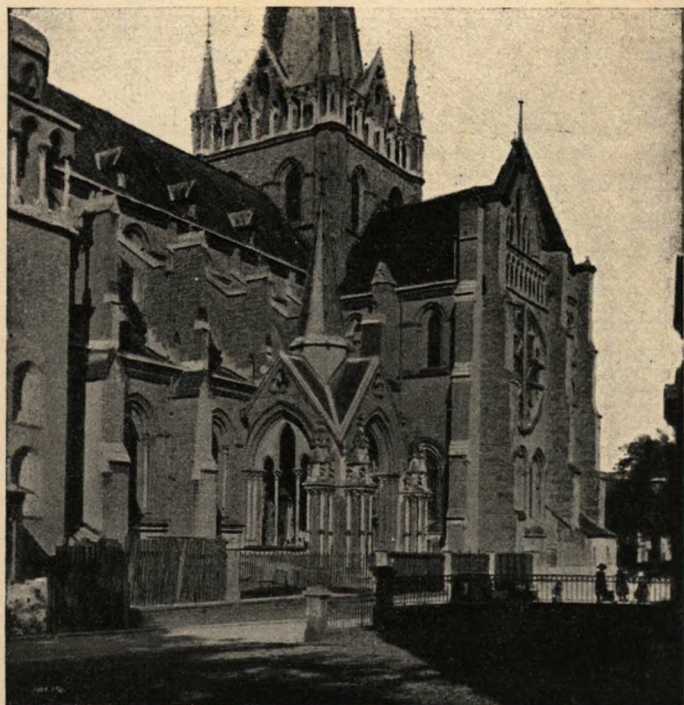
Wagon pełny, ale po niejakiem czasie opróżnia się dostatecznie, żeby się mózdz ułożyć do snu. Budzi mnie

dopiero przed Losanną konduktor; pierwszy to raz słyszę francuzczyznę wkoło siebie i odczuwam pewną radość na dźwięk tego języka, który z moim i po moim rodowitym jest mi jedynie drogi. Wyruszyć miałem z Losanny dopiero wieczorem; zatem znowu dla oszczędzenia czasu i monety, zostawiam rzeczy na dworcu (o 4<sup>1</sup>/<sub>4</sub> z rana) i rozpytuję się o drogę na jaki pagórek, żeby widzieć wschód słońca. Dopiąłem celu, wyszedłem na Signal, wzgórze za miastem, i tam znalazłem cicerona, który mi pokazuje Griau-les-Bains, Montreux itd.



Zürich.





Losanna, Katedra.

Położenie miasteczka jest zachwycające; z zabytków architektonicznych widnieje tylko katedra z wieżą podobną do karczocha, i dawny pałac biskupi, teraz kantonalnego siedziba rządu.

*Na pokładzie „Meurthe“ 11/VIII 1899.*

Przeprawa udaje mi się do końca; mamy *une mer d'huile*; nie chorowałem ani chwili po drodze więc wypo-  
cząłem tu idealnie. Nic idealniejszego nie można sobie wy-  
stawić dla nerwów i dla oczu, nad tę egzystencję złożoną

z zapatrzenia się w rozłocz morza, ze snu podostatkim i bardzo dobrego jedzenia.

Wracam do dyaryusza podróży. Pobiegłem tedy na pagórek Signal, dla obejrzenia widoku na miasto. Zwiedziłem potem pałac biskupi, w którym nic już ciekawego dziś niema, chyba sala posiedzeń rady kantonowej i t. zw. *la salle des évêques* z ciekawymi boazeryami. Za to katedra jest godna widzenia: odrestaurowana przed laty przez Violet-le-Duca zawiera zajmujące szczegóły architektury romańskiej, drewniane stalle najpiękniejszej snycerskiej roboty jakie widziałem, i piękne pomniki. Wywiązuje się polemika, między mną



Losanna. Pałac biskupi.



a żoną kalwińskiego kościelnego, która mnie oprowadza, o jedną ze scen biblijnych przedstawionych w jednym z *panneaux*. Scena wyobraża walkę młodego chłopca z lwem; w wieńce kwiatów okalające każdą scenę, wplecione są insygnia, w tym wypadku lutnia i korona. Ja twierdzę, że to Dawid, ona, że Samson. Dowodzę jej, że Dawid za czasów pasterskich pokonywał również lwy, jak to sam mówi przed walką z Goliatem. Kontrowersya zostaje nierozstrzygnięta. Kościół obdarty z ołtarzów, obrazów i posągów, robi opustoszałe, chociaż potężne wrażenie. Godnym uwagi jest przedsiónek z XIII wieku z rzeźbionymi w kamieniu postaciami Ewangelistów, Apostołów i świętych Patryarchów. Z tem wszystkim uwinąłem się aż do godziny 7. rano; oglądam jeszcze ulice i główne place, kościół katolicki, piję śniadanie, idę jeszcze obejrzeć ogród i o 10-tej rano, zwiedziwszy prócz dwóch muzeów wszystkie osobliwości miasta, ruszam z Ouchy do Genewy statkiem. Na statku przedewszystkiem przebiegam się, od Wiednia bowiem nie miałem ku temu sposobności. Używam na wspaniałych widokach, które się roztaczają wzdłuż brzegów Lemanu. Upał ciągle szalony, ale na pokładzie można wypocząć po bieganiu, noszeniu pakunków etc. co robię od 36 godzin. Na pokładzie *une humanité en vacances*, jakiej się nie widuje u nas: młoda i bardzo wykwintna para Francuzów, jakaś dama, koło której siedzę przy obiedzie, żona naczelnego dyrektora kolei algierskich, jadąca do Genewy oglądać i targować klejnoty. Ludzie wydają się swobodni i zamożni, choć zapewne muszą, jak wszyscy, mieć swoje biedy i troski, tylko że je mniej może objawiają niż u nas.

W Genewie pokazują mi przedewszystkiem miejsce, gdzie zasztyletowano tę nieszczęsną cesarżową. Na tym samym statku, na którym jechałem, wyzionęła ducha. — Znowu kąpiel w jeziorze i zwiedzanie katedry również romańskiej, także z pięknymi stallami i pomnikiem ks. de Rohan, z białego marmuru. Dom Kalwina, arsenał z ciekawą bronią



średniowieczną i późniejszą, ratusz, ogromne turbiny poruszające wszystkie fabryki w całym mieście, i port na jeziorze — oto osobliwości, które zwiedziłem aż do chwili odjazdu do Lyonu. Francuzką granicę przebyłem bez trudności dzięki paszportowi i doznałem uczucia radości, a nieledwie rozrzewnienia, w chwili kiedy stanąłem na ziemi francuskiej, do której każdy z nas dużo bardziej przywiązany, niż sam przypuszcza. W Lyonie stanąłem w hotelu *des Beaux-Arts*; jest to jedyny hotel, do którego zajechałem w ciągu podróży. W niedzielę byłem na mszy, w przepysznym St. Nizier; byłem w katedrze, wyjechałem aż do N. Dame de Fourvières, z kądem widok śliczny, ale kościół mimo zbytku z jakim go postawili, nieładny; przypomina duży dworzec kolejowy. Byłem także w muzeum, gdzie są piękne obrazy weneckiej i lombardzkiej szkoły. Zresztą miasto z dwiema rzekami, z ogrodami nad kamiennym obramieniem tychże — ładne i nad wyraz sympatyczne. Wieczorem zaszedłem na *une fête foraine*, rodzaj francuskiego Wurstel-Prateru; bezpieczeństwo wszędzie najzupełniejsze.

Nazajutrz w poniedziałek miałem ruszyć o 5:47 rano, ale mimo, że byłem na dworcu kwadrans przed oznaczoną godziną, spóźniłem się, bo taki brak ładu na dworcu, że nie można znaleźć tragarzy, tłok u kupna biletów. Wpadłem w gniew, bo myślałem, że nie zdążę na statek; ale Francuzi rozbijają człowieka natychmiast swoją dobroduszością. *Que voulez-vous, nous savons bien, que sur nos voies ça ne marche pas tout seul* itd. itd. Wyjechałem o 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub> i miałem aż do Marsylii wagon pusty, w którym byłbym mógł spać jak borsuk, gdybym nie był wolał rozglądać się po tej ślicznej Prowancyi. Zdaleka widziałem pałac papieski w Awinionie i rzymski amfiteatr — pierwszy w życiu — w Arles; byłem także w słynnym Tarascon, które wygląda bardzo malowniczo. Do Marsylii zajechałem w rześisty deszcz, pierwszy podobno od kilku miesięcy. Roztasowawszy się na statku, chciałem trochę miasto obejrzeć, ale deszcz przeszkodził.



dził zwiedzaniu. Po kąpieli morskiej zjadłem obiad *dans un café de la Cannebrière*.

Na statku miałem się stawić dopiero o północy. Wszedłem na chwilę do tamtejszego Ronachera, „*La brasserie phocéenne*“ — i około 11-tej ruszyłem piechotą na statek. Policya, której się rozpytywałem o drogę, radziła mi jechać dorożką, *car on ne répondait pas de ma sécurité*, ale ja uparłem się, że pójdę piechotą i to portem. Przechodnie i policjanci wszyscy byli pod wrażeniem morderstwa, które popełniono dwa dni przedtem i odradzali zapuszczania się w te strony. Pomimo to maszeruję, tylko rewolwer włożyłem do kieszeni kurtki i rękę mam na nim, żeby za najmniejszym zajściem mieć się czem bronić. Rzeczywiście wśród beczek i pak słychać szepty i przyciszone głosy. Idę samym środkiem wolno, żeby nie robić wrażenia kogoś, który umyka. W najgorszym przejściu spotykam jakiegoś ktosia, sam go zaczepiam pytając o dalszą drogę; na to on bardzo opryskliwie odpowiada: *Vous connaissez le port aussi bien que moi, nous la connaissons celle-là; passer votre chemin*. Idę więc dalej, ów zaś o jakie 15 kroków za mną. Maszerujemy tak z 5 minut, wreszcie spotykam celnika, któremu mówię, że idę na pokład »Meurthe« *sur le quais des Anglais*. Na to ów się zbliża i powiada, że idzie tą samą drogą. Nie dowierzam mu zbyt, i on widocznie mnie, ale idziemy razem, każdy z ręką w kieszeni, oczywiście na rewolwerze. Pokazało się, że to był porucznik okrętowy, który wracał na statek. — W chwili kiedy to piszę, już widać skałę Gibraltarską, a na lewo majaczącą brzegi Afryki.

Zatrzymujemy się tam — t. j. w Gibraltarze — do wieczora, a jutro w sobotę 12. b. m. stanę na miejscu przeznaczenia. Na statku spotkałem zamożnego kupca z Tangeru, który mi opowiadał o stosunkach tamtejszych. Według niego, to miejsce bardzo szycowne, a niezbyt drogie. Pierwsza rzecz, to kupno konia, bo nawet na obiad i na bal jedzie się wierzchem; piechotą zaś nie chodzi się wcale. Na dziki



poluje się z dzidami, zawsze z konia. Oczywiście zaraz z miejsca będę pisał. Poczta dochodzi z Europy sześć razy w tygodniu,esyłki powinno się posyłać via Marsylia, bo w Hiszpanii kradną podobno gorzej niż w Rosyi.

*Tanger, 14/VIII 1899.*

Przystępuję do opisu końca podróży: w Marsylii byłem już trochę roznerwowany po tygodniowym ujadaniu się z fiakrami, kelnerami, tragarzami etc. i resztą łapczywej gawiedzi, która »pieniędzy woła i kuframi wstrząsa«; przytem mało sypiałem. Na morzu wszystko to odmieniło się zupełnie. Opisałem zbrojny mój powrót na statek; tam przypatrywałem się ładowaniu towarów do 1. w nocy. O 5-tej obudziłem się w kabynie i myślałem, żeśmy już na pełnem morzu; okazało się, że kapitan nie mógł się wyguzdrać i ruszyliśmy przed 7-mą wśród lekkiej mgły, która zasłaniała wszelki widok na port, wybrzeże i miasto. Statek niebardzo porządny i niewielki — dobre statki są te, które idą z Genui, włoskie i niemieckie — wlokący się powoli; *il ne faisait que 10 noeuds*, czyli 18:52 klm. na godzinę. Swoją drogą dla mnie właśnie był dogodny, bo chciałem spędzić czas niejaki na morzu. Nie wiedziałem, czy będę chorował, czy nie. Jeden z pasażerów, który równie jak ja, po raz pierwszy jechał, z miejsca chorował; ja napiłem się z rana cienkiej kawy *avec du lait comprimé*. To śniadanie »sto mil od brzegu i sto mil do brzegu« morskiego, mogło każdego o morską chorobę przyprowadzić. Walczyłem mężnie, pokrzyłem się kieliszkiem koniaku jednym i drugim i zostałem na placu, czyli na pokładzie... zwycięzcą samego siebie.

Porządek przez 4 dni był nieodmiennie następujący: rano biegłem na pokład w chwili gdy zlewano wodą morską statek, pod improwizowany tusz, bo wody skąpiono do mycia; potem tualeta gruntowna, poczem na pokładzie oczekiwanie śniadania aż do 9<sup>1</sup>/<sub>2</sub>. Następowowało śniadanie z 4—5 potraw —

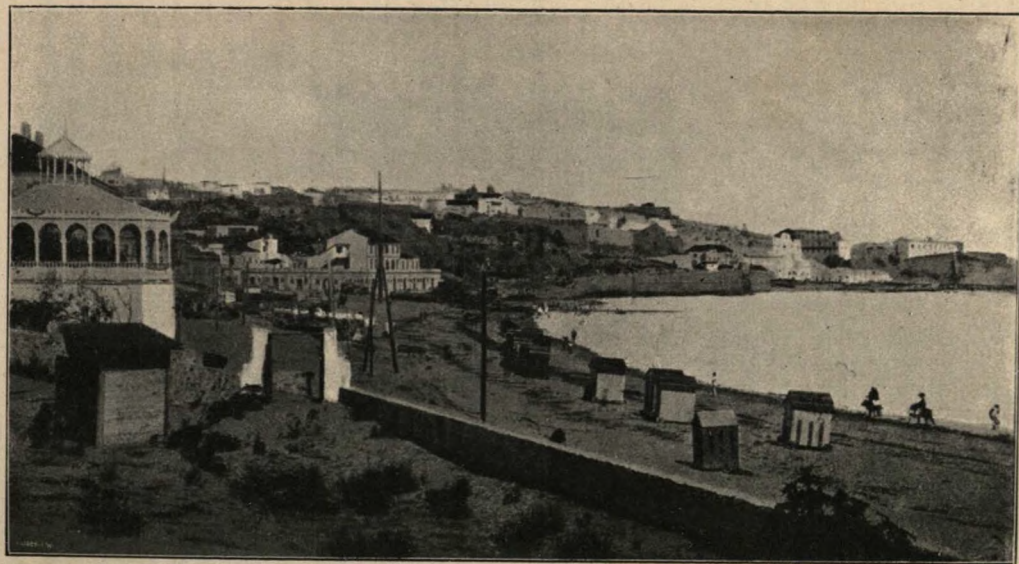


*la bouillabasse* itd. potem informacje w rzeczach marynarki przez pytania i odpowiedzi, siesta, trochę listów, lektury cokolwiek, obiad takież jak śniadanie, *et je faisat le quart de nuit* z młodziutkim 20-letnim porucznikiem okrętowym, który już w części na życie zarabiał, bo miał 150 fr. miesięcznie płacy i utrzymanie — od rodziców też coś. Tak minął wtorek, środa, czwartek; niedłuzęj jak po kilka godzin bywaliśmy na pełnym morzu, wśród widnokregu zewsząd oblanego wodami. Zwykle płynęliśmy w pobliżu brzegów, które w miarę oddalenia majaczały tylko niewyraźnie,



Latarnia morska.

to znowu rysowały się ostro i dobitnie. Brzeg francuzki a zwłaszcza hiszpański, to skaliste góry i pagórki, bez żadnej zieloności, zdają się obumarłe, tak są opustoszałe i bezludne. Zrzadka tylko świecą do słońca białe domki rybaków, lub straży celnej. Mew ani rybitw niema koło nas, czasem pluśnie delfin w pobliżu, niekiedy ryby latające, których jednak dojrzeć nie zdołałem. Tu i ówdzie spotykamy statek żaglowy, albo parowiec, łodzie rybackie o wielkim trójkątnym żaglu łacińskim, dwa razy spotykamy statki uszkodzone, ciągnięte przez inne okręty. W nocy na mile i mile oddalenia migotają światła latarni morskich zielone i czerwone.



Tanger od strony zatoki.



W piątek od 9-tej niemal, widać skałę gibraltarską. Wygląda bardzo imponująco i okazale: na wąskiej przełęczy pnie się ta skała wprost w niebo; oblana morzem z 3 stron, z czwartej połączona lądem z Hiszpanią, ale zupełnie płaskim lądem. Jedenaście statków wojennych strzeże cieśniny. Mijamy »la Pointe d'Europe«, gdzie jest latarnia, letnie mieszkanie gubernatora i zawijamy nie do portu, bo port dopiero kopia, lecz do naturalnej zatoki. Łódką jadę o 1½ na ląd, z powrotem mam się stawić o 6-tej. Tutaj kończy się moje językoznawstwo. Aż do ZÜRICHU, radziłem sobie po niemiecku, dalej po francuzku, odtąd trzeba umieć po hiszpańsku, w Gibraltarze zaś i po angielsku.

.....

*Tanger, 21/VIII 1899.*

Powodzi mi się tu nadzwyczaj, nadszpiewanie dobrze. Wydaje się tu mało, gdyż absolutnie niema na co. Jedyne polowania, o których ciągle słyszę, są drogą zabawką, ale te odbywają się dopiero zimą. Są to polowania na dziki, konno z lancami, na terytoryum, które sułtan dał nam w tym celu do użytku: *my* to ciało dyplomatyczne.... Byłem wczoraj u p. Perdicaris. Jest to bogaty Grek ożeniony z Angielką, który tu ma pierwszy dom. Teraz bawią na willegiaturze w pałacu, który sobie postawili o milę od miasta, wśród ogrodu nad morzem, z widokiem na wybrzeże hiszpańskie, w cudownem położeniu. Oni sobie są — ot, tacy; dom wygodny, ale pretensjonalny, postawiony na to, żeby z cieśniny gibraltarskiej wyglądał jak angielski zamek. Jak w całym Maroku niema tam drogi, chyba taka jak np. z Rożnowa do Łazisk, tylko gorsza. Trzeba więc było wszystko przenosić na plecach ludzkich, albo na grzbietach oślich czy mulich.

.....



Południowa strona Tangeru.



We wtorek rano, w drugie święto, po bardzo wczesnej mszy, ruszyliśmy do Tetuanu we dwóch: F... i ja, z żołnierzem Achmedem dla eskorty i mułem z kufrem i paszą. Obłoki od zachodu zapowiadały słotę, o 11-tej zaczął deszcz rosić, potem kropić, o 1-szej stanęliśmy we fondaku czyli karczynie, gdzie nie można dostać nic, prócz herbaty; ale konie tutejsze jedzą raz, najwyżej dwa na dzień, a w drodze nie piją. O 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> dalej w drogę; podobno czają się na niej rabusie, ale na taki czas psaby na dwór nikt nie wypędził, nie dopiero rabusia: kapuśniak przechodzi w ulewę, w oberwanie chmury, grunt rozmiękł tak, że w błocie ledwo wleczemy się stępa. Rowy przemieniają się w strumyki, a strumyki w rzeczki; zupełnie już po ciemku zajeżdżamy do Tetuanu o 7<sup>3</sup>/<sub>4</sub> i zastajemy bramy zamknięte, a klucz u baszy-gubernatora. Po trzech kwadransach otwierają, wjeżdżamy — hotel dosyć przyzwoity...

Środa, dzień cudowny, położenie miasta czarujące, rano przychodzi nasz agent konsularny, stary sympatyczny żyd w chałacie, do Mendla podobny, mówiący tylko po hiszpańsku — prowadzi nas na kasbę (zamek), do więzień, meczetów, pałaców prywatnych, których w Tangerze brak. Idę też do baszy, z którym przez tłumacza się rozmawiam i wymieniam uprzejmości. Wogóle gram wielką rolę przez ten dzień, jako szef ekspedycyi i reprezentant mocarstwa. Byłem i u Franciszkanów, gdzie zdałem egzamin z hiszpańskiego, bo ani słowa inaczej ani żydzi, ani Franciszkanie nie rozumieją. Popołudniu na mułach o siodłach, a raczej kulbakach arabskich, przejażdżka po okolicy i raz jeszcze marsz na kasbę, zkad widok na miasto białe jak płat śniegu na stoku góry.

Ile energii trzeba, żeby kierować małą ekspedycją z czterech ludzi, jeżeli się chce zwiedzać dużo, prędko i tanio, o tem nie ma się wyobrażenia; ale podróż sto razy sympatyczniejsza niż w Europie. We czwartek mamy ruszać



o 7-mej, ale zamiast żeby mnie budzono, ja wszystkich budzę — przygotowania trwają do 8-mej. Ranek pochmurny, miasto maleje za nami i stapia się z białymi mgłami, które się zwieszają po zboczach Atlasu. Poróżniliśmy się z przewodnikiem — żołnierzem, który jedzie za wolno i puszcza się naprzód sami, bez przewodnika, bez mapy, bez znajomości



Kasba.

języka. Naturalnie błędzimy: wyjeżdżamy na prawo na południe od Cap Negro, gdzie nad morzem niema drogi. Kabył za paczkę papierosów sprowadza nas na dobrą drogę, a raczej miedzę; droga nad morzem cudowna. Ceutę, od której dzieli nas 6 godzin jazdy, widać jak na dłoni. Jeszcze raz trzepie nas ulewa, wreszcie po półgodzinnym spoczynku, stajemy tutaj o czwartej. — Ceuta, to cztertnastotysięczna



mieścina; hotel jak w Dębicy, albo w Bochni. Wczoraj wieczór byłem u gubernatora, do którego miałem polecenie z poselstwa hiszpańskiego; nie przyjął mnie bo chory. Wieczór w kasynie wojskowym...

*Madryt, 20/XI 1900.*

We czwartek o 11. wsiałem na statek, który pełni jednostajną służbę między Tangerem a Kadyxem; morze było gładkie, powietrze rześwe, niemal chłodne, lekki wiatr kołysał, ale nie podrzucał, ani miotał parowcem. Ciężnina od zachodu przedstawia się bardziej malowniczo, niż od strony Gibraltaru i Ceuty. Mijamy Trafalgar i historyczną zatokę, która była widownią morskiego odwetu za Austerlitz, a dziś błękitnieje wśród piaszczystych wydm nadbrzeżnych i łódkom rybackim służy w czasie burzy za przytułek. Bezładne, skaliste, opuszczone brzegi hiszpańskie, które znam od granicy francuskiej aż po Gibraltar, są nad Atlantykiem takie same, jak nad morzem Śródziemnem. Okolica wydaje się nieuprawna i niezamieszkała; wsi, osad, ani samotnych domków niemasz wcale. Zdaleka bieleją dwa miasteczka: Aquila i Medina Sidonia i znowu zwały nieużytych głazów. Wokół nas płyną w jednym i drugim kierunku okręty wszelkich kształtów, rozmiarów i flag; wpływają, lub wypływają w te wrota Śródziemnego morza, których zamek gibraltarski schował się za bliższe ostrowy i półwyspy. Wreszcie wprawne oko kapitana dostrzega na krańcu widnokrzęgu dwie smugi dymu, jedna z nich kieruje się na bezbrzeżny ocean, druga zwraca ku nam, to Compania Trasatlantica wysłała zwykle swe statki do Habany i Barcelony.

Kadyx — zbudowany na ciasnej przestrzeni, z trzech stron wodą oblanej i wąską szyją połączonej ze stałym lądem — wygląda jak biała lilia wodna kwitnąca na modrych falach; a dawne forteczne mury służą mu za szarą łądygę, z której wyrastają białe domy, jak płatki, i szara katedra, jak serce



kwiatu. Słońce zachodzi już za nami, t. j. za statkiem, odbija się w szybach, rozjaśnia bielone ściany, z purpurowych obłoków tworzy nieporównane tło i rzuca gdzieniegdzie ostatnie błyski czerwono-złote, jak garście dukatów. W urzędzie celnym robią mi trudności, chcą to i owo odciec i przewracają wszystko w tobołkach, jak gdyby mnie ścigały listy gończe — to wszystko, mimo *laisser-passer* hiszpańskiego poselstwa! W Hiszpanii trzeba zawsze robić to i tak, co i jak robilibyśmy u nas, gdybyśmy mieli prawo się rządzić. Co robi Polak, kiedy mu urzędy dokuczają? Wpada w pasyę, kłóci się z urzędnikiem, wygaduje na wszystkich, a jeżeli tylko może, grozi odwetem i »wyjeżdża« ze swymi wpływami, koligacjami itd. Czynię i ja to samo, choć cała długość Europy dzieli mnie od Wielkiej Wsi, Tarnowa, Brzeska i Wojnicza. Jak na złość nie mam żadnego granda 1-szej a choćby 2-giej klasy wśród krewnych, ale mam listy do markiza T., do gubernatora pałacu w Madrycie i ochmistrza królewskiego, którzy wprawdzie z urzędem celnym nie nie mają wspólnego, ale, ale... Grożę tedy, że poskarżę się komendantowi wojskowemu, którego nigdy nie widziałem, ale który jest w zażyłej przyjaźni z rodziną H. i wiem z góry, że każdy Hiszpan stanie po stronie cudzoziemca przeciw swoim urzędom. *Tout comme chez nous*; takie właściwości są zgubą państw, a wdziękiem ludności. Tak się też i dzieje: wreszcie odbieram wszystkie swoje rzeczy, grosza nie zapłaciwszy. — Wieczorem próbuję odnaleźć miejsce, gdzie tańczą te sevillany, które bez wątpienia tańczyła Herodyada, kiedy żądała głowy św. Jana. Teraz jednak na to nie pora i spotykam się tylko z międzynarodowym wyzyskiem, od którego stronię jak najdalej. — Nazajutrz zwiedzam katedrę niesłusznie okrzyczaną jako budowlę bez żadnej wartości; biegnę do kościoła Kapucynów, gdzie spotykam się z pierwszemi dziełami Murilla: Zaślubinami św. Katarzyny i św. Franciszkiem w zachwyceniu. Objeżdżam dorożką dawne wały obronne, dziś zamienione na ogrody, idę do ks. \*\*,



który mnie przyjmuje z wyszukaną grzecznością i wygląda na to czem jest, na wielkiego pana znudzonego służbą w małym mieście.

*Tanger, 27/II 1901.*

Wyjechałem na całą noc na Pontebbę, Medyolan i Genuę. Podróżowałem z hrabiną M. Węgierką, żoną pruskiego oficera (który jest instruktorem wojsk chińskich, ona zaś bawiła z mężem 3 lata w Hongkong i Shanghai), oraz z jej bratem, rotmistrzem huzarów, któremu się znaczy nadwyczaj świetna karjera wojskowa: został rotmistrzem w 26 latach, a miał wszelką nadzieję być generałem w 40, ale zapadłszy na piersi, więcej czasu trawić musi na kuracyi niż w służbie; wreszcie z ich siostrą, nadwyczaj miłym i uroczym stworzeniem. W drodze jedna rzecz była wspaniała — to księżycowa, pogodna, śnieżna i mroźna noc w wysokich Alpach. Z okna mknącego wagonu widziałem krajobrazy takie jakies nierzeczywiste, że przypominały raczej jakąś czarodziejską sceneryę z *Freischütza* niż rzeczywistość. Nawspak zwykłemu porządkowi rzeczy, szczyty gór śnieżne i na ciemnym błękicie nieba wyraźnie zarysowane, iskrzyły się w zielonawych blaskach miesiąca i stały nieruchome, kiedy gór podnóża owite w mleczne opary, zdawały się poruszać za każdym powiewem wiatru, płynąć i rozpływać w świetlistej mgle. Lombardy niewiele widziałem pod grubą śnieżną oponą; w Medyolanie jadłem obiad, myłem się i kłóciłem z posługaczami i urzędnikami kolejowymi, udając wedle potrzeby raz, że po włosku mówię biegle, to znowu, że zgoła nic nie rozumiem, i broniąc mojej kieszeni i pakunków. W Genui oprowadzałem moje towarzyszeki podróży wśród nocy po kilku ulicach bliskich dworca, pokazując wspaniałe pałace »di Genova la Superba«, okazałe i wielkopańskie nawet w półmroku skąpego oświetlenia.

Pociągi włoskie pospaźniały się tak, żeśmy w Ventimiglia nie zastali pociągu idącego wprost do Marsylii, trzeba



nań było czekać kilka godzin. Wobec tego, wybrałem się do Hyères, gdzie stanąłem o 8. wieczór. Jestto może bardzo ładne w dzień, ale wieczór wygląda na małomiejską dziurę. Staję w hotelu blisko kolei, do którego się jedzie długą aleją wysadzaną palmami w 4 rzędy. Wszystkie sklepy pozamykane, jakaś cukiernia w rodzaju Sparganapagni'ego otwarta, zresztą cisza, pustka, do tego egipskie ciemności. Trzech pijaków, których wśród moich dowiadujących się trzy razy na rozmaitych ulicach spotykam, widzą w tem przypadkowym spotykaniu się zrządzenie wyższe i ofiarowują mi się na bezpłatnych ciceronów. Tłumaczą mi brak ożywienia tem, że cudzoziemcy zachwycają się słynnym Hyères-les-Palmiers w dzień i zwiedzają je zawzięcie, więc też zmęczeni przechadzkami, idą spać razem z kurami, ludność miejscowa zaś obsługuje przejezdnych i również wczas do snu się układa. Głośne »kukuryku« wydobywające się z jakiegoś kurnika zadaje kłam ich twierdzeniu, jakoby kury już spały, co im natychmiast mówię, ale oni mają gotową odpowiedź w jakiejś miejscowej piosnce opowiadającej szeroko o lekkomyślnym trybie życia kogutów. Ci panowie zapraszają mnie do swego klubu. Tam układają program wyścigów cyklistów, a mnie chcą jako *étranger de distinction* dać miejsce na trybunie honorowej. O ile sądzić mogę, są to kelnerzy itd. Wyrwam się prawie gwałtem, idę spać o 9<sup>1/2</sup> i nazajutrz wyjeżdżam przed brzaskiem w towarzystwie jakiejś pani, która przyjechała z Marsylii zapłacić czynsz; także nikogo nie znalazła, i równie jak ja wygaduje na tą niby to uroczą miejscowość. — Jadę do Marsylii; tam chcę, jak pisałem, jechać na Oran i Hiszpanię, ale najszcześniejszym trafem dowiaduję się od konsula Hiszpańskiego hr. Torrijos, że w Hiszpanii, t. zn. w Almeria robią trudności tym, którzy przyjeżdżają z Oranu. Porzucam więc ten projekt, a dowiaduję się natomiast, że okręt Orient Line rusza nazajutrz do Gibraltaru, czekam więc na ów doskonały angielski statek. Wieczór widzę afisze ogromnego



balu kostiumowego au Grand Théâtre. Idę tam, odsyłają mnie, bo nie jestem we fraku. Wracam we fraku.

— Ile karta wstępu?

— 10 fr. na dwie osoby.

— Jestem sam; oto 5 fr.

— *C'est un tort; et puis, ce n'est pas l'usage, c'est tout de même 10 fr.*

Teatr zamieniony na salę balową, maski, przebrania, stroje ładne i cudaczne i dziwaczne, zgiełk, wrzawa. Z łóz i paradyżu lecą na dół snopy kwiatów i rozmaitych piszczałek, świstawek, trąbek, które powiększają jeszcze hałas. Muzyka gra od czasu do czasu kadryle i walce, ale gra źle, przynajmniej źle w wiedeńskim pojęciu. Tańcować na nierównej posadzce niepodobna. Bywałem i w Wiedniu na podobnych balach; tam wszyscy idą mniej więcej na to, aby tańcować; to prawie obrządek, który się odbywa porządnie i jest celem sam w sobie. Tu taniec jest tylko pretekstem, żeby się rozhecować, krzyczeć, śmiać się, cała atmosfera zda się drgać wesołością i nadzwyczaj hałaśliwym rozbawieniem.

Wychodzę odurzony i zmęczony tem ożywieniem, w którym nawet udziału nie brałem. Nazajutrz oświadczają mi w Agencji, że Orient Line wprawdzie staje w Gibraltarze, ale nie przyjmuje pasażerów, bo jedzie z Indyi, gdzie dżuma jest chroniczną od 4 lat. Niema innej rady, jak pojechać ładem. Z Marsylii do Barcelony trzeba się przesiadać pięć razy w ciągu jednej nocy. Wyjeżdżam wcześniejszym pociągiem, żeby zatrzymać się wieczorem w Tarascon i przynajmniej jednego przesiadania w nocy oszczędzić sobie. W Marsylii byłem także w kościele de Notre Dame de la Garde z ogromnym złoconym posągami Najśw. Panny z Dzieciątkiem na szczycie wieży. Cudowny ztamtąd widok na miasto, morze, port i stojące na kotwicy statki. Sam kościół świeżo postawiony, pokryty pamiątkowymi tablicami, napisami, wspomnieniami uproszonych łask — nadzwyczaj miłe i podniosłe robi wrażenie. W Barcelonie, gdzie staję nazajutrz, do wieczora



czekam na pociąg i znowu z biletem w rękę; a choć pociąg stoi 5 minut dłużej niż przepisane, ruszyć nie mogę, bo mi rzeczy wydać nie chcą; muszę nocować w mieście bez kufereków, ani torby podróżnej. Wyjeżdżam nazajutrz znowu o 5-tej rano i płacę od Kordowy drogę podwójnie, bo miałem jechać do Kadyksu a w ostatniej chwili zdecydowałem się na Algeiras-Gibraltar, z powodu statków, które prędkiej zawiozą mnie do Tangeru. Pan Wojciech Dzieduszycki ma rację: w Hiszpanii jedzie się nieraz przez pół dnia i więcej przez równiny zupełne, jak okiem sięgnąć.

*Tanger, 15/III 1901.*

Nie opisałem dotąd mego powrotu do Tangeru. Z Gibraltaru popłynąłem angielskim statkiem, pogoda sprzyjała piękna, ale morze rozbawiane poprzednimi burzami, podrzucało okręt i wprawiało go w huśtawkowy ruch poprzeczny (*tangage*). Po czterogodzinnej przeprawie zamajaczyły dobrze mi znane zarysy gór nad zatoką i wydm piaszczystych, poczem już mogłem rozróżnić żyzną i świeżą zieloność ozimin i pastwisk i płową barwę nadbrzeżnych piasków; białą kasbę czyli zamek obronny i arabską dzielnicę lśniącą wapiennym odcieniem, jak olbrzymi burnus rozesłany na ziemi, i czerwone dachy, kominy, ściany pomalowane na różowo i niebiesko, europejskiej dzielnicy. Zbieram tobołki i czekam na łódki rojnie podpływające pod okręt. Na pierwszej, która do statku przybije, łódce sanitarnej komisji, podpłynę do wystającego pomostu, gdzie lądować będę. Zdała, na innem czółnie stoi ktoś w czarnej krymce, krótkim kaftanie, białych spodniach po kolana i trzyma w rękę klucz, jak gdyby od bram poddającego mi się miasta. Jest to po prostu Shimon, mój faktor, jak go H. nazywa, i trzyma w pogotowiu klucz od mego mieszkania na znak, że wszystko zastanę w porządku. Wsiadam, łódka tak się kołysze, że trzeba uchwycić chwilę, w której fala ją podnosi,



żeby z drabinki skoczyć na nią. Wsiadam na brzeg, gdzie mnie wita nasz stary żołnierz Mohammed, mój nowy służący, ten właśnie, którego sobie listownie obstalowałem, oraz już wymieniony zawiadowca moich apartamentów. Rzeczy oddają tym służebnym osobistościom i biegnę piechotą do miasta i poselstwa. Żołnierze, służba, wszystko wstrząsa mi na powitanie rękę, pyta o zdrowie moje i moich.

Bez konia dotąd się obywam, to znaczy szukam dobrego a stosunkowo taniego, choć mam odłożoną sporą sumkę na to kupno. Na *pigstickingi* oczywiście nie jadę, czego nie żałuję, bo przez cały tydzień deszcz jak z cebra leje. Zato wielkim ewenementem jest przyjazd gibraltarskiej psiarni i Munt Clubu na kilka dni. Z tem towarzystwem przyjeżdża Markiz Castrillo z dwiema córkami; jedna zamężna, wysoka blondynka, p. Larios; druga brunetka, panna, obie jak malowanie. — O polowaniu nie rozpisuję się tutaj. Może z czasem urosnie z tych wspomnień „*Kartka z wrażeń myśliwskich*“. Ponieważ jednak pewna szczypta udawania należy niewątpliwie do mego zawodu, rozmawiam z nowoprzybyłymi, jak gdybym całe życie nie innego nie robił, jak jeździł za psami. Naprawdę zaś, nie widziałem dotąd czerwonych fraków i psiarni goniącej za lisem, inaczej jak na obrazkach. Co gorsza, nie mam konia, więc rozbijam się za cudzym; wreszcie dostaję starą szkapę niemieckiego kolegi, niewiele młodszą odemnie, która wcale nieźle jak dotąd się prezentuje. Dźwigała niegdyś francuskiego posła, ale teraz ma artretyzmy, ledwie nogami włóczy, jest przytem zbudowana jak niedźwiedź, z zadem wyższym od przodu, tak że pod górę cwałuje z wielkim animuszem, o ile jej na to rozedma płuc pozwala, ale z góry, ani rusz inaczej, jak stępa nie schodzi. Nadrabiam miną i jadę na miejsce spotkania. P. Emilita Villavicenza (córka w arystokratycznych rodzinach zwie się zawsze inaczej niż ojciec), w czarnej amazonce, na angliczowanej klaczy pół krwi, w czarnym meloniku, ślicznie wygląda. Dotrzymuję jej towarzystwa, o ile jej





Główna ulica w Tangerze.



nadażyć mogę, ale młody podporucznik szkockiego pułku, który jest jej nieodstępnym towarzyszem, ma nademną wyższość w doskonałym koniu, który jej klaczy dotrzymuje kroku. Pasę się zawiścią a zarazem ich widokiem o  $\frac{1}{2}$  kilometra przedemną. Czystym trafem jestem obecny między pierwszymi, przy schwytaniu i zagryzieniu jedynego lisa, któregośmy tego dnia upolowali. Wracam na szkapie na śmierć zajędzonej i odsyłam ją wraz z listem dziękczynnym, który jest poniekąd nekrologiem przestarzałego rumaka. Dziś wystarałem się o bardzo dobrego konia, *et tout serait pour le mieux dans le meilleur des mondes*, gdyby nie ulewa, która budzi mnie już o  $4\frac{1}{2}$ . O 10-tej staję na miejscu spotkania pierwszy wraz z czerwonymi fagasami. Ale mimo słoty śliczna amazonka i p. Lur Ojeda (czytaj: Oheda) wraz z najzapaleńszymi myśliwymi ruszają w gumowych płaszczach na polowanie. Deszcz nieustannie ćwiczy; po pół godzinie nikt nie ma na sobie suchej nitki; grzązka droga zamienia się w moczary. Nawałnica jedna po drugiej spada na nas, o pościgu za lisem nawet mowy nie ma. O 1-szej zawracamy do domu we czwórkę; dwie panny, Anglik i ja; przed nami Arab z hiszpańskiego poselstwa. Nadjeżdżamy na potok, który tak wezbrał, mętną spienioną wodą, że przeprawa zdaje się trudna. Namysłamy się chwilę, w tem ktoś nadjeżdża z reszty towarzystwa, prze konia na wodę, zamaka wyżej kolan, ale dostaje się na drugi brzeg. Namysł nie prowadzi do niczego, przeprawić się trzeba. Z nas czworga wjeżdżam pierwszy; woda znosi mi konia, nie czuję wreszcie gruntu, zaczyna płynąć, potem tonąć, wody ma powyżej chrap. Ja zeskakuję w wodę, próbuję płynąć, wir mnie unosi, obraca, wreszcie dobijam do brzegu i gramolę się, trzymając ciągle konia za uzdę. Zmoknięci wydostajemy się na brzeg i otrząsamy się jak pudle. Wyławiam z wody pręt, ale jedno strzemień poszło na dno, tak, że oklep muszę wracać. Rzeczka nie szersza, jak rzeczka pod Zamościem podczas wielkich wód. Głupie panny śmieją się na tamtym





Studnia arabska w Tangerze.



brzegu i przejeżdżają po chwili powyżej, bez szwanku. Dojeżdżamy do domu zmoknięci, zmarznięci, zatrząskani błotem, ale w doskonałych humorach. P. Emilita wbiega na górę do siostry wołając: „*Jamais je n'ai été à une chasse si amusante, nous avons eu une frayeur... le comte St. a manqué se noyer*“. W czym było trochę przesady, bo wpadłem w jamę, a że brzeg był ślizki i stromy, prąd bardzo silny, więc cała rzecz nie trwała więcej, niż 2 minuty.

Wieczorem mieliśmy w poselstwie bardzo szykowny obiad, z którego wróciwszy piszę ten długi list. Jutro osobny statek odwozi do Gibraltaru konie, psy, jeźdźców i amazonki. To polowanie należy do rzadkich, a miłych epizodów urozmaicających tutejszą jednostajną egzystencję... Do kąpiel mam teraz — mimo niezwykłego zimna jak na tutejszy klimat — osobne szczęście, bo już przed kilku dniami próbowałem konia, który położył siebie i mnie w innej znów rzece. Bogu dzięki wszystko to jednak wychodzi mi na zdrowie.

.....

---

## II.

### PIGSTICKING.

(KARTKA Z WRAŻEŃ MYŚLIWSKICH).

**W**śród wielu odmian myśliwskiej zabawy nie masz może łowów bardziej ciekawych, urozmaiconych, zajmujących nad pigsticking — polowanie konne z lancami na dziki.

Nie najmniejszym jego powabem jest jego rzadkość. O ile mi wiadomo, sport ten znany jest i uprawiany tylko w Indjach wschodnich i w Maroku, gdzie sułtan oddał niedaleko Tangeru rezydującemu tamże ciału dyplomatycznemu obszar kilku czy kilkunastu tysięcy morgów na wyłączną rozrywkę i użytek w tym celu.

Czy w tej wielkopańskiej uprzejmości Jego Szeryfskiej Mości nie kryje się szczypta osobistego interesu? Czy w tym drobnym szczególe, tak jak w ważniejszych, nie łączy się i nie kojarzy pozorna dobroduszość z głęboką a nieuchwytną przebiegłością? Czy następca kordowańskich kalifów, obdarzając dyplomatów zagranicznych tym iście monarszym podarkiem, miał wyłącznie na myśli uprzyjemnienie im pobytu w swem państwie, czy też raczej chciał sobie przedewszystkiem zapewnić chwilę wytchnienia, wywabiając ich w gąszcz i knieje z dyplomatycznych i konsularnych kancelaryj, skąd go nękają roszczeniami i rokowaniami, które wypadają mu rzadko na korzyść, a nigdy po myśli? Oto pytania, które sobie stawia każdy, dłużej w kraju bawiący i mimowoli przesiąknięty ogólną atmosferą podejrzliwości i nieufności, by najskromniejszy nawet pionek w tutejszym *gioco del mondo*.

Odpowiedź na te pytania wkracza w dziedzinę polityki, a z tą rozstajemy się radośnie w bramach »Białego Tangeru«. Na dni kilka bierzemy z nią rozbrat zupełny, żeby poświęcić



się wyłącznie myśliwskim wrażeniom i zajęciom. Ciało dyplomatyczne powierzyło kierownictwo polowania Tent-Clubowi, założonemu — jak z naciskiem powtarzają statuta — »jedynie i wyłącznie w celach myśliwskich«. Kto zna choć pobieżnie pozaeuropejskie stosunki, dziwić się nie będzie, że w nim rej wodzą Anglicy; z nich składa się dyrekcyja i większość uczestników, oni stanowią o prawach, zwyczajach itd.

Na ten sezon wyznaczono trzy tygodnie polowania, jesienią, zimą i wiosną, z których pierwszy wypadł na 11. grudnia zeszłego roku. W wilię tego dnia, w niedzielę, wyruszyliśmy na miejsce zebrania: młody baron F. z Wiednia, p. S. z Hawanny i niżej podpisany z austriacko-węgierskiego poselstwa.

Około godziny 2-ej popołudniu siadamy na koń; jako przewodnik występuje służący Arab na mule objuczonymi ręcznymi tobołkami i pękiem włóczni, przytroczonych wpo-dłuż. Te włócznie są przedmiotem naszej osobliwej troskliwości.

Z bambusowej trzciny, z ołowianym ciężarkiem dla równowagi na jednym końcu i czworograniastym ostrzem z angielskiej stali w skórzanym pokrowcu, wyglądają jak cacka, a nie jak mordercza broń, jaką są w istocie. Spro-wadza się je aż z Indyj, bo tylko tamtejsze drzewa są dość lekkie dla niewprawnych rąk i tylko ostrza hartowane w Sheffield przebić zdołają bez nadmiernego wysiłku dziczą szczecinę — trzeba zaś zaopatrzyć się zawczasu w kilka spis do odmiany, bo wszakże nie w przenośni tylko mamy kruszyć kopie; a kruszą się one i pękają istotnie łatwo, i zastąpić ich w puszczy niepodobna.

Jedziemy wolno, dla oszczędzenia końskich sił naza-jutrz i na dni następne; więc też 16 mil angielskich (około 26 klm.), które dzielą Tangér od obozowiska w Hawara, dłużą się bez końca. Zaraz za miastem tracimy widok na morze i zapuszczamy się w głąb kraju, drogą — na której



nie dojrzysz kolei kół wozowych, dotąd jeszcze niemal w Maroku nieznanych — złożoną z kilku ścieżek, oznaczonych śladem kopyt końskich, mulich i oślich oraz wielbłądzich racic: juczne zwierzęta bowiem dźwigają tu na grzbiecie wszystko, co tylko przenieść można.

Odrazu rozczarowanie spotyka tego, kto chce mieć widoki nie takie, jak się przedstawiają w rzeczywistości, ale je sobie wyobrażał czy wymarzył.

Wędrujemy wśród obłych pagórków, pośród pastwisk pokrytych nikłą, pożółkłą trawą, którą skubią stada kudłatych owiec lub chude i nędzne byki płowej maści; po głazach i rumowiskach rozrzuconych gdzieniegdzie, wspinają się kozy. Tu i owdzie sterczy rzadka ścierni pożętej kukurydzy, obok czernieje świeżo poorana rola i zielenieje ruń wzeszłej oziminy.

— Ależ ten afrykański krajobraz możnaby bez zmiany przenieść do Czech lub Moraw — zauważa nie bez pewnej racy wiedeńczyk.

Zapewne — i bardziej jeszcze może do Galicji, niż na Morawy; a obdarci pastuchowie żebrzący o pieniądze i zapałki, licho sklecone chałupy, nadzwyczaj prymitywny zaprząg i pługi a raczej sochy, które napotykamy przy robocie, dopełniają podobieństwa.

Ale bo też słońce, to słońce, które tu bodaj bardziej niż gdziekolwiek daje barwom blask a kształtom wyrazistość, skryło się tego dnia — po raz pierwszy od miesiący — za obłoki, i w tem niezwyčajnem, szarem oświeceniu drzewa oliwne wyglądają jak wierzby, krzaki karłowatej palmy jak jałowce, kaktusy, aloesy jak nasze cierniaki. Za pierwszym promykiem słońca, północne te reminiscencye nikną bez śladu.

Droga wije się i kręci, ale jej końca nie widać; nasz Selam, na wszystkie pytania, pełne europejskiej niecierpliwości, odpowiada z muzułmańskim spokojem, że jeszcze daleko; siedzi na mule tutejszym obyczajem po damsku, czyli nogami zwieszonymi po jednej stronie i umyka równym,



szparkim krokiem tak szybko, że trzeba go nam od czasu do czasu cwałem doganiać.

Po trzechgodzinnej jeździe ukazują się na widnokręgu białe stożki namiotów i o zmierzchu stajemy w obozowisku.

Nikt, jak po inne lata, nie podążył tym razem na pigsticking swoim dworem z własnymi namiotami i kuchnią, więc tylko tangierskie hotele i nieodzowny *Cook*, podjęły się pomieszczenia i żywienia myśliwych. Służba czeka w namiotach rozbitych na pagórku; wśród krzaków i haszczów nie dojrzeć morza po ciemku, ale potężny, jednostajny szum fal jego poblizże zwiastuje. Konie, uwiązane do gałęzi lub splecione za przednie nogi, chrupią już jęczmień (owies tu nieznanym) w workach lub na ziemi; — przykryte derami, pod gołym niebem mają spędzić kilka dni i nocy.

Podczas obiadu zwykłą myśliwską rozmowę — w której przeszłość przedstawia się w formie wspomnień i anegdot, a przyszłość w postaci prognostyków i zawodnych zwykle przepowiedni — przerywa szelest deszczu, siekącego w płócienne ściany i dach polowej sali jadalnej; zasępią się oblicza i humory. Najdawniejsi uczestnicy łowów podejmują niewdzięczną rolę wróżbitów i obiecują po znakach, »widnych strzeleckiemu oku«, solennie pogodę nazajutrz; ale niedarmo żyjemy na schyłku najbardziej sceptycznego wieku, nikt wróżbitom ni wróżbom nie wierzy, które mają nam nieść pociechę stanowczo *trop tard dans un monde trop vieux*: te proactwa zdołają może odwrócić chmury i słońce od polowania, lecz nie wracają nam otuchy i swobody myśli na razie.

W tych posępnych zapatrywaniach utwierdza nas złowrogie świst wiatru i głuchy łoskot wzmagającej się ulewy, który nas do snu kołysze. Ale o dziwo! wbrew oczekiwaniom zapowiedź się spełnia. W poniedziałek — śliczny, słoneczny dzień rozwesela stroskanych i wątpiących.

O ósmej zrana na obozowym majdanie zbiera się łowiecka drużyna. Myśliwi w butach, ostrogach i grubych kabatach radzą i czekają rozkazów, służba przeprowadza



osiodłane konie, wypoczęte, raźnie parszkające i trzymają w pogotowiu lance, błyskające grotami do słońca. Ogary i białe charty, którym pomalowano — dla nadania im siły i wytrwałości — łapy, nosy, końce ogonów i podgardla żółtą barwiczką, tą samą, jaką kobiety zapuszczają włosy i paznokcie, skowyczą i rwą się na smyczy. Żaden z uczestników polowania nie ma na sobie broni palnej, surowo wzbronionej przepisami, za to naganka 50—60 Arabów, Berberów, Kabyłów uzbrojona w samopały, prochem nabite, z których nieustannie mają pukać.

Najwybitniejszą wśród nich postacią jest ich przewodnik Hadż Abdallah. Gruby jak tur, pleczysty, z brodą starannie wygoloną na podgardlu i wieńczącą cienkim pasem policzki i dolną szczękę, w krasnej bawełnianej mycce na ogromnym wygolonym łbie, w burej *czilawie* czyli bundzie z odwiniętym kapturem i w różowych hajdawerach z sajetu czy jedwabiu, z których wyglądają łydki wprost nieprawdopodobnych rozmiarów i nogi obute w żółte safianowe pantofle, siedzi w tureckiej kulbace na ogromnej również, białej mulicy, dla której nie pierwszą widocznie ta wyprawa i która przyzwyczajona snąć do tuszy i ciężaru swego jeźdźca, dźwiga go bez wysiłku, ale i bez wesołości, i zdaje się, jeżeli nie na wszystko gotowa, to na wszystko przygotowana i zrezygnowana. Przed rozpoczęciem akcji łąje on wszystkich, widocznie na zapas, tubalnym głosem wydaje rozkazy; niewyraźną wymowę, bo z całego uzębienia został mu tylko jeden ząb nieborak, uzupełnia żywa gestykulacja ręki, jak łapa niedźwiedzia i wskazującego palca, szerokiego na trzy palce zwyczajne, którym wyznacza kierunek.

Reszta naganki, to chłopcy i chłopcy, po większej części Berbery o dzikim wejrzeniu, smagłej, nieraz aż brunatnej cerze, czarnych, twardych jak szceć włosów i brodach, w burych i szarych czilawach, w przepaskach z postronków na głowie, sandałach na nogach i słomianych plecionkach na goleniach, dla ochrony od cierniów i kolców.



Nieuniknione dziś amatorskie aparaty fotograficzne chwytają na klisze ten barwny i jedyny w swoim rodzaju obraz, aż wreszcie naganiacze wsuwają się jeden po drugim w gąszcz, pod wodzą wciąż rozprawiającego i wymachującego rękoma Hadż Abdallaha.

Po chwili na nas również przychodzi kolej. — Dosiadamy koni, ten i ów podciąga popręgi, poprawia coś w rynsztunku; lance na komendę zwracają się ostrzem do góry i stępo ruszamy na stanowisko.

\* \* \*

Drużyna myśliwska składa się z dziewięciu uczestników. Przodem jedzie Mr P., dyrektor polowania, na karym koniu, białonózce, o szlachetnych kształtach, rasowej głowie i delikatnych uszkach, któremi strzyże nieustannie, z ogonem »jak fontanna«, utrzymanym i wyczesanym, jak tylko koń wojskowego wyczesany być może.

Mr P. w żółtych palonych butach i skórzanych białych spodniach, były pułkownik 15 pułku ułanów w Indyach Wschodnich, średniego wzrostu, krępy, barczysty, o szpakowatych włosach, orlim nosie i blado-niebieskich oczach, jest uosobieniem siły, energii i przedsiębiorczego ducha, zwróconego do rzeczy praktycznych. Żaden cień intelektualizmu, ani książkowych zajęć nie zamąca wspaniałej organizacji fizycznej tego pogromcy 44 tygrysów (z tych 4 *man-aeter'y*), panter, bawołów i innych jeszcze zwierząt, mających »kły, rogi, pazury«; że zaś ma być równocześnie najpierwszym graczem w polo na całą Wielką Brytanię, przedstawia typ człowieka, w którym sport dorósł bohaterskich wyzyn i stał się celem życia.

Dalej na siwym koniu, noszącym się wysoko i z fantazyą, jedzie wysmukły i wykwintny, o pańskich rysach, postawie i stroju Hon. H...; wygląda na wielkiego pana i jest nim w istocie, mimo braku herbu i tytułu, będąc młodszym synem angielskiego lorda, którego pałac w Londynie,



starą rodzinną siedzibę, poleca każdy Baedeker ciekawości podróźnych.

Dwaj bracia S... służą nam wszystkim za tłumaczy w znoszeniu się z Arabami, o ile ci nie mówią po hiszpańsku. Nietylko zresztą mową i znajomością języka stanowią oni łącznik między Europejczykami a miejscową ludnością; tu wychowani i zamieszkali zrośli się na długich wycieczkach myśliwskich z pojęciami, zwyczajami, trybem życia tubylców i przedstawiają ciekawy typ cywilizowanych ludzi, wracających poniekąd do stanu dzikości. Nikt nie przypuszczałby, widząc ich gwarzących za pan brat przy wieczornem ognisku z naganką lub uganiających w arabskiej czilawie, z krasną przepaską przewiazaną na kapturze, z prostym osikowym oszczepem w ręku, że to są synowie lady P... która wraz z mężem reprezentowała na dworach europejskich królową Wiktoryę i podczas wojny turecko-rosyjskiej grała zręcznie ukrytą, ale wybitną rolę polityczną. Matka pozostała ladylike, synowie zbliżają się do typu Afrykandrów, o których tak głośno tymi czasy. Na kształt jeźdźców są ich konie — skarogniade, rosłe, ogniste bachmaty, z rozwianą grzywą i rozwartemi chrapami, zaniedbane i na pozór ciężkie, ale wytrzymalsze i sprawniejsze od wszystkich naszych podjezdaków.

Na cienkiej, angliczowanej szkapie, kasztanowatej maści, drepce amerykański malarz, sam równie szczupły i drobny, z małą czarną bródką, w szkłach na czarnej tasiemce, założonej na ucho i z ogromnym notatnikiem, rozpierającym boczną kieszeń; przedmiot uszczypliwych uwag i żartów swych towarzyszy, a jednak zapalony i doświadczony myśliwy, który też — jeden z nielicznych — mógł poszczycić się pod koniec polowania zboczoną laną i skłóty warchlakiem.

Na niepokąźnym dereszku jedzie z kolei starszy już jegomość, suchy, łysy, na pół po miejsku ubrany w kubrak tego samego koloru co maść jego wierzchowca, siedzi na nim nie bardzo pewnie i niezręcznie z laną sobie poczyna — jest to urzędnik z londyńskiego Stock-exchange a jak powa-



źnie i sumiennie musi w biurze pracować, tak poważnie i sumiennie oddaje się narodowej namiętności do sportu.

Z reszty uczestników w Pigsticking'u nikt nie należy do anglo-saskiej rasy.

Baron F... wysoki o jasnych włosach, niebieskich oczach, garbatym nosie i gładko wygolonem obliczu przedstawia doskonale moralny i fizyczny typ *Cavalier'a*; nieśmiały, nieco sztywny, nadzwyczaj we wszystkich szczegółach *correct* i bardzo dbały o tę poprawność, jest trochę pod urokiem angielszczyzny, nie przekracza jednak w swej anglomanii granic śmieszności; po sposobie w jakim siedzi w siodle i zażywa swego gniadego najemnego mierzynka — pozbawionego indywidualności, jak wszystko co z rąk do rąk nieustannie przechodzi — natychmiast poznać można rezerwowego oficera austriackiej kawalerii.

Henryk S... Hiszpan jest przepysznym okazem południowej piękności męskiej: gibki i kształtny, o posągowych rysach i postaci, w narodowym kapeluszu z szerokim krawatem; najmniej może z nas wszystkich biegły w jeździe konnej, ratuje się w trudnych okolicznościach z niedbałym wdziękiem sobie właściwym i na oślep, ale z fantazyą przeskakuje przeszkody i cwałuje po wertepach na doskonałym jabłkowatym wałachu, którego równie jak siebie samego nie oszczędza.

Zamyka wreszcie pochod niżej podpisany na karym ogierze bez odmiany; choć już przywykły do obcych stron i ludzi przecież tym razem nieco osamotniony, przynajmniej duchowo, w tem dla Polaka bądź co bądź niezwykłym towarzystwie i otoczeniu.

Polowanie w głównych zarysach odbywa się podobnie jak u nas. Obszar przeznaczony na łowy podzielono na dwa mioty, które przepędza naganka, posuwająca się jednym rzędem; myśliwi ustawieni na czole lub na flankach, pilnują wzrokiem i słuchem i mają rozkaz nie puszczać się za zwierzem przed siebie, ale wyczekać, aż wyjdzie z miotu i gnać



go po za siebie. Na razie trzeba stać cicho i o ile możności w ukryciu, żeby dzika zdaleka nie spłoszyć, za nadejściem naganiaczy z wolna przed nimi postępować: rozkaz łatwiejszy do wydania niż do spełnienia.

Konie zwłaszcza młode, nie chcą ustać w miejscu, kręcą się, przestępują z nogi na nogę, oganiają się od much, co chwila wyczierają z ukrycia ku wielkiej niecierpliwości myśliwego, upatrującego z wyteżoną uwagą zwierzyny.

Z płaskowzgórza, na którym stoimy, roztacza się widok wspaniały.

Ziemia usłana krzakami karłowatej palmy, której palczaste liście, twarde i ostre, jeżą się nakształt tysiąca sztyletów; kałuże po wczorajszym deszczu, chlupocą pod kopytami końskimi i odświeżają nieledwie w okamgnieniu pozółtkłą i poszarzałą roślinność po kilkumiesięcznej posusze. Przed nami zwarty gąszcz mirtowych krzewów, oraz innych odmian, które mi nazwać niepodobna, służy za schronienie dzikom i ciągnie się z pagórka na pagórek po falistym terenie, aż hen do krańców widnokregu, który zamykają błękitniejące w dali góry Małego Atlasu, w kilku wyraźnie zarysowanych pasmach.

Za nami o jakie dwie staje, wzgórze się kończy i w stromych urwiskach, po skałach i głazach zbiega do piaszczystego wybrzeża, za którym szumi i przewala się Atlantyckie.

W porannem słońcu barwi się on w dwa odcienia — daleko, tam, gdzie morska toń z niebieskim stropem się styka, świeci fioletem biskupim — bliżej nas stroi się w zieloną szatę, tak zieloną, jakim bywa nasz Dunajec w pogodne dni wrześniowe; wreszcie nad brzegiem snuje się szeroki pas mlecznej piany, jak kosztowne gronostaje na kraju monarszego płaszcza.

Wszystkie wysiłki artystycznych wyobraźni dla uosobienia nieokiełznanej potęgi, która tu się przed naszym wzrokiem roztacza, od posągów przedstawiających starożytnego Posejdoną aż do obrazów Bücklina, przechodzą przez myśl na



widok tej fali, którą się rytmicznie wznosi na horyzoncie, mieni się ametystem i szmaragdem — uderza z głuchym łoskotem i zamiera w rąbku piany.

Są wybrzeża, zwłaszcza nad morzem Śródziemnem, gdzie modra roztocz lekką pieszczotą obejmuje ląd i w ci-  
chym przypływie zarzuca nań giętke rośliny wodne, niby  
kosmyki płowych warkoczy — nie tak Ocean. On nawet  
w ten pogodny słoneczny poranek bryzga szumowinami  
i tłucze wałem spiętrzonych odmętów na milowej przestrzeni  
w kamienny zrab brzegu. To nie złotowłosa Najada, ale  
olbrzym i ojciec wód, władca wichrów, mocen uciszyć je  
lub rozpętać jednym: *Quos ego...*

Odwieczna walka między ruchliwą burzliwością mor-  
skich wirów i głębin, i obojętnym, biernym odporem nie-  
wzruszonych posad stałego lądu, toczy się bez świadków —  
żaden ślad ludzkiej pracy, żadna budowla, żaden żagiel na  
morzu nie dowodzi opanowania przez umarłe czy żyjące  
pokolenia tej prastarej ziemi. A jednak wzdłuż tych brzegów  
musiały płynąć fenickie i kartagińskie korabie, w tych stro-  
nach stać musiały punickie i rzymskie wojskowe stannice  
i handlowe siedziby. Widocznie wiatr wiejący od Sahary,  
musiał zasuć zapomnieniem jak piaskiem pustynnym szczątki  
ludzkich wysiłków, cierpień i zdobyczy. Żeby ożywić ten  
bezduszny krajobraz, technąć w niego ducha, trzeba się cofnąć  
w przeddziejowy okres baśni, po za historyczne wieki.

Tutaj, za czasów kiedy ten kraj nie nazywał się jeszcze  
nietylko Marokiem, ale nawet Maurytanią Tingitana, mieściły  
mitologiczne podania, olbrzymia dźwigającego na barkach  
sklep niebieski; z tych wierzeń i poetycznych fikcyj nie  
zostało, prócz wspomnienia i nazwy gór, ale niezmieniona  
postać rzeczy przywodzi na pamięć wokół nich jak powój  
pnące się legendy. I to, co było kamieniem węgielnym wiary  
w nadprzyrodzony porządek świata i wiedzy o jego natural-  
nym ustroju, służy dziś za ledwie za igraszkę przelotnej myśli.



Uroczego nastroju nie mać żaden hałas; gromadka brodatych kóz zbliża się i przygląda ciekawie niezwykłemu widowisku, jakim jest dla niej jeździec i wierzchowiec; w dali świecą z zielonych klombów jak jarzące gromnice, płomyki stalowych grotów; czasem parsknie z cicha koń, przyczajony w ukryciu.

Dumania przerywa nagle pytanie, które każdy nowicusz sobie zadać musi:

Jeżeli nagle wychynie się z gęstwy dzik, jak pędzić za nim po tym terenie, po którym konie w stępie z taką przezornością stąpają?

Istotnie pod palmami i rozlicznem krzewiem, sięgającym po brzuchy końskie, kryją się wykroty, jamy, szczeliny, rumowisko, sterczą kamienie, a na tych kamieniach — jak w krakowiaku — jeszcze inne kamienie; wszystko na równi nietylko pochyłej, ale miejscami stromej niebezpiecznie; każda z tych przeszkód tem groźniejsza, że po części niewidzialna, może przyprawić konia i jeźdźca w najlepszym razie o ciężkie potłuczenie. Pocieszającą odpowiedzią są opowiadania, których bywalcy nie szczędzą o Angliku, co w roku Pańskim tym a tym zabił się na miejscu; o tym lub owym uczestniku polowania, którego przeniesiono do Tangeru na noszach z pękniętą czaszką, o amazonkach, które wylatywały z sodeł jak z procy i padały przez elewację w gałęzie drzew i t. d. — Nie omieszkuj też dodać, że trudny teren nie stanowi jedyne niebezpieczeństwa, że gorszymi od niego wrogami publicznego bezpieczeństwa są ci zapaleńcy, którzy w pogoni za dzikiem, niewprawną ręką kłują nie dzika, ale towarzyszy.

Na razie trudno się naocznie przekonać o prawdziwości tych gadek, bo zwierzyny jakoś nie widać. Cisza ustąpiła głuchemu pomrukowi naganki, pomruk przemienia się w krzyk, gwizd, hałas, nawoływania, palbę janczarek. Zdaleka przysięgłbyś, że to nasze Mazury piszcza, wyją, hałasują i »terkają« po gałęziach.



Niestety, wszystko na próżno, dzików niema, czy wyniosły się bokami, czy też przebiły przez nagankę wstecz.

. . . . . Różnie powiadano o tem,  
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem.

Drugi miot równie niefortunnie się zapowiada. W tem dyrektor polowania prostuje się w siodle, miele w zębach niewyraźne przekleństwa i porusza się, jak strzała w tył, nie pytając o innych. Nie dzika jednak on dostrzegł, ale kłusownika, który zastawiał sidła, czy też na upatrzonogo z rusznicą czatował. Po chwili wraca wraz z delikwentem — rozmowa między nimi była niepodobna, bo jeden umie tylko po angielsku, drugi tylko po arabsku, ale wyraźne, a nawet dotkliwe *argumentum ad hominem* drzewcem po plecach starczyło za wszystkie wywody. I kłusują samowtór przed całą linią myśliwych, Arab potulnie na mule, Anglik groźnie na spienionym rumaku.

Mnie ten epizod bawi, przypominając mi niejedno polowanie, na którym ukradziona i odebrana naręczka chrustu stanowiła jedyne łowieckie trofea w bezwierzynnej, dobrze mi znanej okolicy. Usypiające zajęcie budzi widok kilku jeźdźców, cwałujących, co koń wyskoczy po skłonie pagórka — dzika nie widać i wkrótce myśliwi zniknęli z oczu, ukazując się wreszcie po długiej gonitwie zziązani i posepni, na koniach z bokami pokrwawionymi od ostróg i cierni... bez łupu; zanim do niego dotarli, zwierz dopadł moczarów, na których konie poczęły ustawać, i wskoczył w gąszcz, gdzie już nawet psy wytropić go nie zdołają.

Popołudniu wiedzie nam się nie lepiej, wszystkie obroty, marsze i kontrmarsze pozostają bez skutku, dzików jak niema, tak niema. Z góry zjechaliśmy nad morze i polujemy w terenie dziwnie do naszych kęp podobnym, tylko zamiast wierzb i wikliny ciągle mirtowe klomby, palmowe krzaki i pnie korkowych dębów tworzą przed nami i wokół nas zapory, przez które nieustannie jak kozom skakać nam trzeba.



Wieczorem po obiedzie nieuniknione wywody i rozmowane domysły o braku zwierzyny; jedni twierdzą, że winna temu posucha, inni, że właściwie deszcz ostatni — wszyscy narzekają na kłusowników i bez mała gotowi domagać się straży leśnej i stosowania paragrafów nieistniejących ustaw ochronnych, ten i ów półgębkiem krytykuje kierownictwo. Jednem słowem *tout comme chez nous*. Wątek rozmowy urywa się o godzinie 8 wieczór i wobec smutnej terażniejszości przenosi się myśl w dziedzinę wspomnień. Brak amazonek odjął orszakowi łowieckiemu najpoważniejszą ozdobę; one też tylko umiały najpiękniejszą ze sztuk pięknych, według określenia Renana — niewieścią zalotnością, zmienić namioty w salony i przy obozowych ogniskach zastąpić myśliwskie wrażenia światowemi wzruszeniami.

Brakuje zwłaszcza księstwa \*\*\* z Tangeru, gdzie on na kilka zawodów w hiszpańskim poselstwie urzędował; nie opuszczali żadnej obławy na dziki, a ona, żegnając się niejako z rozrywkami i zajęciami światowemi, przyznawała z żalem, że ze wszystkich zabaw i uciech wielkopańskich niczego nie żałuje, oprócz marokańskiego pigstickingu.

Znani i lubieni są oboje w dyplomatycznych salonach i wielkoświatowych zebraniach highslife'u w Londynie, Madrycie, Wiedniu i mniej więcej we wszystkich stolicach — on, spadkobierca jednego z pierwszych nazwisk i najstarszej grandezzy hiszpańskiej, i ona, złotowłosa córka Albionu, zgrabna i lekka jak motyl, doskonała i aż do zuchwałości śmiała amazonka. Celowali we wszystkich sportach i błyszczeli wszystkiemi towarzyskiemi zaletami i jak Rolla byli

*grand seigneur tel que Dieu l'avait fait,*

bo i oni niestety nie praktykowali w szkole Podfilipskiego, nie »umieli życia sobie urządzić« — i dziś on, w nasze utylitarne czasy jak w sieć zapędzony, spóźniony typ wielkiego pana w stylu ks. Ligne, pokutuje gdzieś w Mozambiku za brak kupieckiego wyrachowania; ona w sewilskim



pałacu kryje niedostatek w zbyt kownem otoczeniu. Naprawdę, i ten epizod także przypomina mi nasze strony i stosunki... »Na księżyc wróćmy, bo mi smutno« — mówi Dantyszek Piast herbu Leliwa.

\* \* \*

Nazajutrz dzień spoczynku dla naganki i koni. Ci, co mają świeże konie do odmiany, szczują hartami zające, inni wybierają się ze strzelbami na krzyki. — Brnąc po kolana w bagnie, wśród wielkiego hałasu o nic, mam sposobność przekonania się, że t. zw. sokoli wzrok dzikich trzeba między bajki włożyć. Analfabeta z karpackich gór, tak samo jak ów z Atlasu, gorzej i na krótszą odległość widzi, gdzie ptactwo zapadło lub postrzelone i t. d., niż n. p. ten giełdziarz londyński, który życie strawił nad rachunkami. — Przy śniadaniu brakuje F., który w galopie za psami nie dopatrzył się króliczej jamy, spadł z konia i dosyć dotkliwie się potłukł.

Wieczorem ożywia zebranie obecność Hadż Abdallacha; po natarczywych prośbach raczył zjawić się wśród nas, zjada daktyle, popija czarną kawę i prawi fraszki w rodzaju Reja, czy Rabelais'a. — Ten Arab o powierzchowności Falstaffa albo Zagłoby ma też ich swadę i rubaszną jowialność. Opowiada on przygody różnych sekretarzy i *attachés*, którzy przesunęli się przez Tanger i brali udział w pigsticking'u. Mówi po arabsku, ale bracia S. w lot tłómaczą na angielszczyznę te dykteryjki, a żywa giestykulacya i gra fizyognomii dodaje im dosadności i samorodnej *vis comica*. Nie oszczędza on w nich Niemców, ani Francuzów, a tylko Anglików uszczypliwymi żarty nie ośmiesza, ale bo też polityka zajrzała do namiotu wraz z tym pociesnym personatem — zamiłowanie sportów zbliżyło go już przed wielu laty do długoletniego posła sir Drumond Hay i jest pod opieką, a nawet podobno poddanym rządu królowej Wiktorji. Jak przystało na obywatela W. Brytanii i godnego »kompaniona« w rodzaju



szekspirowskiej i sienkiewiczowskiej kreacyi nie gardzi on, mimo zakazów koranu, pełną szklanicą, ale wobec zbliżającego się Ramadanu zdobywa się na niezwykłą wstrzeмиęźliwość i z żalem, ale stanowczo odpycha ofiarowany kieliszek whisky, przestając na hawańskiem cygarze.

\* \* \*

We środę rano polujemy dalej z tem samem zawsze powodzeniem. Drobny, przenikliwy deszczyk raz jeszcze przywodzi mi na pamięć ojczyście strony. Nie trzeba jechać tam, gdzie pieprz rośnie, żeby godzinami moknąć na stanowisku i za nadejściem naganki dowiedzieć się, że było sześć dzików w miocie, ale że »wykpiły« się bokiem — tylko szakal pomykający jak lis między krzakami, przypomina mi, że nie nad Dunajcem wypadło mi na próżno wytrzeszczać oczy.

Wreszcie po dłuższem oczekiwaniu widzę, że mój sąsiad rusza co koń wyskoczy, krzycząc w niebogłoty. O jakie tysiąc kroków sunie dzik, a za nim kilku jeźdźców; pochyleni naprzód, z włóczniami w pół ucha końskiego, bodą ostrogami konia, chcąc dopędzić zwierza, który już wysokich gąszczy dobiega. Przedemną także miga na chwilę najeżona sierść na dziczym grzbiecie, ale ginie natychmiast w gęstwini i tylko po ruchu gałęzi mogę się w pogoni kierować. Mój koń wskakuje w sam środek mirtowego klombu, z którego wydostać się mogę dopiero po dłuższym czasie — oczywiście tracę ślad zwierza, który był nie dalej odemnie jak na dwie długości kopii. W pogoni straciłem z oczu towarzyszy, i co gorzej kierunek, w którym posuwać się wypada; spieniony koń robi bokami i trzeba zwolnić kroku, ale ten niezbędny wypoczynek oddala mnie jeszcze bardziej od reszty myśliwych tak, że mi błędzić po kniei przychodzi. Szczęściem psy zziajane i pokrwawione od cierni i kolców wskazują mi drogę. Złączywszy się z resztą myśliwych dowiaduję się, że dwa niewielkie warchlaki padły jedynie w tej niefortunnej pogoni.



Pod wieczór wiatr wiejący od morza przeistacza się z wolna w burzę — deszcz ustał, ale wiatr wzmaga się nieustannie, listu pisanego do domu niepodobna dokończyć, kartki, sznury i żaglowe płótna namiotów skrzypią i trzeszczą złowrogo. W nocy budzi mnie ze snu nagle uczucie zimna w nogach, to polowa żelazna umywalnia, którą wiatr wraz z pełną miednicą na łóżko mi rzuca; po chwili z brzękiem stłuczonego szkła obala się inny jeszcze sprzęt — stolik wraz z zegarkiem, świecą, zapalkami, szklami, nabojami i t. d.

Rozpacz mnie ogarnia tem bardziej, że wichur powyrwywał kołki, przedarł się do wnętrza namiotu i że lada chwila gruby maszt, na którym płótno rozpięte może mi upaść na głowę. Wołania o pomoc na nic się nie przydają, bo i tak cała służba przytrzymuje powrozy, zanim zdoła ktoś nowe kołki wyciosać i wbić w ziemię; — to intermezzo trwa półtorej godziny.

Ostatni dzień polowania dopiero nad samym wieczorem przyniósł nam upragnioną zdobycz. Poranek i popołudnie spędziliśmy w lesie korkowych dębów, obdartych z kory i uschłych po części, gdzie pełno wykrotów i sterczących pni, wśród których galop musiałby być stosunkowo łatwiejszy, ale stokroć bardziej niebezpieczny, niż na niełatwym przecież terenie dni poprzednich. Dopiero na grzęzkiej łące na skraju lasu wyspały się dziki i tu trzeba było widzieć, jak Hadż Abdallah, ta beccka małmazyi *this bed-presser, this horse-back-breaker, this huge hill of flesh*, żeby użyć falstaffowskich określeń, przesiadłszy się na siwego konia o stalowych isticie nogach i krzyżach, z oszczepem w rękę wyprzedził nas wszystkich, pierwszy dopadł dzika i potężnem pchnięciem przygwoździł go do ziemi; wraz otoczyli go inni jeźdźcy; zwierz skłuty kilku lancami kwiczy przeraźliwie, rzuca się jeszcze w przedśmiertelnym podrzutach i pada bez życia. Na drugim końcu polany rusza znów naganka odyńca, konie puszczone w cwał doganiają go, ale on kluczy jak szarak, pod kątem prostym zmienia kierunek, myśliwi



z trudem hamują rozbiegane konie, w tem bracia S. biorą go w obroty, niby harty i równocześnie z dwóch stron wbijają oszczyepy po drzewce — ranny śmiertelnie odyniec kręci się przez chwilę w kółko, obracając jak w kieracie tkwiącemi w sobie włóczniami i wali się wreszcie na ziemię.

Aż do zmierzchu trwa gonitwa za coraz to nowymi dzikami, które z gąszczu wypadają na otwarte pola, ale konie, wyczerpane galopem na śliskim i rozmokłym gruncie, ustają; niżej podpisanemu w ten sposób umyka pewny niemal łup i zaszczyt »pierwszej włóczni«.

W niespełna dwie godziny zabito 5 sztuk, które wynagrodziły nam sownie wszystkie trudy i zniechęcające niepowodzenia poprzednie.

\* \* \*

Nazajutrz wracamy na pomęczonych szkapach do Tangeru. Po kilkugodzinnej jeździe widnieją na horyzoncie białe mury miasta, podobne, jak ktoś z myśliwskiej drużyny zauważa, do bielizny rozwieszanej na sznurach do słońca.

— Czuję się tu już bliżej swoich — mówi Hiszpan — sprzykrzyła mi się nieustanna rozmowa angielska, gdybym dłużej po hiszpańsku nie słyszał, zapomniałbym ojczystego języka.

Ten żart może innych rozśmieszać, mnie do smutnych rozmyślań pobudza. Hiszpan odnajdzie rodaków, Wiedeńczyk za chwilę rozmówi się po niemiecku, Anglicy na polowaniu, w mieście czy na morzu odbierają swoje dzienniki, mówią niemal wyłącznie swoim językiem, żyją swoim życiem — ja tylko jeden od pół roku dźwięku rodzinnej mowy nie słyszałem i w Tangerze oczekiwać mogę tylko listu od rodziny i kilku numerów *Czasu*.

Anglicy tak ogólnie podziwiani dla swej przedsiębiorczości, nie wiedzą właściwie, co znaczy naprawdę rzucić czy opuścić swój kraj — czem jest rozłąka z wszystkim co swoje i co za rzewne i tęskne uczucie wiąże Polaka na



obczyźnie z ojczyzną, której ślad tkwi tylko w wspomnieniu, o której się pamięta tem żywiej, że jej nie nie przypomina i która jest tylko »krajem lat dziecińczych«.

I jako jedyną pociechę w tym względzie wertuję naszych emigracyjnych poetów, których melancholię teraz lepiej niż dawniej rozumiem, odczytuję ostatnie dwa emigracyjne poematy *Latarnika* i *Starca z Maripozy* i czasem zadaję sobie pytanie, czy i ja nie stanę się »głuchy w domu ojców moich«.

Ale na cóż wzniecać niewczesne obawy i wywoływać posępne zmyły, czemu kończyć małoduszny rozdzwiękiem! Czyż nie lepiej z cicha nuć najślawniejszą i najbardziej optymistyczną z emigracyjnych pieśni, mazurek Dąbrowskiego kończyć życzeniem powrotu po marokańskim *pigstickingu*, do łowów w naszych kniejach na nasze dziki?

---

### III.

## WOKOŁO SŁUPÓW HERKULESA.

Quando venimmo a quelle foce stretta  
Ov' Ercole segnò li suoi riguardi  
Acciò che l'uom più oltre non si metta.  
Inferno C. XXVI 107—109.

**N**a starym hiszpańskim herbie, którym pieczętowali się katolicy monarchowie za najświetniejszych czasów Kastylii i Aragonu, widniały na dwóch półkółach dwa słupy, na wstędze zaś przewiązującej owe słupy czytało się dumną dewizę: *Plus ultra*, »Dalej, coraz dalej«!

Na przełomie średnich wieków i nowożytnej doby dziejowej poczuła ludzkość w pełni sił a także młodzieńczej wiary w siebie i w przyszłość, że granice, w których przeżyła dzieciństwo i szkolne niejako lata, za ciasne będą dla organizmu dorosłego. Świat homeryczny taki uroczy i tchnący świeżością, sięgał zaledwie od Azyi Mniejszej po Sycylię. Na tej niewielkiej przestrzeni kwitły po wyspach Archipelagu białogłowy jak kwiaty i kosiła śmierć bohaterów, niby kłosa, pod murami Ilionu. Następnie zawładnął człowiek całym pomorzem od Taurydy po Numidię od Sali po Egipt. Z mgły nieświadomości i zabobonnego strachu otaczającego zamieszkałą ziemię wyłaniały się jedynie mitologiczne postaci Prometeusza przykutego do skał Kaukazkich i Atlasa dźwigającego strop niebieski. Instynktownie może zdawali sobie Rzymianie z tego sprawę, że odkrycia na zachodzie przesunęłyby środek ciężkości światowładnego ich państwa z Italii gdzieś na Iberyjski chyba półwysep, nie kwapili się też z wyprawami w tym kierunku, lecz rozpowszechniali snąc gadkę że nietylko niepodobna, lecz nie warto i nie należy po za Gades wyglądać. Tradycję tę przejęli Włosi od starożytnych:

»Acciò che l'uom più oltre non si mette«.



I minęło wieków piętnaście, aż z gibraltarskiej cieśniny, z pomiędzy tych Herkulesowych słupów, które wielki florencki poeta uważa za nieprzebyte krańce ziemi, wypłynęły hiszpańskie korabie na podbój nowych światów.

Dziś po czterech z górą wiekach krzewią się państwa, kwitnie cywilizacya, dojrzewają owoce ludzkiej myśli i pracy więcej i bujniej na wybrzeżach północnego Atlantyku, niż nad morzem Śródziemnem.

Co więcej, mnożą się przepowiednie i przewidywania upatrujące krainę przyszłości nad brzegiem Oceanu Spokojnego; tam jak twierdzą liczni nowocześni wróżbici będzie bić niebawem najsilniejsze tętno nowego życia, kiedy Europa krzepnąć pocznie. W Japonii i Kalifornii, w Kanadzie i Syberyi będą ponoć rodzić się, rósć i rozwijać dzielni ludzie, śmiałe pomysły i wiekopomne dzieła, kiedy stara nasza i wyczerpana ziemia będzie tulić do wyschłych piersi skarłowaciałe pokolenia do życia niezdolne i na śmierć przedwczesną skazane.

Czy naszą ojczyznę w światowem, to znaczy olbrzymiem tego słowa pojęciu, istotnie czeka los Mezopotamii i Azji Mniejszej za dni naszych? czy ta Europa, którą swego czasu uwiódł i porwał Zeus przybrawszy postać byka, a która po burzliwej młodości spełniała wzorowo przez długie stulecia obowiązki rodzicielki i karmicielki, będzie już wkrótce tylko zgrzybiałą staruszką, tylko cieniem i wspomnieniem siebie samej? — niewiadomo i narazie nie w tem rzecz; nie masz zresztą niewdzięczniejszego zawodu niż proroczy, bo tylko fałszywe prorocstwa są mile przyjęte przez współczesnych, prawdziwe zaś budzą odrazę i niechęć taką, że dały się nieraz we znaki samym jasnowidzącym.

Jakkolwiekbyż godnemi uwagi i ciekawości są te wrota niewidzialne osadzone, jak na zawiasach, między Gibraltarem a Ceutą, które stanowiły tak długo rzeczywistą zaporę dla okrętów i żeglarzy pochodzących z morza Śródziemnego. Ciekawe zwłaszcza te góry dwie na krawędziach dwóch



części świata, które swym kształtem nastroczały od najdawniejszych czasów trafne porównania do napróżników.

Owa brama zamknięta na Atlantyk nie stanowiła przeszkody komunikacji między sąsiednimi lądami: najwęższemu nawet czołenkiem i naprędce skleconą tratwą łatwo było zawsze przepłynąć tych kilkanaście mil morskich, czyli kilka zaledwie naszych, między Hiszpanią i Afryką lub napowrót. To też zaborcze wyprawy przebywały tam i samą odnogą morską: kartagińskie zaciężne hufce rozpostarły punickie rządy i wpływy aż po Sagunt; tą samą Hanibalową drogą poszedł i Juliusz Cezar po palmę ostatniego zwycięstwa nad stronnictwem i legionami Pompejusowych synów; wandalskie hordy wtargnęły daleko po za ojczyznę św. Augustyna i założyły na pustynnym piasku ulotne królestwa; saraceńskie wreszcie zastępy na tabunnych rumakach podbiły za pierwszym natarciem cały kraj, od wzgórz Andaluzji po turnie pirenejskie — ich napór pękł dopiero pod uderzeniem Karola Młota a powrotna fala dziejowa poniosła już znowu za góry Karola Wielkiego i Rolanda na zaczepną wojnę z pohańcem.

Taki przypływ i odpływ zbrojnych szyków niby fal morskich ustał po roku 1492 od kiedy »w gruzach legły Maurów posady« a wielki Genuńczyk zarzucił kotwicę u wybrzeża Indji Zachodnich. Odtąd brakło już sąsiednim a wrogim sobie narodom potrzebnej prężności, by nastawać nawzajem na swoje dzierżawy; państwowe organizmy stężały i zaskorupiły się poniekąd w przyrodzonych granicach. Niefortunne najazdy chrześcijańskiego rycerstwa na marokański sułtanat kończyły się raz po raz klęską.

Hiszpańskie siły żywotne i nieprzebrane — jak na owe czasy — zasoby państwowe poszły bowiem wówczas, po wygaśnięciu rodzimego domu panującego, lat dwieście na usługę polityki dynastycznej, która nigdy i nigdzie narodową być nie musiała, a była samą rodzinną tylko, czyli na spekulacjach spadkowych i kombinacjach posagowych opartą,



pogardzała potęgą jednolitości uosobioną w Burbonach — jak za dni naszych w Hohenzollernach — lecz nie tej żywołowej mocy przeciwstawić nie zdołała. Spadkobiercy zaś kordowańskich kalifów poszli wraz z swymi poddanymi gnusnieć, martwieć i marnieć.

Platoniczna nienawiść zachwaściła pola bitew zorane pociskami, przesiąkłe waleczną krwią, umajone jaskrawem kwieciem bohaterstwa.

Wśród tłumu okrętowych flag przepływających nieustannie Gibraltarską cieśninę próżno szukałbyś proporca, pod którym ruszył na wyprawę krzyżową książę Niezlomny.

W umarłą, czy obumarłą dziedzinę zapuszcza się ten, komu droga wypadła wzdłuż dzikich, skalistych, poszarpanych wybrzeży, na których gdzieniegdzie sterczą opustoszałe baszty i wyszczerbione mury obronne.

Żadna pieśń epiczna nie uplotła wieńca z podań i legend, które jak wszędzie kwitły zapewne i pachniały tam, na ziemi wielkich poświęceń, płomiennych zapałów, zuchwałych wycieczek na ochotnika i wybujałych postaci; nikt nie uwinął w liść poetycznego aloesu wspomnienia o rycerskich czasach i ludziach, więc ta cudna flora uwiędła, a młodość tych krain minęła, nie zawiązawszy się w owoc, nie zapisawszy się w żywej pamięci następnych pokoleń, bo historya rzeźbi pomniki i układa napisy na nagrobkach, ale jedyna tylko Kalliope, nie zaś Klio — ma pigmalionową moc ożywiania marmurowych czy spiżowych kształtów.

Lecz błądziłby ten, kto by za przykładem Epimeteusza odwracał uporcezywie oczy od terażniejszości i wpatrywał się wyłącznie w ubiegłą przeszłość, choćby najpowabniejszą. Urojoną i dlatego właśnie tak nieprzepartą bramę, osadzoną i przytwierdzoną do Herkulesowych słupów wysadził nakształt petardy — zaborczy pęd rozwiemożnionej u zenitu hiszpańskiej siły życiowej; dziś ożywcze prądy innemi arteryami nurtują, wokoło otwartych na oścież wierzei nie pleni się życie już tak bujnie jak ongi; z samego obramienia



Gibraltar.



zostały tylko ułamki, ale i one jeszcze wzbudzają podziw dla budowy takiej, jaką tylko dziecinna wyobraźnia pierwotnych ludów wznieść i zasklepić zdołała.

Kiedy wypłynąwszy z Marsylii traci się z oczu ogromny złocony posąg Matki Boskiej z Dzieciątkiem na wieży Notre Dame de la Garde panującej nad miastem i zatoką, sunie statek jak delfin ku katalońskim brzegom i płynie już do nich równolegle tak, że do woli można się im napatrzeć podczas kilkudniowej podróży.

Nie nęca one niczem wzroku, ani mu są uciechą: nagie zębra kamiennych pasm górskich, огоłocone z roślinności, rude jak płowiejące amarantowe adamaszki, zamykają niby kotarą widok.

Białe miściny i rybackie osady przylegają tu i owdzie do spadzistych uboczy jak kępki szarotek rozwijających się na załamaniach spiętrzonych głazów.

Bywalczy pokazuja »stół« i »udo Rolanda« czyli górskie farmace, których podobieństwa z domowym sprzętem albo z jakąkolwiek częścią ciała ludzkiego dostrzedz trudno, ale które świadczą o niewygasłym wspomnieniu siostrzeńca i druha wielkiego cesarza.

Nawet Andaluzya, od Malagi począwszy, nie uśmiecha się do przybysza. Ojczyzna tak jak naród hiszpański, jest na pierwszy rzut oka nieprzystępna, ponura i w sobie zamknięta.

Ogromny, niebotyczny ostrów wpoprzek morza zwężającego się w cieśninę — bo z za oparów już majaczej szczyty afrykańskie — zda się zagradzać dalszą drogę i przypominać przytoczoną powyżej dantejską przestrożę. Trzeba go opłynąć: to Gibraltar.

Przyrodnicy zauważyli nie od dzisiaj, że stworzenia żyjące w wyjątkowo trudnych warunkach, z łupu albo w nieustannym strachu i ciągłej ucieczce, upodabniają się do otoczenia, w którym żyją.



Kameleon barwę zmienia stosownie do gałęzi na której przebywa; lew polujący na gazy i gazy chroniące się przed nim są niemal tej samej maści, płowe jak rozpalone kamienie pustyni; tygrys bengalski ma sierść białawą w sine pręgi jak bambusowe sitowie dżungli, gdzie ma swoje komysze; polski lis, jak zauważył trafnie jeden z najlepszych naszych myśliwych, ma w brzozowych lasach futerko nakrapiane w białe płatki, w szpilkowych zaś borach stroi się w szubę, której odróżnić nie łatwo od jednolitego tła sosnowych pni rudawą korą porośłych.

Miasto przyczajone do angielskiej skały fortecznej stosuje się najwidoczniej do tego prawa obowiązującego przede wszystkim drapieżników.

Wpływając do zatoki Algiezirskiej, — której zachodnie wybrzeże jest pod ochroną rdzawych moździerzy hiszpańskich, wschodnie zaś pod czujną strażą lśniących haubic angielskich — ocenić można różnicę białych domków miasteczka Algesiras a dalej osad jak Concepcion i San Roque wśród zieleni ogrodów, niby stadka puszystych owiec na murawie — i żółtawo-szarego wojskowego grodu a właściwie murowanego obozu, opasanego wałem obronnym, zebranego w sobie nakszałt żbika, który się do skoku gotuje; przylega ten gród szczelnie do kamienistej góry stromej, oderwanej od pasm pobliskich, będącej światem odrębnym dla siebie samej, twardej i wyniosłej w swojej *splendid isolation*.

Gibraltar gościnny nie jest nawet ową gościnnością wyrachowaną doróżkarzy, przewoźników, przewodników i w ogóle ludzi żyjących z podróźnych. Statek nie przybija do brzegu, więc łodzią, wśród mnóstwa innych, dociera się do grobli i schodów prowadzących na stały ląd.

Tuż przy nich wydaje opryskliwy jegomość w budce bilety wstępu jak na jakie przedstawienie. Dają one prawo do pobytu w mieście tylko po zachód słońca. Przepis ten stosuje się najsurowiej do Hiszpanów z okolicy i Arabów z za morza, natomiast za przejezdnych z daleka, głowa



rodziny lub właściciel gospody, w której mieszkają, daje porękę, i nie wzbroniono im przebywać w fortecy dni kilka, byleby nie myszkowali po zaułkach, nie rozpytywali się lub nie przypatrywali zbyt ciekawie. Szkła polowe, a już zgoła aparat fotograficzny podaje przybysza w posądzenie.

Architektura nie może poszczycić się pięknymi okazami w angielskiej stannicy, ale bo też nigdzie koszary wojskowe i rządowe domy przeznaczone na mieszkanie żonatych wachmistrzów i oficerów, nie bywają chlubą zdobnego budownictwa.

Spadziste uliczki zabudowane kamienicami bez charakteru ale i bez roszczeń do jakiegokolwiek stylu, przecina główna arterya komunikacyjna od bramy portowej aż do t. zw. Puerta de Europa. Tam kupią się hotele obliczone na wojskowych gości, sklepy gdzie sprzedają tytoń, krótkie fajeczki, kraciaste czapeczki, pocztówki z widokami, flaszki dymnego whisky, ostatnie numery *Times'a* czy *Daily Mail* i w ogóle prawie wszystko czego może zapragnąć żołnierska dusza. Tamtędy także płynie ruch miejski, a więc przesuwają się Marokańczycy obuci w żółte safianowe pantofle, ubrani w bure dzellaby, czyli guńki z grubego góralskiego sukna i w spłowiałym czerwonym fezie na opalonej i ogorzalej głowie; ci handlują jajami i drobiem i niosą też za zwyczaj swój gdaczący czy piejący towar w ręku. Gruby obywatel z Malagi, Kadyksu czy Bobadilli w okrągłym kapeluszu o szerokim kolisku, w czarnej króciutkiej kurtce, takichże spodniach i kamizelce, przepasany czerwonym wełnianym pasem — kręci, zapala lub pociąga papierosa, chętnie przystaje na ulicy, rozgląda się i rozpytuje o drogę do jakiej winiarni, której dostarcza Xeresu ze swoich winnic, katolickie zakonniczki spieszą parami ze szpitala do kościoła lub na odwrót, przejezdni rozpytują się o osobliwości miasta a zwłaszcza o słynne mały żyjące na górze.

Lecz przedewszystkiem oczywiście wpada w oko element wojskowy.



Oddziały fizyliarów, artylerzystów z czapeczkami na samem uchu, szkotów w fałdowanych spódnicach, z pod których wyglądają potężne gołe łydki, kolonialnych formacyi w muszkieterskich kapeluszach bez piór i z rękawami odwiniętymi po łokieć na muskularnem prawem ramieniu, maszerują w takt uderzając miarowo obcasem ciężkiego angielskiego obuwia o miejski bruk.

Młodzi podporucznicy spieszą w południowych godzinach na place gier atletycznych, albo wyjeżdżają konno na polowanie za lisem już na obszarze sąsiedniego państwa, kilkunastoletnie dziewczynki z rozwianym a bujnym włosom na plecach, dotrzymują dzielnie towarzystwa swym ojcom, starszym majorom i podpułkownikom w tych myśliwskich zabawach. Siedzą one zgrabnie i swobodnie na ulubionych widocznie siwkach; ich świeże głosy i dziecinny jeszcze śmiech brzmią jak przygrywka zaczarowanej fujarki wśród ogłuszającej orkiestralnej muzyki na dętych instrumentach.

Za bramą ozdobną dwugłowym orłem habsburskim w cesarskiej koronie Karola V. rozciąga się na pochyłym skłonie podgórze ogród publiczny podobny może do wielu innych na południu, lecz zachwycający oczy nawykle tylko do wyblakłych barw widywanych w krainach północnych półcieniów.

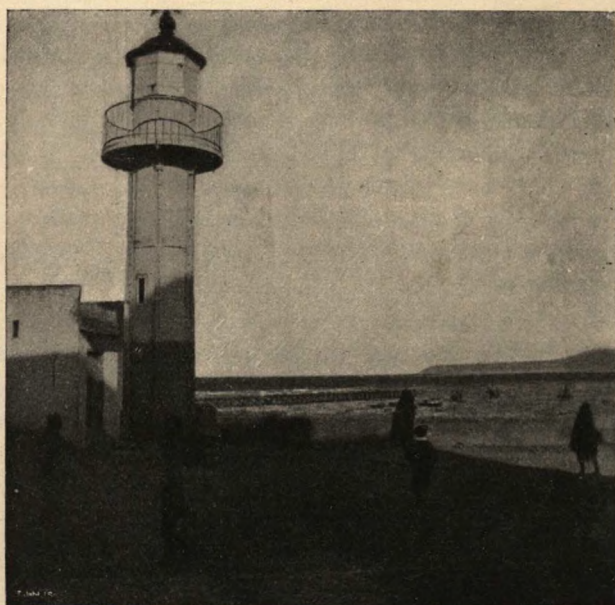
Różowe wawrzyny i kwiaty ciemno fioletowe, blade niebieskie, żółte jak czerwone złoto, jak szafran, jak bursztyń, mieszają się przerastają, przenikają jedne drugie, łączą w olbrzymie bukiety, kapią gronami z gałęzi zwisających, strzelają w górę, rwą wzrok i pachną odurzająco, gwałtownie, namiętnie, używają życia, lecz też płacą życiem przelotną chwilę weselnych godów i miłosnego szału. Ogród ów bywa zazwyczaj pusty — kwiaty płoną w słońcu i pławią się w błękicie dla nikogo innego jak dla samych siebie.

dalej prowadzi droga do latarni morskiej i siedziby letniej gubernatora tak niepozornej, że galicyjski ekonom narzekałby na takie nieodpowiednie pomieszczenie... i trzeba



zawracać, bo po za Puerta de Europa świat nie jest wprawdzie zabity deskami, lecz ograniczony stromą skałą, o którą rozbija się nieustannie rozbałwanione morze.

Do furty starożytnego opactwa, w którym od lat 200 z górą obrał sobie rezydencję wielkorządca z ramienia Wielkiej Brytanii, tylko niedoświadczony podróżnik zapuka z prośbą



Latarnia morska.

o pozwolenie zwiedzania Gibraltarskiej *great attraction*, podziemnych fortyfikacji. To co każdy widzieć może, pokáže mu bez osobnego pozwolenia pierwszy lepszy przewodnik za parę franków. Więcej nie zobaczy nic, choćby miał polecenie od najbardziej wpływowych osób.

Lecz i to nawet, cò dostępne, jest ciekawe i jedyne w swoim rodzaju.

Całe miasto, ogród, koszary, place musztry i t. d. nie są niczem innym, jak cokołem posągu albo raczej lawetą olbrzymiego kolistego działa ukrytego w podziemiach a wycierającego na ląd i na morze całym rojem strzelnic.

Jak dworek Maćka nad Maćkami w Dobrzynie tak i gibraltarska skała ma:

. . . . . ściany od ziemi do szczytu pstrokate  
Niby rojem owadów czarnych; w każdej plamie  
Siedzi we środku kula, jak trzmiel w ziemnej jamie;

z tą różnicą, że w nadmorskiej fortecy kula siedzi przede wszystkim w rurze armatniej i że na komendę wylecieć z niej gotowa.

Schody i stroma ścieżka prowadzą w kilka minut do odwachu strzeżonego przez pluton piechoty, po za bramą wije się dróżka niby gzyms nad przepaścią i wreszcie znika w czeluści. Korytarze kute w skale snują się dalej i wiodą zapewne do wnętrza tajemniczego labiryntu, którego wejścia bronią lepiej od Minotaura żelazne wrzeciędzie zamknięte na łańcuchy i krótkie bagnety osadzone na kilkostrzałowych karabinach w ręku irlandzkich wojaków. Napisy na framugach świadczą o tem, że roboty nad uzbrojeniem Gibraltaru trwają już 100 lat z górą. Podanie niesie, że francuscy jeńcy z wojen rewolucyj i Cesarstwa, wzięci do niewoli pod Abukirem czy Trafalgarem, musieli łamać tu kamień pod strażą dozorców. Korytarze rozszerzają się co kroków kilkadziesiąt w sklepione izdebki, w których stoją armaty zwrócone paszczą do niewielkich okien, skąd ostrzeliwać mogą morską cięśninę i stały ląd.

Ogromne, kilkudziesięciofuntowe naboje ustawiono w stożki obok każdego działa. Stanąwszy u ich wylotu trudno się napatrzeć do syta cudnemu krajobrazowi, w który spiżowe olbrzymy tak spokojne teraz na razie i od wieków, mogłyby każdej chwili posłać śmierć i zniszczenie.

Płaskie tarasy gibraltarskich domów obwieszono białą suszącą się w słońcu na sznurach, lazurowa zatoka,



rozigrana swobodnym ruchem swywolnych fal, kupieckie okręty o zwinnych kształtach i potężne statki wojenne krępszej budowy, białe folwarczki na wzgórzach okolicznych wśród winnic, pól zasłanych kukurydzą, owocowych sadów i gajów oliwnych, bezbronne Algezirasy i tor kolejowy wybiegający z nadmorskiej cieśniny na północ — mogłyby się stać pastwą ołowianego i stalowego gradu szrapneli i granatów.

Nowa szkoła wojskowa dowodzi, że sztandar św. Jerzego powiewa dziś nad przestarzałą fortecą, wyglądającą groźnie, w istocie zaś bezsilną. Krupp zapewniał podobno, że podjąłby się zamienić gibraltarską warownię w kupę gruzów, gdyby tylko zdołał założyć baterię swojego wyrobu na szczycie pagórka San Roque.

Nie jest to niemożliwe, tylko w tem sęk, że uzbrojenie tego czy innego wzgórza stanowi *casus belli* i że hiszpańskie miasta od Barcelony po Santander byłyby równocześnie — a zapewne i w pierw jeszcze — narażone na ogniste pociski angielskich pancerników.

Ostrów, który Wielka Brytania dzierży już dwa wieki, jest chyba teraz jeszcze kluczem Śródziemnego morza.

W warownym grodzie najciekawszą może osobistością jest katolicki biskup. Prawdziwy *Miles Christi*.

Służba wojskowa za młodych lat wycisnęła na jego powierzchowności i duchowym ustroju niezatarte piętno. Na biurku w jego kancelaryi leży u stóp krucyfiksu szpada, z którą w rękę szedł niegdyś na czele irlandzkich zuchów w morderczy ogień. W jego objęciach wyzionął ducha syn Napoleona III. ów Lulu, jak go pieszczotliwie nazywała cała Francya, a za nią cała Europa, póki był spadkobiercą najświetniejszego tronu i opromienionej chwałą dynastyi Bonapartów, a który miał zginąć w kwiecie wieku tak marną śmiercią pod oszczepami dzikich Zulusów. Ów dostojnik w fioletach przypomina zmarłego niedawno austriackiego purpurata, który przechowywał jako najdroższą pamiątkę hełm dragoński, tuż nad ciemieniem przeszyty kulą pod



Sadową, a może także coś ma w sobie z księdza Robaka. Donośny musiał być głos powołania skoro dosłyszał go i za nim poszedł wśród grzmotu dział, warczenia kartaczy i chrzęstu bojowych rynsztunków.

Szyllerowskiego pióra, tego pióra które w *Obozie Walensteina* oddało po mistrzowsku żołnierską duszę, trzeba by na to, żeby godnie opisać tęsknoty, marzenia, wspomnienia i żale, nadzieje i porywy wojska, które do dziś dnia odmładza się werbunkiem, a bije nieustannie na płaskowzgórzach Afganistanu czy na stepach Somalilandu, pod żarem promieni słonecznych w środkowej Afryce, albo wśród śnieżnych zaspawie tybetańskich. Stara niechęć między armią lądową a marynarką krzewi się w najlepsze; słynne *blue jackets* gotowe zawsze wyzywać na pięści, podbijać oczy, pogruchotać szczęki zbrojnych towarzyszy, którzy z konia, czy na piechotę mają bronić wspólnej ojczyzny. Dowódcy muszą pilnie czuwać nad przestrzeganiem porządku, choć podziwiają najczęściej uczucia swych podwładnych.

Stali mieszkańcy Gibraltaru, jak małpy, nie używają pełni praw, jakie przysługują obywatelom zjednoczonego królestwa Kanady albo australskiego Commonwealth, ale też nie są poddanymi w tym stopniu i mierze co Indusi n. p. albo autochtoni którejkolwiek kolonii najludniejszego i najrozleglejszego z mocarstw współczesnych.

Nie mogą oni uważać się za pełnoletnich, jak ci, którzy urodzili się nad Tamizą, ale też angielski rząd nie stosuje do nich swojej *patria potestas* surowej i prawie nieubłaganej, jak to czyni nad Gangesem czy górnym Nilem.

Wyrostki przyczyniają zazwyczaj rodzicom i opiekunom trosk i kłopotu; podobnie i dzieci kamienistej wyspy i półwyspu na morzu Śródziemnym nie są bynajmniej elementem potulnym, ani do rządzenia łatwym. Na rodzinnych skałach pod ciężką ręką gubernatorów wojskowych najłatwiej jeszcze utrzymać ich w korbach posłuszeństwa, ale prawdziwa bieda zaczyna się poza granicami ich ciasnej ojczyzny, bo



nie mogąc wyżyc u siebie, osiedlają się w okolicznych państwach, mieszają się z pokrewną im ludnością, żyją włoskiem, hiszpańskim, egipskiem czy marokańskim życiem, ale chowają się za fałdy angielskiej flagi, ilekroć coś zbroją, co im się zdarza codziennie, bo żyją zbyt często z lichwy, rajfurstwa i innych równie popłatnych jak mało zaszczytnych zawodów, a sprzeczki załatwiają chętniej katalońskim sztyletem, niż angielskim kułakiem.

Dla zasady zaś, choć nie z przekonania, biorą angielscy dyplomaci i konsulowie w obronę podejrzone osoby i niezbyt jasne ich sprawy czy sprawki, ubolewając nad tem cichaczem, że aparat stworzony dla ochrony angielskiego gentleman'a musi także funkcyonować *for such a fellow!*

Jak rzymscy imperatorowie od czasów Dyoklecjana tak Maltańczycy i Gibraltarczycy podzielili między siebie wybrzeża morza Śródziemnego.

Zachodnia przypadła w udziale synom *Rock Scorpion* tej dziwnej ojczyzny, w której jak w gotyckiej katedrze przeważa do syta linia pionowa nad poziomą, że jest tam gdzie stać, siedzieć prosto, może nawet klęknąć, ale już położyć zdaje się być trudno.

Na domowych pieleszach trudnią się oni głównie, jeżeli nie wyłącznie, przemytnictwem — rybołówstwo jest ich mniej stałym zajęciem jak dobrym pozorem, żeby zbliżyć się nieznacznie do hiszpańskich czy afrykańskich wybrzeży.

Nie mają Gibraltarczycy przyjaźni u swoich sąsiadów z Taryfy, Malagi, Granady itd. ani także u angielskich swych władców. Jak wyglądał *Rock Scorpion* przed rokiem 1700, łatwo wyobrazić sobie może ten, kto oglądał go w dwa wieki później.

W mieście którego nazwiska nie powiem, a które ks. biskup warmiński obrał za widownię swojej monachmachii musiały istnieć pod berłem trzech habsburskich Filipów i niedołęznego Karola II. bardzo podobne warunki; tam jak tu wznosiły się:



bram cztery ułomki,  
klasztorów dziewięć i gdzieniedzie domki.

Kiedy nastały nowe czasy i rządy, zmieniła się postać rzeczy: zakonne budynki przerobiono na kazamaty, koszary i prochownie, ale nikt nie troszczył się o wychowanie ludności w innym duchu, rosła też ona jak dziczka i wykrzywiała się moralnie na jałowym gruncie.

Przybysze z północnych wysp nie umieli ukryć poczucia swej wyższości wobec szlaku ludzi, w ich przekonaniu, lichszego; pogardę płacono jak zwykle, zawiścią i nienawiścią. Równocześnie jednak Gibraltarczyk uważa się za coś lepszego, niż jego krewniak z jakiegokolwiek andaluzyjskiej mieściny, wyrzuca mu cierpko niechlujność, zacofanie, lenistwo i pyszni się zdobycami anglosaskiej kultury i pracy, jak gdyby się do nich czemkolwiekbaź przyczynił.

Ten znamienity rys z psychologii podbitych narodów można niestety zauważyć i gdzieindziej... nietylko na krańcu południowo zachodniej Europy...

Stosunek między elementem rządzącym a rządzonym nie uderza może ani zastanawia cudzoziemca nieobebranego z taką walką na maczugi i szpilki, cichą i nieznaczną, a zawziętą i nieustanną. Ale kto wie, jak bolesnem echem odbijają się w sercach donośne słowa obcej komendy na rodzinnej ziemi, ten pojmie w lot położenie, zrozumie spojrzenia, domyśli się znaczenia rozmów prowadzonych nieraz na migi i jakkolwiek nie przychyli się może współczuciem do uciemiężonych, tak mało na nie zasługujących, zobaczy niejedno, co bywa zazwyczaj zakryte dla mniej wprawnego wzroku.

Nie świętości i nieprzedawnione prawa narodowe wchodzi tu zresztą w grę, ale tylko drobne niesnaski i zatargi, których przyczynę określić można jako *incompatibilité d'humour* dwóch z gruntu odmiennych szczepów.

— Taka.... mruczy z tłumioną złością przewodnik, napotkawszy przypadkiem o zmierzchu czułą parę, płowego syna Marsa i czarnobrewą dziewczynę na ławeczce u stóp



marmurowego popiersia jenerała Jerzego Rooke, który opanovał Gibraltar — nie mogła też znaleźć sobie innego kochanka jak tego przybłądę żołdata.... chyba, że jej nikt nie chciał!

To przeciwieństwo rasy wpada w oko za pierwszym widzeniem: rosłe, barczyste, rumiane chłopcy w wojskowych mundurach, bez broni po za służbą, lecz z nieodstępną trzcinką w rękę, ruszają się swobodnie, zachowują wyzywająco — z pod spiczastych hełmów padają śmiałe ich spojrzenia, jak pociski, prosto w oczy. Poprostu nie umieją patrzeć na bliźniego inaczej jak z góry, takimi są wszędzie: na placu musztry, w kościele, gdzie katolicy modlą się bardzo przykładnie, w pływalni, gdzie widać na ich ogorzałych ramionach i piersiach różnobarwne węże, smoki, godła, a nawet mękę Pańską wykropkowaną artystycznym lancetem indyjskich czy chińskich mistrzów sztuki tatuowania, na ulicy i w podmiejskim ogrodzie.

Natomiast smagły Gibraltarczyk, drobnej przeważnie budowy, rzuca wokół siebie lęklwym, wymijającym wzrokiem; czarne źrenice latają nieustannie w ślicznej oprawie oka, jak mysz w pułapce — patrzy z podełba a właściwie z pod zaokrąglonego koliska sewilskiego pilśniowego kapełusza. Cały dzień i całe życie jest pokornym sługą angielskiego gnębiela, ale co wieczora miewa chwilę odwetu. W mieście pozbawionem widowisk, po zachodzie słońca spieszy cała niemal załoga do szeregu *bar'ów* i raczy się tam ciemnem mocnem piwem, hiszpańskiem winem z Xeres i Malagi, albo szkockim whisky mniej lub więcej rozcieńczonym wodą sodową sprowadzaną z Anglii.

Z uderzeniem godziny jedenastej zamykają się owe szynki, których liczy się w śródmieściu na setki; więc kto chce użyć wyskokowych uciech, nie ma czasu do stracenia. To też zanim wybiję godzina ciszy, kurzy się jak z kominów z płowych czupryn — w ciasnych i ciemnych izdebkach w około prostych drewnianych ław i ciężkich

stołów zastawionych kieliszkami i kuflami przychodzi nieraz do bitki i zwady, to znów do rozmarzonych przeprosin, oblewanych na nowo czarnym *stout*. Ze złożonych ram zdobnych w monarszą koronę patrzy pobłażliwym macierzyńskim okiem na te wybryki i zbytki Jej Król. Mość, sędziwa Wiktorya.

Jej zafrasowane oblicze pod wdowim czepcem koronkowym jest *in effigie* nieraz świadkiem scen karczemnych, nie licujących z powagą tej czcigodnej matrony; lecz nie łatwo pogodzić patryotyzm z wyszukanem obejściem towarzyskiem.

Równie milcząco i nieruchomo, choć mniej pobłażliwie, spoglądają na pijatyki — Gibraltarczycy. Oparci o uszaki lub zbici w gromadkę na ulicy, napawają się lubym widokiem, cieszą się upodleniem swych panów, odprowadzają z szyderczym uśmiechem na ustach chwiejne, niepewnie stąpające postacie, ginące w mroku niedostatecznie oświetlonych schodów i zaułków miejskich, zażywają Irydyonowych rozkoszy.

*The selfcommand and selfrespect* są podstawą angielskiego światowładztwa; kiedy ta podstawa usuwa się lub zaćmiewa się bodaj chwilowo — gaśnie i obraca się w nic — jedna z głównych sił, które rozporządza W. Brytania, a tą jest cześć i podziw dla angielskiej *virtus* nie w ła-cińskim tylko, ale rzymskim tego słowa znaczeniu.





Z PSYCHOLOGII  
CORRIDY HISZPAŃSKIEJ.





„Blut ist ein ganz besonderer Saft“.

**K**to weźmie po Bekwarku lutnię? Kto pokusi się o opis tego, co opisywał już Sienkiewicz? Kto po *Walkach byków w Hiszpanii* ośmieli się powrócić do tego samego przedmiotu? Chyba ten, kto nie w przejeździe przypatrzył się raz i drugi sławnemu widowisku, ale spędziwszy lat kilka na pograniczu Hiszpanii lub w krajach kultury hiszpańskiej, uczęszczał stale na krwawe przedstawienia, miał sposobność poznania zbliska nie tylko sceny - ujeżdżalni, ale i obory - kulisów i artystów - bydłobójców, kto wreszcie szukał sińców i guzów po drugiej stronie parkanu, dzielącego widzów od aktorów, by młodym byczkom spojrzeć oko w oko i popróbować się z nimi dla zabawki; kto jednym słowem stał się zwolennikiem tauromachii — prawdziwym aficionado.

Próżno silić się na opis przebiegu widowiska, które rzadko trwa ponad kwadrans, czasem niespełna dziesięć minut, a jest na poły przejmującą tragedią, na poły zaś barwną pantomimą. W żywej pamięci czytelników Sienkiewicza, czyli całej naszej publiczności od morza do morza i za morzami, tkwi po mistrzowsku skreślony szkic największego z żyjących pisarzy rodaków, poświęcony zapirenejskim wrażeniom — wszelkie powtarzanie byłoby błędem naśladowaniem lub karykaturą.

Najświetniejsze polskie pióro zamieniło się tym razem w malarski pędzel, nie przedzierzgnęło w analityczny skal-



pel; mimo woli myśli tylko twórca *Potopu*: — »Co to za dziwny lud, dla którego największą zabawą i rozkoszą jest widok rzeczy tak strasznej, bezwzględnej i niepowrotnej jak śmierć«. I na pytanie: »Zkąd to zamiłowanie?« — nie daje odpowiedzi.

Tego zamiłowania tradycją, wiekowem przyzwyczajeniem wytlómaczyć nie można; jest ono raczej skutkiem niż przyczyną, bo przeszłość bywa piastunką, ale nie rodzicielką. Przeszłość ta zresztą nie jest tak zamierchłą, jak tego dowodzić próbują zwolennicy i zapaleńcy tauromachii; ci bowiem twierdzą niemal, że jeżeli wszystkim ludziom koszula jest bliższa niż suknia, to rodowitym Hiszpanom czerwona muleta jest jeszcze od koszuli dużo bliższą i na poparcie owego śmiałego zdania powołują się na wpół zatarty medal, wybity jeszcze za czasów rzymskich, na którym dobre oczy i lepsza zapewne wola dostrzegają podobno protoplastę toreadorów, zbrojnego w oszczep i w płachtę, lecz pozbawionego odzieży najniezbędniejszej nawet w zapasach z rozjuszonym bykiem. Tauromachia sięga ponoś aż Suetoniuszowskich *Żywotów dwunastu Cezarów*, zapisana jest w arabskich kronikach i zaznaczona dwuwierszem w *Jerusalem* Lopeza de Vega

..... *que en Castilla los esclavos*  
*Hacem lo mismo con los toros bravos*

Nawet cudzoziemskie dynastye, obejmujące jedne po drugich berło Kastylii i Aragonu musiały, mimo królewskiej wszechwładzy i osobistych uprzedzeń czy wstrętów, ustąpić w tym względzie ogólnemu zamiłowaniu i zastosować się do przyjętego obyczaju.

O Karolu V wspominają z uznaniem kroniki, że jakkolwiek nie urodzony, ani wychowany w Hiszpanii — »a pesar de no haber nacido ni criadose en Espana« zabił byka oszczepem z konia na rynku Valladolid podczas uroczystości i zabaw publicznych, wydanych z okazji narodzin cesar-



skiego syna, który miał z czasem być Filipem II. Filip III odnawia i ozdabia cyrk madrycki w roku 1619 własnym kosztem, a Filip IV, idąc w ślady swego pradziada, sam swą monarszą osobą w walkach i gonitwach byków udział brać raczył.

Bądź co bądź jednak rodowód tauromachii urywa się w wieku XVII, aż do XIX stulecia i przypomina żywo nieuzasadnione roszczenia owych rodzin, których przodkowie dokazywali cudów waleczności za Ziemowitów i Ziemomyśłów, jeszcze za Bolesława Chrobrego, Śmiałego i Krzywoustego chadzali na wyprawy wojenne z wielką chwałą, ale od Lignicy usnęli Irydyonowym snem, w letargu przebyli Jagiellońskie rządy, czasy Batorego i Sobieskiego, a których potomkowie, przebudziwszy się już po Somo-Sierra, biadają, głośno nad pożarami obracającymi w perzynę rodowe archiwa, oraz nad nieporządkiem aktów grodzkich i dyaryuszów sejmowych, przepominających sławne nazwiska.

Żaden naród nie może na równi z hiszpańskim poszczycić się tak bardzo drobiazgowym nawet a jednak wspinałym i po wsze czasy, jak na wsze strony podziwu godziwu godnym obrazem społeczeństwa z XVII wieku, jaki uwiecznili w pisanych swych i malowanych dziełach Cervantes i Velasquez. Otóż w *Don Kiszocie* prócz pobieżnej wzmianki, tyczącej się turniejów, oraz t. zw. rejonear czyli zapasów między jeźdźcem zbrojnym w oszczep i bykiem (tom II rozdział XVII), znanych i uprawianych z dawien dawna i jak wspomniano, nawet monarchom nie obcych, nie masz mowy o narodowym igrzysku. W wielkiej zaś sali królewskiego Prado, gdzie wiszą płótna nadwornego malarza Filipa IV trudno oczy oderwać od rycerzy, infantek, dygnitarzy, trefnisiów, rzemieślników, opilców nawet, całej Hiszpanii, od książąt i grandów aż do biedaków, tak dziwnie żywej, wiernie i rzetelnie oddanej, lecz próżno szuka się jakiego »diestro« ze szpadą w ręku i warkoczykiem na plecach.



Nie przeoczyliby zaiste ci nieprównani znawcy swego czusu i kraju tak malowniczej i charakterystycznej narodowej cechy, a jeżeli ani żołnierz z pod Lepanto, ani twórca arcydzieł jak »Las Lanzas« albo »Las Meninas« piórem nie pędzłem jej nie odtworzyli, to świadczyć może za dowód, że podówczas albo tej cechy brakło, lub że chyba nie była tak wybitną, jak w późniejszych czasach, bo już Goya, — w tem samem Prado można się o tem przekonać — z zamiłowaniem widocznem i nie raz jeden malował dziarskich pogromców byków na piasku areny lub przy szklance i... zalęcance w jakiej starożytnej andaluzyjskiej winiarni.

Za nastaniem Burbonów nie zdołał wnuk Ludwika XIV ukryć swej niechęci dla zabawy, tak różnej od tych, do których przywykł w Wersalu.

Ale niełaska Filipa V sprawiła to tylko, że igrzysko z dworskiego i pańskiego stało się naprawdę ludowem. Szlachta, której dotychczas wyłącznym przywilejem było prawo potykania się konno z rogatym przeciwnikiem, ustąpiła pola pieszym zapaśnikom zbrojnym w szpadę i czerwoną »muletę«, pokonywującym byka tak, jak to się za naszych dni odbywa. Jeszcze i energiczny a niefortunny reformator Karol III próbował zabronić krwawych przedstawień, tak mało liczących z panującą wówczas w Europie czułościową miłością przyrody zrodzoną w głowie J. J. Rousseau'a a wykołysaną przez Encyklopedystów, ale Karol IV, a zwłaszcza, po neapolitańskiem intermezzo, Ferdynand VII otaczali opieką toreadorów i ich rzemiosło, a już Izabela II niczego im podobno odmówić nie umiała.

Królowa Marya Krystyna nie mogła nigdy i nie może znieść widoku zbyt bolesnego dla jej litosnego serca i wiedeńskich nerwów, ale infantki klaszczą w dłonie na równi z prostą »manolą«, kiedy na znak dany trąbą wchodzi na arenę Fuentes, Reverte albo Mazantini.

Tauromachia przekracza ciasne, a przynajmniej ścieśnione, granice państwa, w którem niegdyś nie zachodziło

słońce, granice dziś te same, co przed czterystu z górą laty, kiedy w gruzach legły Maurów posady, a Kolumb nie dopłynął jeszcze do Indyi zachodnich. Po dawnych zdobywcach, władcach i ciemiężcach zostały się w południowej i środkowej Ameryce licznie rozsiane kościoły, klasztory i cyrki bycze, a w obywatelach świeżo powstałych rzeczypospolitych zwyczaj tłumnego zapełniania jednych i drugich.

Pizarro zanim podbił Peru odznaczył się nieraz w starciach z groźnym zwierzem, a w meksykański piasek wsiąkło nie mniej bydlęcej posoki, niż w prastarą hiszpańską ziemię.

*Los gachupinos*, ludzie pobrzękujący ostrogami — jak towarzyszy i następcy Corteza przewali półnady Indyanie — dziś są gośćmi tylko, niemile widzianymi przybyszami, tam gdzie ongi byli samowładnemi i — na swą zgubę — samowolnemi panami, lecz narodowe barwy zastąpione na publicznych gmachach świeżemi godłami, powiewają jeszcze nad areną, na której hiszpańscy matadorzy walczą na śmierć i życie z hiszpańskimi najczęściej bykami.

Słynne igrzysko nie jest przeto czezą igraszka, bo nie jest wybrykiem chwilowego upodobania, przelotnej jednorazowej zachcianki. Prawo do bytu czerpie w tradycji kilkowiekowego istnienia, żywotność swą stwierdza rozpowszechnieniem po wszystkich ziemiach Starego i Nowego Świata, gdziekolwiek rozbrzmiewa mowa kastylska. Jest bezsprzecznie najtrwalszą z narodowych instytucji. XIX stulecie, jak wszędzie, tak zwłaszcza w Hiszpanii było czasem zaburzeń, zmian i zamieszek. Na widowni dziejowej niby w szopce, ukazywali się kolejno i znikali żołnierze dobijający się orężem o władzę, jak Prim, albo parlamentarni demagodzy wmawiający w pospólstwo republikańskie doktryny, jak złotousty Castelar. Na stolicy katolickich monarchów wielkodusznej Izabeli i przenikliwego Ferdynanda zasiadali Burboni, Bonaparte i Sabaudczyk, ważyły się losy męskiej i żeńskiej linii panującego domu; hiszpańskie małżeństwa i hiszpańskie następstwo na tron bywały przedmiotem zawitych dyplomaty-



cznych rokowań, ba! nawet bezpośrednim powodem wielkiej, światowej wojny; koronę Filipa II zastąpiła na lat kilka czapka frygijska, jako symbol najwyższej władzy. Odmienili się ludzie, stosunki, pojęcia, granice dzierżaw; namiętność pędząca tłumy co niedziela na »corridę« ostała się wśród politycznej zawieruchy i raczej wzmożła się, niż zmalała. Obejmuje wszystkie warstwy, jednoczy w zbiorowym nastroju nawet tych, których nie innego nie łączy.

Hiszpan potępiający walki byków jest równie rzadki, jak Węgier nieczuły na cygańskie skrzypce, albo — gdyż nie każdy Madyar muzykalnym być może i musi — jak Polak, który miałby odrazę do święconego.

Nie wynika z tego bynajmniej, żeby tylko Polak, Węgier czy Hiszpan oceniali ojczyste swe zwyczaje i właściwości. Nie rzadko widuje się Niemców, a nawet Amerykanów, którzy przecież zmonopolizowali, czy też raczej objęli truistem — zdawałoby się mogło — całą trzeźwość wschodniej i zachodniej półkuli na swój wyłączny użytek, rozrzewnionych do łez smętną nutą stepowej piosenki z »pusty«; ambasador francuski chwalił pełnemi usty — aby były one nie tylko pochwał pełne — w dzień Wielkanocny u polskiego dostojnika w Wiedniu *la charmante coutume nationale*, która zastawiła stoły obfitem i święconem pieczywem i mięsivem.

W Andaluzji wreszcie zakwitają stopnie każdej areny cyrkowej w pobliżu Gibraltaru, niby makiem, czerwonymi mundurami angielskiej załogi, co nie przeszkadza zresztą dziennikom Albionu oburzać się systematycznie a wymownie na »wstrętne zabytki średniowiecznego barbarzyństwa«.

Właściwością znaną naszymi czasami jest zanik starożytnych obyczajów, zarzucenie odziedziczonych po przodkach strojów, zapomnienie wiekowych tradycji, zamieranie wszelkich stanowych różnic, a nawet odrębności narodowych. Polski chłop zarzuca już sukmanę. Lewantyniec przykrawa chałat do rozmiarów surduta, Turek zaniechał turbana,

dziewczęta w Sewillii zamieniły koronkową mantyllę na kapelusze z Bon Marché, a nawet podobno i japońskie kokardy i grzebienie widzieć można tylko na przedstawieniach *Mikada* i *Gejszy*. Równocześnie jednak zaciekawienie osobliwościami skazanymi na zagładę rośnie z dniem każdym. Szare tłumy turystów spieszą równie chciwie na przedstawienia w Oberammergau, jak na tańce derwiszów w Konstantynopolu, serdaków jest zapewne więcej w Warszawie, niż w całych Tatrach, o piękny zaś perski dywan łatwiej niewątpliwie w Londynie, niż w Teheranie.

»Corrida« jak dotąd, po tym czy tamtym brzegu Atlantyku, nie pozbyła się swej cechy pierwotnej i rodzimej; przed laty, jak i dzisiaj, jest potrzebą i uciechą rzeszy, polem popisu, źródłem sławy, żyłą złota dla śmiałków

CAMP BUENO  
 DOMINGO 27 DE ABRIL  
 CORRIDA EXTRAORDINARIA  
 10 TOROS 10  
 ESPADAS  
 LAGARTILLO  
 UN GRUPO DE TOREROS  
 MADRID, MARCH 1914

Ogłoszenie walki byków.



umiejących brać byka za rogi, a widzów ując odwagą i wdziękiem. Jest przyrodzonym, nie zaś sztucznie na szczepku wyhodowanym owocem hiszpańskiego drzewa. Czuć w niej pełne, zdrowe tętno czerstwego życia, nie zaś przerywany prąd kupieckiej spekulacji dla zgalwalizowania w celach zarobku czy wyzysku pozostałości po skostniałej przeszłości.

Publiczność, dwunożni i czworonożni aktorzy tworzą organiczną jedyną w swoim rodzaju całość, na czem polega urok widowiska.

Hiszpan, jak wszystkie narody, na które bezpośredni wpływ grecko-rzymskiej cywilizacji działał najdłużej i najsilniej, ma wyrobiony smak i czuły zmysł na piękne kształty, ruchy i postawę — brzydota go razi, uroda zachwyca w wyższym daleko stopniu, niż mieszkańca zimniejszych stref, na widok cierpienia się nie wzdraga, bo i ból nawet może przybrać plastyczny i klasyczny wygląd. Jak nieodrodny potomek Hellenów i Kwiryków umie używać oczyma w nieznaną północnym ludziom mierze. Duchowe wzruszenia, myśli przy wpływ i odpływ nie mącą mu zmysłowych wrażeń.

Tym wymaganiom i upodobaniom odpowiada »corrida« doskonale. Nic, pominawszy konie, szpetnego nie ma wstępu na arenę, strojni i dorodni młodzieńcy i mężczyźni igrają z dorodnym również przeciwnikiem, któremu nieokiełzana dzikość przysparza grozy, ale i uroku — wszyscy razem mogliby służyć za model do słynnej rzeźby farnazyjskiego byka.

Mieszkańcom zimnej, dżdżystej, pochmurnej północy potrzeba do szczęścia jadła i napitku do syta, ciepłego kąta i domowego zacisza; gdy im na tem nie zbywa, czują się, według gminnego, lecz bardzo charakterystycznego określenia, »jak u Pana Boga za piecem«. Materyalny dobrobyt i zaspokojenie fizycznych, zwierzęcych nieledwie potrzeb, nie wystarcza południowcom. Wstrzemięźliwi w pokarmach i napojach, mniej zazwyczaj dbający o statki i dostatki domowe, łakną natomiast hucznej, gwarnej, powszechnej zabawy. Powodem tego usposobienia jest nie w najmniejszej części klimat.

Stała, miesiącami bez przerwy trwająca pogoda, wywabia ludzi z mieszkań ciasnych i ciemnych dla chłodu na ulicę, ognisko rodzinne jest raczej przenośnią, niżli rzeczywistością, bo pali się tylko w kuchni, a południowiec na łonie rodziny wówczas jedynie spoczywa, kiedy zgoła nic innego przedsiębrać niepodobna. Rzęsiste ulewy, trzydniówki, zawieje, zawieruchy, mróz trzaskający i t. d. nie wiążą nikogo do kominków, ni zapędzają na przypiecki; to też całe dnie spędza się na dworze. Upalne słońce rozgrzewa wyobraźnię, krew do szybkiego biegu pobudza, żary w sercach wznieca, a do głów rzuca zarzewia. Bezczyнность dla tych ruchliwych, wrażliwych a próżniaczych przytem tłumów, jest nietylko zabójczą, ale zwłaszcza dla panujących niebezpieczną, bo uszczypliwy dowcip i wielomowność rodzą krytykę, gwałtowne usposobienie pobudza do zwady i bitki, zapału jest zawsze do zbytku, a zastanowienia nie wiele; nie łatwiejszego, jak takie pospólstwo poruszyć i wzburzyć, a od zaburzeń i rozruchów do *pronunciamento*, od bijatyki do wojny domowej, niedaleko... i ot, rewolucya gotowa.

Biada w słonecznych krajach rządóm niedbałym o zabawy ludowe. Na wulkanicznych ziemiach i wśród ognistej ludności nie ostoją się długo bez sprzymierzeńca, jakim jest woda i wilgoć w każdej postaci, jeżeli o zajęcie powszechnej uwagi starać się nie będą. Ztąd w Grecyi ateński Demos, znany z komedyi Arystofanesa, kapryśny i rozbawiony, nie umiejący ni mogący się nudzić, chodził za darmo, a właściwie na koszt rządu na trylogie i tetralogie, słuchał krasomowców i patrzył na Panateneje, podążał na igrzyska urządzone pod wezwaniem bogów i opieką władców; w Rzymie lud domagał się z równą natarczywością chleba i »circenses«, tych Cezarów zaś, bez względu na ich zbytki lub zbrodnie, względami i oklaskami darzyć raczył, którzy namiętności ludowej najrzęczniejsz schlebiać umieli i sami ją szczerze dzielali.



Dlatego i włoskie ksiąstewka i miasta, zwłaszcza zaś Wenecya, słynęły z barwnych pochodów, uroczystych obrzędów pod gołym niebem i wesołych zapustów, dlatego po dziś dzień w każdym hiszpańskiem mieście burmistrz z urzędu przewodniczy »corridom«.

W podzwrotnikowych krajach skwar i mordercze nie-raz, a niemal prostopadłe promienie słoneczne, wytwarzają raczej potrzebę wypoczynku, niż chęć nieustannej rozrywki — to też na afrykańskiem wybrzeżu morza Śródziemnego pasterze ludów nie poczytują sobie za obowiązek utrzymywania podległej rzeszy w dobrem i swobodnem usposobieniu; ale tam wszędzie, gdzie żyć najłatwiej, a władać najtrudniej, sztuka rządzenia nie może ograniczać się do nakładania i wybierania podatków, oraz stawiania policyantów na rogach ulic miejskich i rozsyłania żandarmów po wiejskich drogach; wcieleniem i uosobieniem władzy jest tam nie mru-klivy pedagog i surowy stróż porządku i bezpieczeństwa tylko, ale i pomysłowy *maitre du plaisir* najszerszych warstw ludności, znoszących chętniej i łatwiej bodaj głód, niż jednostajność i brak ożywczej podniety.

Walka byków jest więc i być musi zabawą lu-dową; wszak zadaniem edylów było z dawien dawna za-bawianie tłumów, nie zaś rozchmurzanie patrycyuszów i optymatów.

Spieszą na corridę wszyscy bez różnicy stanu, wieku i płci. Na stopniach tłoczą się bogacze obok biedaków, mo-dnisie obok oberwańców, członkowie najwykwintniejszych klubów obok uliczników, towarzyska śmietanka i społeczna serwatka. Publiczność w lożach i w pierwszych krzesłach nie jest uprzywilejowaną; ci co w teatrze zadowolnić się muszą jaskółką, siedzą w cyrku bliżej areny i widzą lepiej widowisko, niż wystrojone panie wielkiego świata. Każdy prawie torero liczy się bardziej z widzami po stronie »sol«, niż po stronie »sombra«, bo choć bilet wstępu kosztował ich mniej, krzyczą i znaczą więcej od tamtych.

Wprawdzie przedstawieniem kieruje »alcade« albo jego zastępca — na pozór, a w rzeczywistości wysłużony i zasłużony weteran tauromachii; ale i ogół patrzących wypowiada nieustannie swoje zdanie, objawia głośno swój zapał albo niezadowolenie i nieraz wpływa stanowczo na tok widowiska.

Próżno szukałbyś w tłumie widzów obojętnych, a tem mniej przedstawieniu samemu przez się niechętnych; nie doj-



Wjazd quadrilli.

rzysz w kilkunastutysięcznej ciżbie owych twarzy znudzonych, zmęczonych, zaspanych, które widuje się w każdej sali teatralnej. Nikt nie poziewa, nie drzemie, nie zerka na zegarek, jak na koncertach filharmonicznych, ani zajmuje się więcej tem, co dzieje się poza areną, niż na arenie, bo nikt nie idzie do cyrku z musu, obowiązku, światowych czy innych względów. Napięcie uwagi jest nieustanne; chwila potrzebna do zapalenia papierosa wystarcza, by stało się coś takiego, co wywołuje istną burzę oklasków, albo świst



i krzyk godny Aresa, który — jak poucza nas o tem stary Homer — mógł krzyknąć, »jak szesnaście tysięcy mężów«.

Cudzoziemców, przejezdnych, albo przygodnych este-tów, zajmuje najwięcej wspaniały wstęp przedstawienia, owa uroczysta chwila, tak pięknie opisana w *Wspomnieniach z Hiszpanii*, kiedy na znak dany trąbką, podobny do wojskowej pobudki, wjeżdża z otwartych na oścież wierzejów alguazil sam lub samowtór przy dźwiękach marsza z *Carmen*.

Zanim się igrzysko rozpocznie, podczas kiedy muzyka wygrywa wieniec narodowych melodyi, tańce i pieśni z Sewilii, Malagi, Walencji czy Kadyksu, a wrota, z których ma wyruszyć poczet metadorów i ich pomocników, czyli t. zwanych »quadrilla«, jeszcze są szczelnie zamknięte, słychać od góry do dołu śmiechy, żarty, rozmowy, nawoływania, niekiedy sprzeczki zgromadzonych i widać motylkowy ruch wachlarzy, w kobiecych rękach, lecz równocześnie z pierwszym sygnałem zalega cisza domowa i kościelne skupienie przerwane powszechnem klaskaniem w dłonie za ukazaniem się ulubieńców pospólstwa. Lecz niech przewodniczący poważy się powziąć postanowienie wbrew woli widzów, np. zwleka z rozkazem wpędzenia na arenę oswojonego bydła, które ma wyprowadzić tchórzliwego lub niezdatnego do walki byka, wówczas tłum burzy się i szaleje, jak tylko morze i czerń ludzka burzyć się i szaleć potrafią. W Puebli pod koniec nieudanej »corridy« rozrzucono przeszłego roku na drewnianych stopniach wiechcie słomy, polano je naftą i obrócono cyrk w perzynę, mimo wysiłków straży ogniowej oraz dwóch plutonów piechoty. Taki wybryk jest oczywiście wyjątkowym objawem zbrodniczego wprost rozbestwienia, ale zazwyczaj tupanie, stukanie laskami, wrzask, wymachiwanie kapelusami, powiewanie chustkami zmusza przewodniczącego do ustępstwa na szkodę przedsiębiorstwa, lecz ku uciesze tych wszystkich, którzy mu wolę swoją narzucić zdołali.

Ten pozór wszechwładzy zbiorowej wywiera na tłumy nieopisany urok. W teatrze i wszędzie, gdziekolwiek tłumy

gromadzą się nie pód gołem niebem, ale pod dachem chociażby płóciennym, oklaski i objawy głośnego zachwyty są zaledwie cierpiane, prawo zaś do gwizdania i oznak niezadowolonia istnieje tylko w teoryi; kupuje się je u kasy\*), lecz traci u wstępu. Porządek publiczny nie licuje z swobodą osobistą, a kto nie chce zapoznać się z kozą, musi być potulny jak baranek. Nie tak w hiszpańskim cyrku. Kilkunastotysięcznej rzeszy niepodobna narzucić milczenia. Za kilka groszy nabywa każdy czeladnik, czy posługacz, poczucie, że stał się częstką ogromnej siły, że byle miał trochę śmiałości i swady, a do tego zdrowe płuca, będzie orzekał i rozstrzygał o sprawach chwilowo bardzo ważnych, o sprawności mistrzów, którzy o jego względy ubiegać się będą; że na dwie godziny może być pierwszym ministrem królowej Opinii. Łada ulicznik bywa raz na tydzień wielkim panem . . . . położenia.

To przeświadczenie pochlebia więcej miłości własnej pospólstwa, niż prawo wyborcze, które ostatecznie nie jest niczem innym, jak prawem wrzucenia do urny kartki z nazwiskiem nieznanego człowieka, mającego w niedostępnych ciałach ustawodawczych przemawiać i głosować przeciw nieuzasadnionym pozycyom niezrozumiałego budżetu. Tłum na stopniach areny jest bezpośrednim spadkobiercą motłochu z rzymskiego amfiteatru: ten jak tamtem zaznacza swe zachcenia i folguje swym popędom bez oporu z jakiejkolwiek strony; życia wprawdzie nikomu darować nie może, lecz natomiast nikt mu nie wzbrania domagać się coraz to nowych ofiar w koniach, bykach i nieledwie w ludziach, żądać natarczywie przydłużania lub skrócenia tej lub owej »suerte«, czyli fazy przedstawienia. Ożywienie, swoboda, brak przy-musu nie ustają, ani nawet nie słabną bodaj na chwilę; rubaszne czasem, ale trafne dowcipy, przytyki i przycinki

---

\*) C'est un droit qu'à la porte  
On achète en entrant. —



na tle powszechnie znanego, a niezbyt ascetycznego życia torerów, rozlegają się zewsząd i wywołują wybuchy wesołości, prawdziwe salwy śmiechu. Nieustanne okrzyki: Teraz chwila... Bliżej... nie bój się, nic ci nie będzie... Próbój od ogona, kiedy się rogów boisz... Śmiało Pepito! Carmen, Concha czy Lupa na cię patrzy i t. d. — świadczą bez końca o ciągłym zajęciu i — na udanym przedstawieniu — o pobłażliwości widzów dla drobnych usterków, czy uchybień.



Muleta.

Zabawa, jeżeli ma być szczerą, musi pochłaniać uwagę do tego stopnia, by spędzić z głowy roje powszechnych trosk i kłopotów, rozrywka musi rozerwać zwykły tok myśli, zwyczajną kolej zgrzyot, przykrości czy biedy.

Walka byków spełnia to zadanie w zupełności; przedstawienie zawsze to samo, jest jednak zawsze pełne niespodzianek i urozmaiczone nieoczekiwanem jakim zdarzeniem; w ciągu popołudnia powtarza się 6 razy z rzędu, trwa zaś rzadko ponad kwadrans, czasem niespełna 10 minut.

Cudzoziemiec nieoswojony od dzieciństwa z techniką, ani terminologią toreadora, nie pojmuje odrazu znaczenia tego lub owego epizodu; z czasem dopiero wnika w pełne zrozumienie krwawej gry, która w przeciągu minut 15 potężne i wprost straszliwe zwierzę o śmierć przyprawia. Niejeden opuszcza cyrk po pierwszym przedstawieniu z niezłomnym postanowieniem, że noga jego więcej tam nie postanie. Ale... *Blut ist ein ganz besonderer Saft...* widok krwi raczej pociąga, niż odstręcza, uroczyste śluby idą w zapomnienie, oburzenie tępieje i nawet ten kto z początku chodził na walkę byków niechętnie, nabiera smaku, choć nie zmienia sądu, aż wreszcie nie opuszcza ani jednej »corridy«.

Powszechnie i wielokrotnie stwierdzono, że tam gdzie walki byków istnieją, wyścigi konne nie udają się, nie mogą liczyć na tłumny współudział szerokich warstw ludowych. *Ceci a tué cela*. A jednak główna przynęta na polach wyścigowych — zakłady, nie istnieją po byczych cyrkach, bo niema się o co zakładać. Byk, jeżeli nie jest tchórzliwy — musi zginąć z tych czy innych rąk, przebieg przedstawienia jest z góry znany, a możliwy zawsze wypadek zranienia lub nawet zgon jednego »toreros« niczem, chyba chwilowem opóźnieniem, na tok widowiska nie wpływa. Szybkim biegiem rumaków może interesować się tylko niewielka garstka hodowców i odbiorców koni, t. zn. żołnierzy zazwyczaj lub jeźdźców, mieszkających po miastach, ogół myśli, jak ów wschodni władca, że kiedy kilka koni biega, u mety stanąć musi jeden przed innymi, który zaś będzie tym pierwszym, jest rzeczą obojętną... gdyby nie stawka i nie nadzieja wygranej. Gra jest tu bodźcem, który pędzi tłumy raczej do kantorka totalizatora, niż na wyścigowe murawy. Chęć zysku i pokusa spróbowania ślepego trafu zapewnia hippicznym przedsiębiorstwom powodzenie i poparcie nawet tych, którzy maści gniadej od kasztanowatej odróżnić nie umieją, a konie wierzchowe poznają po kurtkach i czapeczkach dżokejskich.



To co ma na tłumy działać i tłumy pociągać musi tkwić głęboko w naturze człowieczej, zabawa tak jak poważne przedsięwzięcie wówczas tylko może liczyć na poklask i wzięcie, jeżeli da się sprowadzić do wspólnego mianownika powszechnych upodobań, potrzeb, wyobrażeń i ogólnie ludzkich namiętności.



Lagartijo Chico.

Wyścigi dla wyścigów nie budzą żywego zajęcia, to też zakłady nie są nowoczesnym wymysłem. Już w Bizancjum zwolennicy zielonych czy niebieskich zaprzęgów rzucali na los szczęścia znaczne sumy, niekiedy całe mienie. Natomiast krwawe »circenses« nie dawały ponoś pochopu do kosterstwa, z wyjątkiem chyba pojedynków między gladyatorami, na których i przeciw którym stawiano krocie, jak i dziś czynią Anglicy i Amerykanie, kiedy jaki sławny bokser lub *Price fighter* ma się mierzyć z godnym siebie przeciwnikiem.

Samo niebezpieczeństwo również, w którym kochają się hiszpańskie junaki, nie wystarcza, by wzbudzić podziw tak szczery i gorący, jaki bywa ich udziałem, bo ani bracia Reszkowie, ani Sarah Bernard, Rejane, ani Duse, nie liczą w swej ojczyźnie tyłu i tak namiętnych wielbicieli, co Frascuelo, Lagartijo, »wielki« Queritto, a z żyjących podstarzały Mazzantini i Antonio Fuentes.

Wszak co wieczora w każdym większym mieście można napatrzeć się do woli linoskoczkom i siłaczom, którzy

również za pieniądze i dla cudzej rozrywki narażają życie na trapezach i innych gimnastycznych przyrządach. Lecz owi golcy w cielistych trykotach uczeplieni za zęby w zawrotnej wysokości, kobiety kładące głowę w otwartą łwią czy tygrysią paszczę, budzą raczej niesmak i odrazę, niżli cześć dla swej odwagi, lub uznanie dla swej zwinności i zręczności. Wysiłek nie jest tu w żadnym stosunku do osiągniętego skutku; chodzenie po linie nawet nad wodospadem Niagary jest bądź co bądź niczem więcej, jak karkołomną sztuczką — cyrkowy błazen, nawet wówczas kiedy wykonywa *salto mortale*, jest ostatecznie pocieszną tylko figurą.

Jedynie *das rolle Menschenleben* i to co jest jego miazgą i treścią: walka — może i musi budzić wiecznie zajęcie, nigdy nie gasnące; to też póki świat będzie światem to znaczy bojowiskiem, póty widok wszelkiego zmagania się czy wo-

jowania, a zwłaszcza każdego zwycięstwa, musi zawsze mieć dla człowieka nieprzeparty urok, póty chwała wojenna będzie prym trzymać przed wszelką inną: Aleksander i Bolesław Chrobry, Bonaparte i Jan III świetniejszą u potomnych zachowywać będą pamięć, niż najgłębsi myśliciele, najbardziej natchnieni wieszczę, póty także żołnierka w pragnieniach i w dążeniach chłopięcych, a żołnierz w marzeniach dziewczęcych pierwsze i najpocześniejsze zabierać będzie miejsce,



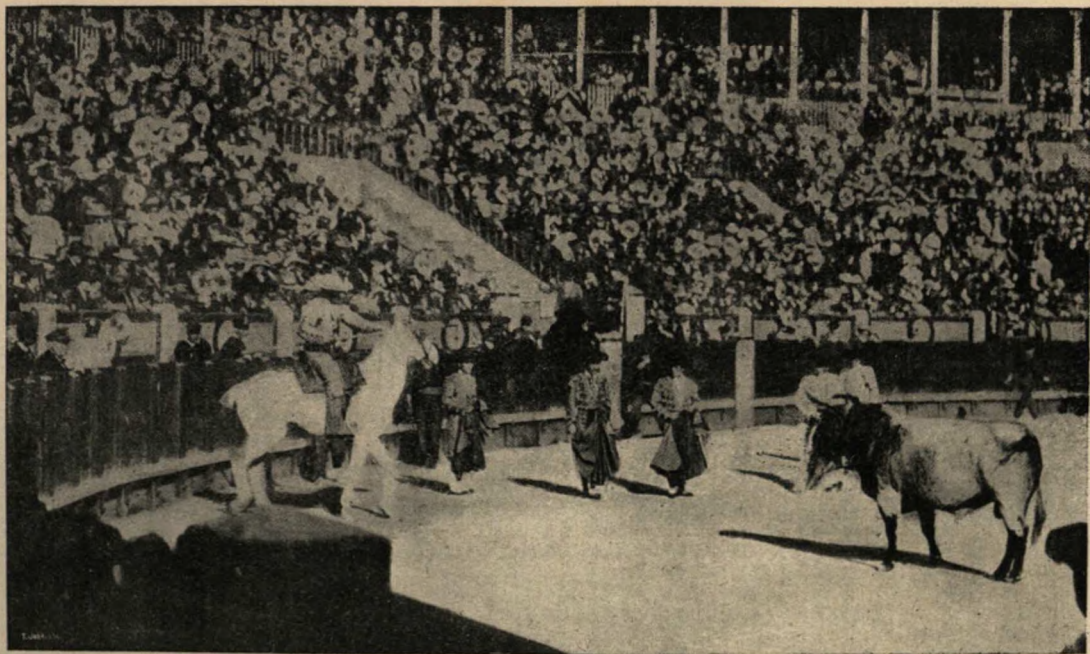
Mazzantini.



póty wreszcie męstwo będzie najkardynalniejszą z kardynalnych cnót.

Przyczyny tajemniczego pociągu rzeszy *tra los montes* do »corridy« trzeba szukać w tej właściwości ludzkiej duszy. Różnymi czasy i różnych krajach objawiała się ona rozmaicie: turnieje i walki gladyatorów, zapasy ręczne w Olimpii, bitki na kułaki w Stanach Zjednoczonych, odpowiadały owemu wrodzonemu popędowi oglądania i podziwiania przemożnej siły fizycznej i pogardy życia w obliczu śmierci. W Hiszpanii skryształował się on w postaci walki człowieka z bykiem. Walki byków wzięła swego czasu w opiekę romantyczna muza. Hiszpańskiemu piśmiennictwu wypartemu z należnego mu stanowiska w umysłowej rzeczypospolitej europejskiej przez francuskich pisarzy z XVII w., którzy nie omieszkali zresztą obrabować z literackich pomysłów swych poprzedników i pobratymców, przywrócił znaczenie, a raczej skierował na nie powszechną uwagę zwrot ku balladom, poezyi gminnej i ostrołukowej sztuce średniowiecznej. Sądzić możnaby nieledwie, że tajny układ — przyczynek do pirenejskiego traktatu — przeniósł siedzibę nie tylko politycznej i cywilizacyjnej hegemonii z przepaścistych brzegów potoku Mansanares, nad gładkie wybrzeża potoczystej Sekwany.

Jakby w ślad za cesarskimi orłami Wielkiej Armii poleciały skrzydlate wyobrażenie wieszczów: *Don Juan* Byrona, Mickiewiczowska *Alpuhara*, *Hernani* i *Ruy Blas* Wiktora Hugo, Heinego *Romancero* świadczą o tem, jak chętnie szukali poeci jednej szkoły, choć rozmaitych narodów, wątku do swych utworów w ojczyźnie Cyda Campeadora. Lecz w owych dziełach lirycznych, epicznych czy dramatycznych, odzwierciedla się katolicka monarchia rycerska i bohaterstwa, porywcza i namiętna, wzniosła i górnołotna, ta, którą żartobliwie, a jednak tak istotnie uosabia nieśmiertelny hidalgo o smutnym obliczu; o zapasach toreadorów z bykami niema w nich wzmianki — pędzel, który śmiało rzucił na całe ściany »narodowego pamiątek kościoła« malowidła *al*



Pikador zaczynający walkę.



*fresco*, nie nadaje się do rodzajowych obrazków, tem mniej do martwej natury.

Dopiero epigoni natchnionego pokolenia, ci, co z »hymnu zstąpili do prostej powieści«, stary Dumas, Teofil Gautier i nawet Merimée, jakkolwiek już na pograniczu naturalistycznego grona, jeśli zachwycać się »corridą«, na przekór filistrom i tanim filantropom, ogarniającym więcej jeszcze zwierzęta, niż bliźnich swoją powszechną, ale i powszednią, letnią, wielosłowną, lecz mało ofiarną miłością. Wreszcie dźwięki Bizetowskiej *Carmen*, rozbrzmiewające donośnem echem po całym świecie, przyczyniły się do zaznajomienia wszystkich, którzy posłyszeli i pogwizdywać umieją znany marsz i aryę: »Miłość to cygańskie dziecię« z najpopularniejszą postacią *tra los montes*.

Lecz opisy i opery rzadko licują z rzeczywistością. Przez nie i dla tych, którzy na własne oczy »corridy« ni Hiszpanii nie widzieli, urósł »diestro« do romantyczno-bohaterskich rozmiarów. Don Jose z Sewilii, Cordowy czy Malagi, równać się chyba może w ich pojęciu z jednym tylko sławnym czy osławionym Fra Diavolo, potomkiem w prostej linii, jeśli nie po mieczu, to po nożu zbójckim, rozbójnika z pod Birbante-rokka, srogim dla możnych, hojnym dla biednych, rycerskim dla kobiet, wspaniałomyślnym dla uciemionych, samozwańczym i nieledwie bezinteresownym *redresseur de torts*. Jak włoskiemu bandycie przypisują mu poetyczne cechy i lubują się w układaniu na nim, niby na manekinie, fałdów fantastycznego płaszcza, który nań zarzucić spodobało się bujnej, a w błąd wprowadzonej zagranicznej wyobraźni.

Tymczasem żaden torero nie cierpi na epidemiczną chorobę melancholii, *les Tristesses d'Olimpio* są mu równie nieznanne, jak niezrozumiałym Byronizm i jeżeli na literackiej niwie ma rósć koniecznie jego drzewo genealogiczne, to chyba od Sancho Panchy, ale nie od marzycielskiego »kwiatu błędnego rycerstwa« ród jego wywodzić należy.

Dziwna bo ta hiszpańska glina, z której ulepiony jest toreador; tkwi w nim coś z aktora i coś z rzeźnika, przypomina on niekiedy gladyatora, to znowu cyrkowego sztukmistrza na deskach budy jarmarcznej; określenie *ondoyant et divers* stosuje się do niego w całej pełni, choć nie on stał Pascalowi na myśli, kiedy pisał swoje *Pensées*. W każdym razie jest on osobistością wysoko cenioną przez obcych,



Espada.

a przecenianą przez ziomków, budzącą zazdrość u mężczyzn, a podziw u dziewcząt; uważają go za wcielenie narodowych właściwości i namiętności, i niemal za malowniczy symbol ojczyzny hiszpańskiej w tem, co najbardziej rodzime i od wszelkiej cudzoziemszczyzny najbardziej odrębne.

W uroczystej chwili, kiedy pośród grzmotu oklasków ukazują się tysiącom oczu urodzive postacie »espady« i towarzyszy świecące od złota i lśniące od szeleszczących jedwabi, kiedy setki rąk podają się naprzód, by pozyskać



zaszczyt dzierżenia drogiego płaszcza przez cały ciąg przedstawienia, kiedy herold otrzymawszy symboliczny klucz od obory i na znak dziękczynienia przygiąwszy kolan rumaka przed przewodniczącym, wypada cwałem z areny przez otwarte wrota, a torero w oczekiwaniu byka, wita uśmiechem znajomych i kłania się wielbicielom — wówczas istotnie staje się on nieco podobny do owych *morituri*, którzy tak obojętnie szli na śmierć, tłumom ku uciesze — *Ave Caesar!*...

W naszych czasach wrażliwszych, a bezbarwnych, rozprawia się wiele o nastroju, a zapomina, czem jest strój i jak znaczący wywiera wpływ na każdego, kto go nosić może, umie i powinien. Bury habit z kapturem, nie wystarcza zapewne, żeby wbrew francuskiemu przysłowiu — zamienić kogokolwiek w mnicha, ale duchowna sukienka, czy wojskowy mundur, przyczyniają się do wytworzenia typu, do ukształtowania zewnętrznego, a nawet urobienia duchowego jednostki, która ją przywdziewa. Wiedział też co czynił Gustaw Adolf, kiedy pierwszy nakazał swoim rajtarom noszenie jednokiej odzieży; zamienił poprostu bezładne i niesforne kupy grassantów włóczących się od jednego werbunkowego stołu do drugiego, w regularne i bitne chorągwie. Popisowy przedzierzga się w rekruta u drzwi koszar, porusza się zamaszycie i poziera zawadyacko od chwili, kiedy brzęknie po raz pierwszy ostrogami; seminarzysta nabiera namaszczenia i przewielebnie wygląda, odkąd chodzi w sutannie.

Podobnie i toreador poczuwa się do wielkich przeznaczeń wówczas przedewszystkiem, gdy w różowych pończochach, płytkich trzewikach z klamerkami, obcisłych pluderkach po kolana, z sutym złotym haftem, z frendzlą u podwiązki i w kurtce jeszcze bardziej zasianej złotolitem wyszywaniem, staje na placu, wszystkim zgromadzonym na widoku. Koronkowy gors koszuli, wąska krawatka, chusteczka załknięta w kieszeni od zegarka i czarny kapeluszek przypominający kształtem kapitel jońskiej kolumny, dopełniają dziwnego, a jednak nie błazeńskiego ubioru.



Antonio Reverte.

Lecz w mgnieniu oka, kiedy drzwi od ciemnej obory rozwarły się i zatrasły za bykiem, znika pseudo-gladyator, budzi się bydłobójca. Krwawe i niebezpieczne rzemiosło usuwa na drugi plan ubieganie się za kształtną postawą i wykwin-tnym ruchem.



Papkin tylko i jemu podobni z dala od postrachu »lwią się« — (wszak wolno użyć wyrażenia zapożyczonego na jeden raz tylko w dziełach wielkiego Bezimiennego); — nieomylną cechą prawdziwej odwagi jest prostota wtedy właśnie, kiedy przyjdzie zmierzyć okiem wielkie oczy strachu.

Najtrudniej wytrzymać pierwszy impet; to też nieraz wypróżnia się arena na kilka sekund — chwilowy lęk wymiata stamtąd jaskrawe płachty, jak nagły wichur wymiata porzucone płatki kwiatów.

Oślepienie słonecznym blaskiem zwierzę niema w kogo uderzać, lecz wnet zjawia się »capa« spłowieła, nie zawsze nawet czerwona, pozeszywana, czasami zawalana zaschlą krwią, tem cenniejsza, im bardziej używana i wysłużona. Kiedy byk o nią bodaj raz zawadzi, czyli da się nią pokierować, wówczas cała *quadrilla* czuje się już jak w domu.

Cała sztuka polega na tem, żeby od pierwszej chwili poznać usposobienie i uzdolnienie przeciwnika.

Średniowieczna metafizyka rozróżniała cztery temperamenty w ludziach — teoria tauromachii rozpoznaje sześć odmian byczego temperamentu. Wylizywać je byłoby nietylko żmudne, ale i niepodobna, bo mimo szatańskiego paradoksu, który Mefistofeles przybrany w togę doktorską wpaja młodzieńskiemu studentowi, że »słowa mogą zasłonić brak pojęć!« — pojęcia żyją w świecie myśli o tyle, o ile wcielają się w słowa, a tłumaczyć z jednego języka na drugi, można jedynie międzynarodowe wyobrażenia.

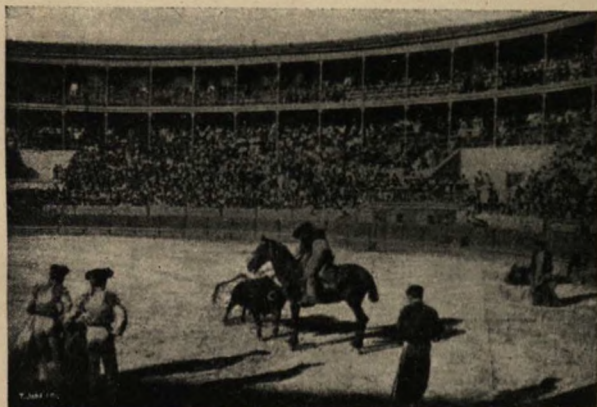
Dość zaznaczyć, że bywają byki śmiałe i proste, podstępne i zdradliwe, popędliwe i mściwe, to znów potulne i tchórzem podszyte; a nie trzeba zapominać, że bywają wśród nich dalekowidze i krótkowidze, ściągłe i powolne i t. d.

Tej różnorodności natur odpowiada rozmaitość sposobów, które stosować należy. Za płachtą powinien dobry torero być równie bezpieczny, jak za przegrodą. Bywają też mistrze zdolni »capą« — do czego się nie dopuszcza zazwy-

czaj — groźne zwierzę tak zmęczyć, że pada bez tchu na ziemię; inni zaś, np. Reverte, nie rozwijają płachty, ale igrają nią przewieszoną przez ramię, a nawet niekiedy dokazują tej samej sztuki prostym wachlarzem, albo własnym kapełuszem.

Po płachtach piki.

Z końskich brzuchów nie więcej chyba polało się krwi na arenę cyrków, niż atramentu na papier i drukarskiej farby na gazeciarską bibułę w obronie biednych szkap i dla napię-



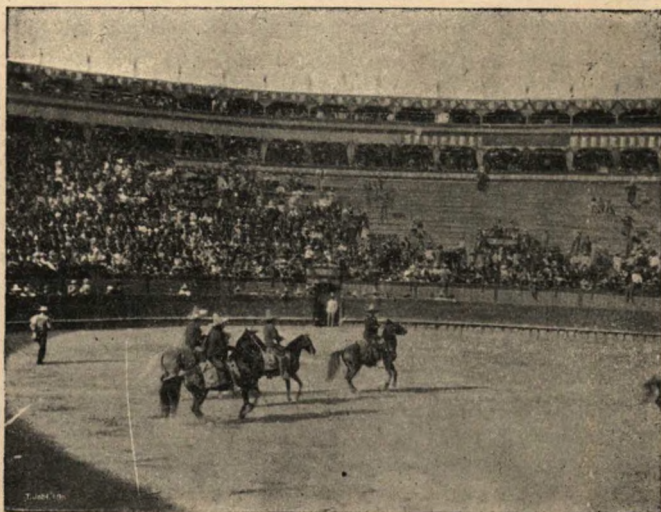
Natarcie Pikadora.

tnowania nieludzkiego widoku, jaki przedstawiają rozpruwane wnętrzości, wlokące się po ziemi jelita, świeże rany zapychane na poczekaniu skręconem powrósem lub owocem banany, jak ogórek wielkiej, dla chwilowego zatamowania krwi i przedłużenia igrzyska — i konwulsyjne drgania konających koni, które służba ubrana w czerwone kurtki i czapeczki, a przepasana żółtą krajką, ogałaca czy uwalnia z siodła i uździelniczy.

Na co ten wyskok okrucieństwa? — powtarzają nieustannie owe rozprawy — jeżeli ludziom zdarzy się wypadek,



sami sobie winni, byk, aczkolwiek także cierpi niezasłużenie, może się pomścić i przynajmniej drogo sprzedać swe życie, ale dlaczego konie poświęcać? Zarzut jest słuszny i najbardziej zapalony *aficionado* teoretycznie odeprzeć go nie może; ale kto choćby raz tylko spróbował się na udeptanej ziemi wśród ogrodzenia zmierzyć się z bykiem i wie, jak groźnie wyglądają rogi z bliska, ten pojmie, że straszny zwierz musi



Quadrilla.

wyrzecz na czemś swój gniew i utracić coś ze swej siły, nim torero stanie z nim do rozstrzygającej rozprawy. Zresztą potykanie się »picadora« z bykiem jest zabytkiem dawno minionych czasów i zapomnianej już niemal tradycyi. Z okazji wielkich uroczystości narodowych, jak np. wstąpienie na królewską stolicę nowego monarchy, jego zaślubin, narodzin pierworodnego syna — następcy tronu, odbywały się niekiedy i teraz jeszcze odbywają się igrzyska okazalsze, niż zazwyczaj. Kto miał sposobność je oglądać, mógłby wspominać je

słowami rzymskiego historyka o *ludi saeculares* „*quis nec spectasset quisquam, nec spectaturus esset*“ \*).

W odświętnie przystrojonej arenie igrają na śmierć i życie doborowe byki z wyborną i starannie dobiebraną *quadrillą* — przypatruje się zaś widowisku król jegomość, nie z łoży pierwszego piętra, ale z parteru, nie odgradzonego niczem od placu morderczej gry. Przedmurzem są mu piersi



Picadorowie.

12 zuchów na koniach — ich zadaniem bronić pomazańca od nagłej napaści rozjuszonego zwierza — ich zaszczytnym obowiązkiem — poledz w jego obronie, a w każdym razie zastawić go własną osobą. *Caballeros de gracia* siedzą na roślących i sprawnych dzianetach i powinni piką odeprzeć rogatego zwierza. Ta przesada w odwadze, owo umyślne wyszukiwanie niebezpieczeństwa elektryzuje tłumy i odpowiada

---

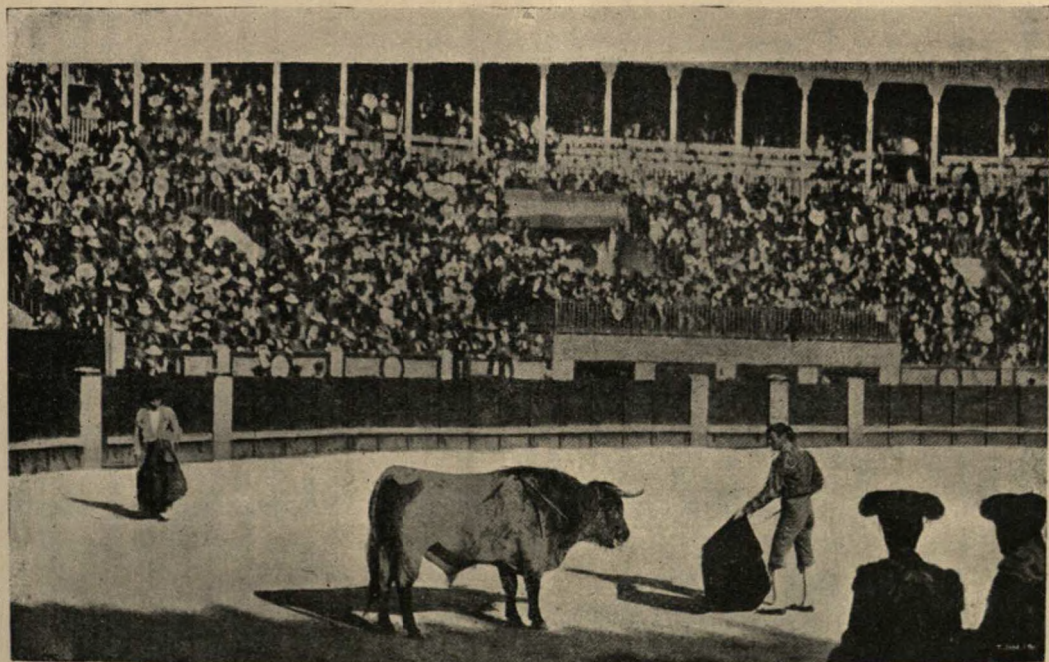
\*) Suetonius vita Tib. Claudii lib. V.



hiszpańskiej naturze, która od Cyda Campeadora, po przez Hernanda Corteza i Cervantesa, mierzyła zawsze siły na zamiary, aż całym światem na kilka pokoleń zawładła.

Płachty w rękach pieszych zapaśników powiewają, migają przed oczyma buhaja, zdają się dwoić i troić; wokół »picadores« podjeżdżają na chudych, starych, spracowanych szkapach i kłują byka w kark ostrzem dzidy, nie dłuższem nad pół cala. Według przepisów zwierz, któremu zadano trzy takie rany, musi zginąć w arenie; wyprowadzić go już do stajen nie wolno. Zwykle uśmierca on, a przynajmniej powala i rani kilka koni; trupy, które służba ogałaca natychmiast z siodła i uździennicy, zostają się na miejscu; żywe lub zgonu bliskie wierzchowce, wymykają się przez jedną z bram otwartą na chwilę, a z kolei występują na widownię »banderillos«. Oddają służbie płachty, biorą w ręce patyki zaopatrzone haczykami i wbijają je w gruby, już krwią ociekły kark byczy.

Słońce, upał, roznoszone i sprzedawane piwo, wódka i manzanillo, czy też xeres, skoczna muzyka »diana«, czyli osobna melodia z kilku taktów wykonana po każdej burzy oklasków, podniecają powszechny zapał. Pospólstwo domaga się dowodów coraz to szaleńszej odwagi; po zwykłych »banderillos« woła o krótkie, a rzecz prosta, że im są krótsze, tem bliżej rogów musi przemknąć się ten, który podjął się je »zagwoździć«, jak brzmi techniczne wyrażenie; poczem tłum żąda, by »banderillero« oczekiwał byka na krześle. Kiedy kilka już koni drga i rzuca się na ziemi w przedśmiertelnych kurczach, dopomina się o nowe ofiary, chce widzieć *salto de la garrocha*, czyli skok z pomocą włóczni przez całą długość byka, *salto sobre el testur*, który ma miejsce wówczas, gdy torero skoczywszy między rogi, przebiega po grzbiecie i jednym susem odsadza się o sążeń poza zwierzem, aż na rozkaz przewodniczącego »banderillowie« ustępują pola temu, kto ze szpadą w jednej, a czerwoną muletą koloru



16\*

Przed ciosem śmiertelnym.



i mniej więcej rozmiarów kolejowej chorągiewki w drugiej ręce, ma poigrać zanim zada mu cios śmiertelny.

Wówczas Angielki i Amerykanki, oceniające malowniczość widoku, lecz nie mogące patrzeć »na pastwienie się nad niewinnem zwierzęciem«, wychodzą z cyrku naprawdę, albo niby, lub zasłaniają oczy i... patrzą przez palce.

Zajęcie widzów ani na mgnienie oka nie słabnie; każdy najmniejszy ruch, najlżejsza zmiana postawy, nieznaczny podskok czy uskok są przewidziane, opisane w wielotomowych dziełach, należycie ocenione przez widzów, głośno chwalone lub jeszcze głośniej ganione. Znamcy zamieniają się w surowych sędziów, nie przepuszczają najdrobniejszemu uchybieniu przeciwko prawidłom sztuki, udzielają rad, wskazówek teoretycznej tylko — t. zn. niewielkiej — wartości, bo bardzo rzadko który bywa, jak owa słynna »sąsiadka koza, Ostrożanka rodem« z Mickiewiczowskiej bajki

..... »tak rzeźki czołem

»Że może się róg za róg rozmówić i z wołem«

w każdym zaś razie nie lubi zazwyczaj spotykać się z prawdziwym *toro bravo* tam... gdzie niema między nimi monej i choć na trzy łokcie wysokości przegrody.

Zręczność i męstwo ludzkie uzbrojone w dzidę, »cape«, »banderillos« czy szpadę i siły oraz zręczność byka powinny się wzajemnie równoważyć, by dojść do zgrania, do *jeu d'ensemble* — jeśli się tak wyrazić wolno — wszystkich uczestników walki.

Na to, by ocenić zalety lub usterki reżyseryi, trzeba się zapoznać dokładnie z wszystkimi szczegółami przedstawienia. Sześćioletni buhaj dobrego chowu jest wprawdzie jednym z najsilniejszych zwierząt na świecie, ale utrata krwi i sił w ciągu 10 minut poprzedzających rozstrzygającą chwilę jest tak znaczna, że jeżeli każdy »capeador«, »picador« i t. d. chce popisywać się na swoją rękę i wszem wobec pokazać co umie i na co odważyć się zdolny, to byk zamiast się

skupić przed muletą i matadorem, rozprasza się, rzuca łbem na prawo i lewo, przed płachtami ogania się jak przed uprzykrzonym rojem bąków i popada w martwość, zanim padnie przed ciosem śmiertelnym, który w takich razach równie trudno, jak niebezpiecznie mu zadać. Musi więc — a przynajmniej powinien — pierwszy »espada«, naczelnik »quadrilli«,



Wywlekanie zabitego byka.

z urzędu kierować nią tak, iżby pomagała, nie zaś, jak się to często zdarza — przeszkadzała matadorowi.

»Corrida jest tem bardziej zajmującą, im warunki, w których się odbywa, są trudniejsze, a siły z obu stron lepiej zrównoważone. Dlatego niebezpieczeństwo, na które naraża się torero, jest niezbędną przyprawą wzruszenia, wywołanego igrzyskiem.

Surowe głosy odzywają się raz po raz za ograniczeniem lub całkowitem zniesieniem totalizatora, ułatwia on bowiem pospólstwu sposobność gry, a co zatem idzie, krzewi



w niem chciwość i chęć łatwego, a niezasłużonego pieniężnego zarobku. »Corrida« rozwija natomiast kielkujące w duszy ludzkiej zarodki okrucieństwa, oswaja z widokiem cierpienia, zagłusza uczucie litości dla zwierząt, a co gorsza, dla ludzi.

Zbyt łatwo ulega prawdziwy »aficionado« złudzeniu, że sam bierze udział w krwawem spotkaniu, że krzykiem i ruchem ze stopni [zachęca torera, a byka zniechęca i kiedy »espada« zbiera oklaski i krwawą dłonią zgarnia podarki — wierzy, że on także *magna pars fuit* w popisie, do którego się niczem nie przyczynił. O fizyologicznem wpływie takiego widoku na kobiety, zwłaszcza wówczas, kiedy przyszłe macierzyństwo zdwaja ich nerwową wrażliwość, rozpisywały się nieraz w uczonych rozprawach lekarskie powagi. Równie, a może bardziej szkodliwy, chociaż odmiennej natury, bywa ten wpływ na silnych, zdrowych i młodych mężczyzn. Na widowiska, w których niebezpieczeństwo i zabawa płasają niby w tańcu śmierci, nie przystoi młodzieńcom uczęszczać gorliwie bez okazania gotowości puszczania się również w tan, który — aczkolwiek hiszpański — zbliża się w niejednej mierze do tatarskiego: źle o nich świadczy, że poprzedzają na roli widzów.

Rzecz dziwna, prócz okrucieństwa i tchórzostwo krzewi się i rozplenia na stopniach areny. Nigdzie pojawienie się najspokojniejszej jałówki, niewinnego i pokojowo usposobionego cielątka nie wzbudza podobnego popłochu, jak w Hiszpanii. Z okrzykiem: *Toro!* — czy *vacca brava!* — wszyscy podają tył i chronią się gdzie mogą. Św. Teresa wspomina w swoich pismach, o strachu, którego ją i jej towarzyszki nabawiło spotkanie wieczorną porą stada byków, pędzonych w Avila na »corridę«. Ale co u świętej mniszki było zrozumiałe, nie tłumaczy się, gdy chodzi o rosnących, jak dęby mężów.

Najlepszem lekarstwem na te słabości jest t. zw. *novillada* inaczej zwana *corrida de los toros aficionados*.

Biorą w niej udział byczki, którym jeszcze nie wszystkie zęby wyrosły i wyrostki, którym również jeszcze brak... zębów mądrości. Zapasy owych małoletnich są zwykle karykaturą prawdziwej walki byków. Przypilowane rogi zabezpieczają przed zbyt groźnymi wypadkami, choć oczywiście zdarzają się i one; w takich razach biedne byczki giną w powolnych katuszach z powodu niezręczności matadorów, a uczestnicy nabierają wraz z dotkliwymi wspomnieniami, oprócz doświadczenia, także nieco wyrozumiałości dla toreadorów z powołania, których zawód nie jest tak łatwy ni miły, jak się to wydawać może niejednemu z góry i z daleka patrzącemu.

---



## SPIS RZECZY DO TOMU I.

	Str.
Przedmowa St. hr. Tarnowskiego . . . . .	V
Wstęp od Wydawcy . . . . .	XI
Z Krainy »Ogniem i Mieczem« . . . . .	1
Zapiski z podróży po Bośni i Dalmacyi . . . . .	29
Do Tangeru i w Tangerze . . . . .	147
Pigsticking . . . . .	177
Wokoło słupów Herkulesa . . . . .	195
Z psychologii Corridy hiszpańskiej . . . . .	213



4/11 1901  
403/10304













[17]

33626